ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NAKŁAD 12 400 CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%) NR 4 (195) KWIECIEŃ 2015

Wrocław – tajne projekty nazistów. Fikcja czy rzeczywistość?

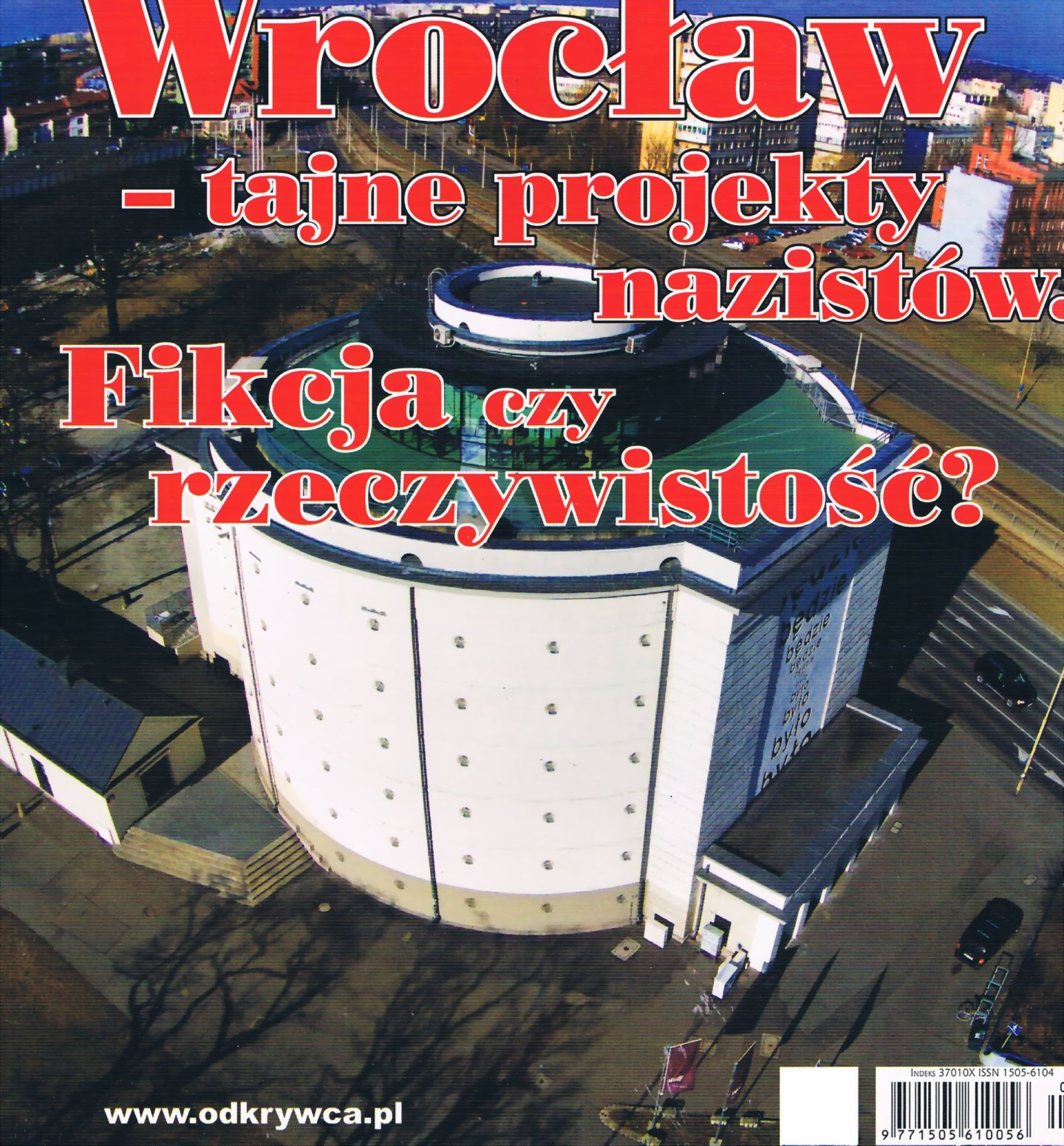

INDEKS 37010X ISSN 1505-6104

www.odkrywca.pl

Viking
NAJWIĘKSZY WYBÓR W POLSCE!
GARRETT METAL DETECTORS
www.garrett.com
GTI 1500
GTI 2500
ACE 150
ACE 250
EuroAce
ATX
Infinium LS
Sea Hunter Mark II
AT Pro
AT Gold
white's
Spectra V3i
Spectra VX3
MXT Pro
MXT Tracker
Matrix M6
MX5
Coinmaster
Coinmaster Pro
Coinmaster GT
TM 808
MINELAB
CTX 3030
E-Trac
Safari
Excalibur II
X-Terra 305
X-Terra 505
X-Terra 705
Nokta ENGINEERING
FORS CoRe
NOWOŚĆ
VELOX One
SDC 2300
NOWOŚĆ
FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment
F70
F2
F4
F5
F19
NOWOŚĆ
Pro-Tech
NOWOŚĆ
F75
CZ 21
1280-X Aquanaut
Pro-Arc
NOWOŚĆ
XP
Deus
GMaxx II
Adventis 2
NOWOŚĆ
Gold Maxx
ADX150
NOWOŚĆ
ul.Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl
www.viking.waw.pl
sprzedaż wysyłkowa i ratalna

KWIECIEŃ 2015

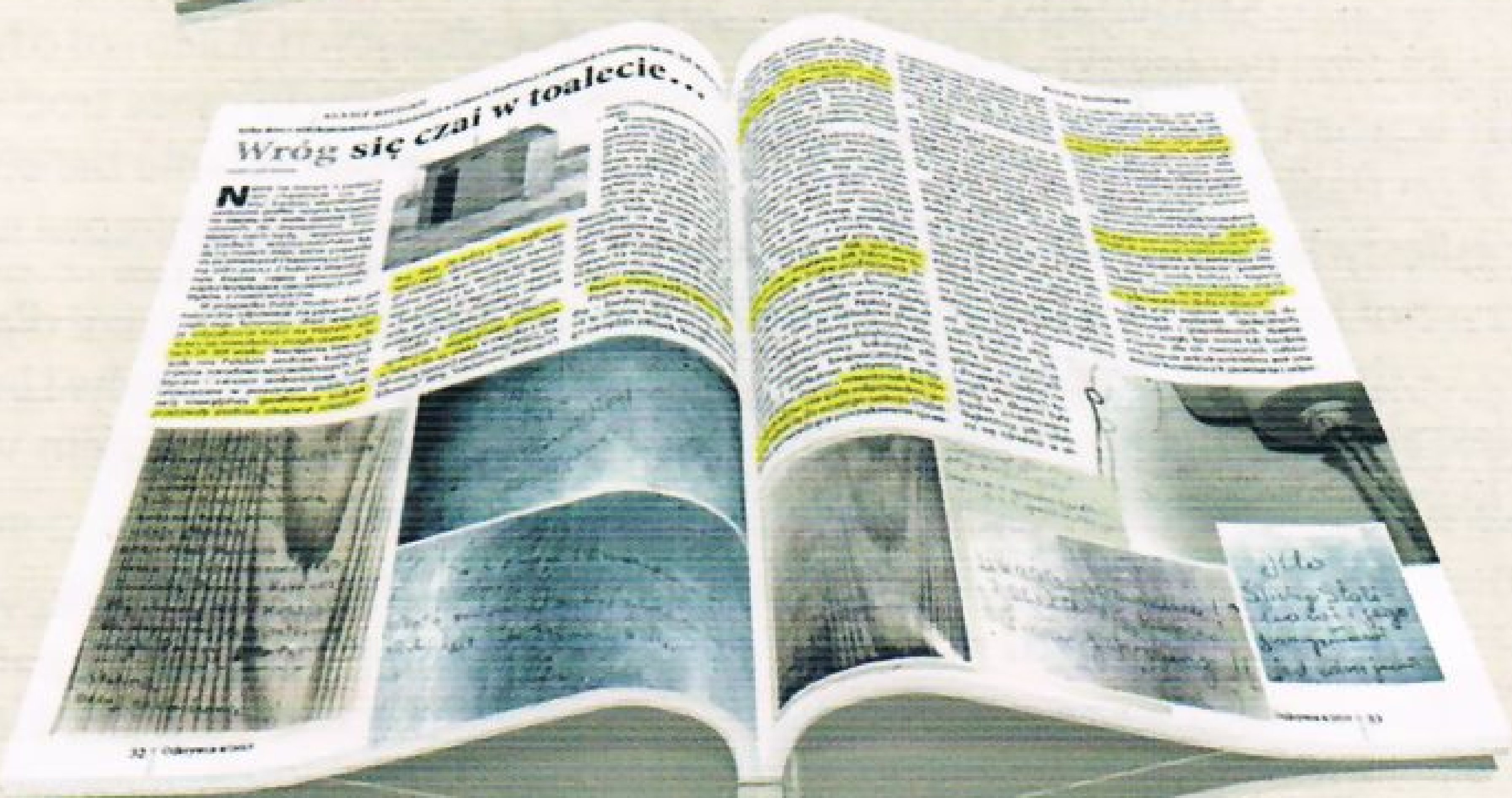

POSZUKIWANIA

4 Wrocław – miasto nieodkrytych tajemnic…
Breslau miał posiadać tajny system podziemnej kolei oraz wielopoziomowy dworzec kolejowy. Luftwaffe dysponowało tu potężną, podziemną bazą lotniczą, a liczne schrony były częścią ukrytego pod ulicami świata, gdzie naziści realizowali swe najbardziej mroczne projekty. Taki obraz wyłania się z wielu legendarnych historii, jakie funkcjonują we Wrocławiu od co najmniej 70 lat. Czy są to jednak tylko legendy?
Piotr Maszkowski

9 Zwiastuny apokalipsy
Leszek Adamczewski

14 Samolot widmo – lotnicza zagadka z okolic Bolesławca
W rejonie naszych poszukiwań znaleźliśmy tylko jedno większe zagłębienie terenu. Przyjęliśmy, że to właśnie tu, jeśli w ogóle, musiał uderzyć w ziemię niezidentyfikowany samolot, którego szczątki rozsiane były w promieniu wielu metrów. W dodatku z tego właśnie niewielkiego leja pochodziła intrygująca część, używana m.in. w olbrzymim czterosilnikowym Focke-Wulfie Fw 200 Condor…
Łukasz Orlicki

19 Kostrzyn 1945 – siedemdziesiąt lat później…
Krzysztof Socha

22 Więźniowie z Hirschberg im Riesengebirge
Podobozy KL Gross-Rosen, a przemysł zbrojeniowy III Rzeszy (cz. 2)
Szymon Wrzesiński

28 Skrzynie w Boryszynie, czyli bursztynowa komnata na Prima Aprilis
Tomasz Rzeczycki

KULISY HISTORII

32 Wróg się czai w toalecie…
Tworzenie haseł w kabinach toaletowych było dużo bardziej bezpieczniejsze niż na ulicy, szybsze, i nie wymagało wtajemniczania dodatkowych osób, np. stojących na czatach. Nie ograniczało także piszących do nocnej pory, pozwalając działać również w dzień. Niektóre hasła nawiązują bezpośrednio do przeznaczenia toalety, obok polityczno-ironicznej wymowy, jak: *„Sraj Polaku sraj bo masz wolny kraj jeszcze tyle ci zostało, że się wysrać możesz śmiało”*.
Bartosz Bijak

AKTUALNOŚCI/WYDARZENIA

36 „Wyklęte” nazwisko
Janusz Skowroński

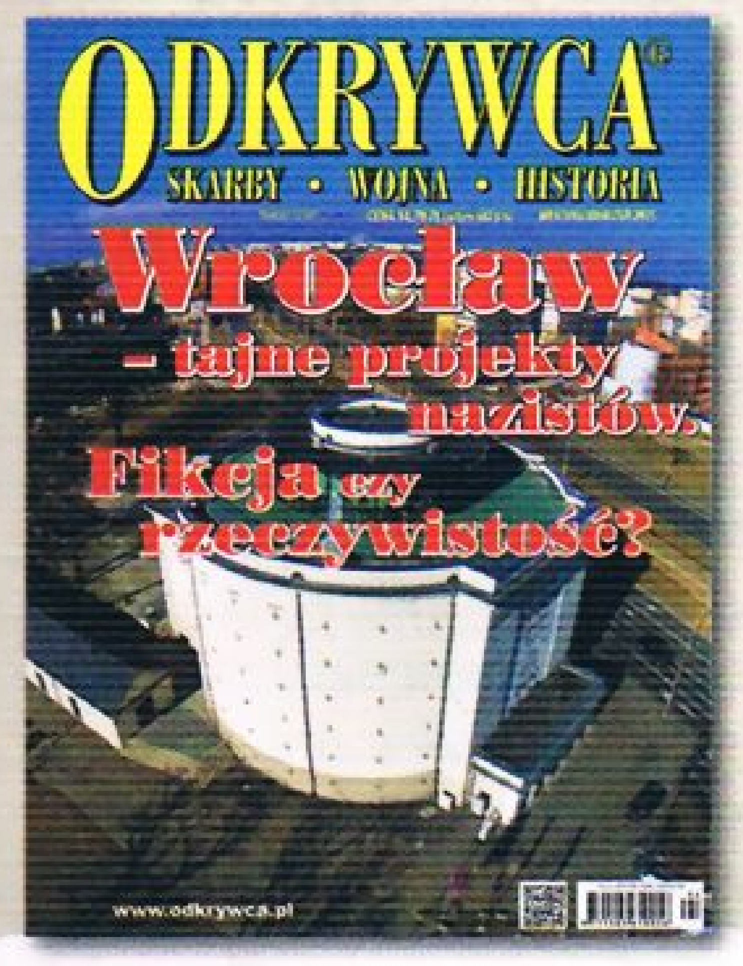

Okładka: Cylindryczny schron przy pl. Strzegomskim we Wrocławiu. Zdjęcie: photodron.pl

ROZMOWA

38 Giszowiec i Nikiszowiec – śląskie Małe Ojczyzny
Z Joanna Tofilską, kustoszem, kierownikiem Działu Historii Muzeum Historii Katowic, autorką m.in. publikacji „Katowice Nikiszowiec. Miejsce, ludzie, historia” rozmawia Dariusz Pietrucha.

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

42 Nikiszowiec – ceglana perła Górnego Śląska
Dariusz Pietrucha

50 Tajemnice Wzgórz Strzelińskich
Paweł Kukurowski

KOLEKCJONERSTWO

55 Kultowe napoje gazowane po obu stronach frontu, czyli Coca-Cola kontra Afri-Cola
Wojna od kuchni (cz. 2)
Tomasz Bienek

60 Kukri
Legendarna broń biała (cz. 1)
Piotr Galik

FORTYFIKACJE

64 Osiedle Nowe Kursko – osada przesiedleńców niemieckich z fortyfikacji MRU (1937-1939)
Agnieszka i Grzegorz Urbanek

BATALIE I POTYCZKI

67 Już tylko honor…
Wyzwolenie Bolonii przez II Korpus Polski w kwietniu 1945 roku
Piotr Galik

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 Kwietniowe nowości w Księgarni Odkrywcy

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych Sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja miesięcznika „Odkrywca"
ul. Kaszubska 4
50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: redakcja@odkrywca.pl
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

Zespół redagujący

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.pl
kwiecinska@odkrywca.pl
Piotr Maszkowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy
Proteus, Leszek Adamczewski. Marek Dudziak, Piotr Galik, Dariusz Pietrucha, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia.
Maksymilian Frąckowiak – Archeologia.
Piotr Galik – Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki – Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski – Numizmatyka.

Dział Reklamy
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

Dział Graficzny i DTP
Cezary „Essperto" Chmielewski

Twórca i administrator strony
www.odkrywca.pl
Kazimierz Ruszel „Bocian"

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Podzwierzyniec 25
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

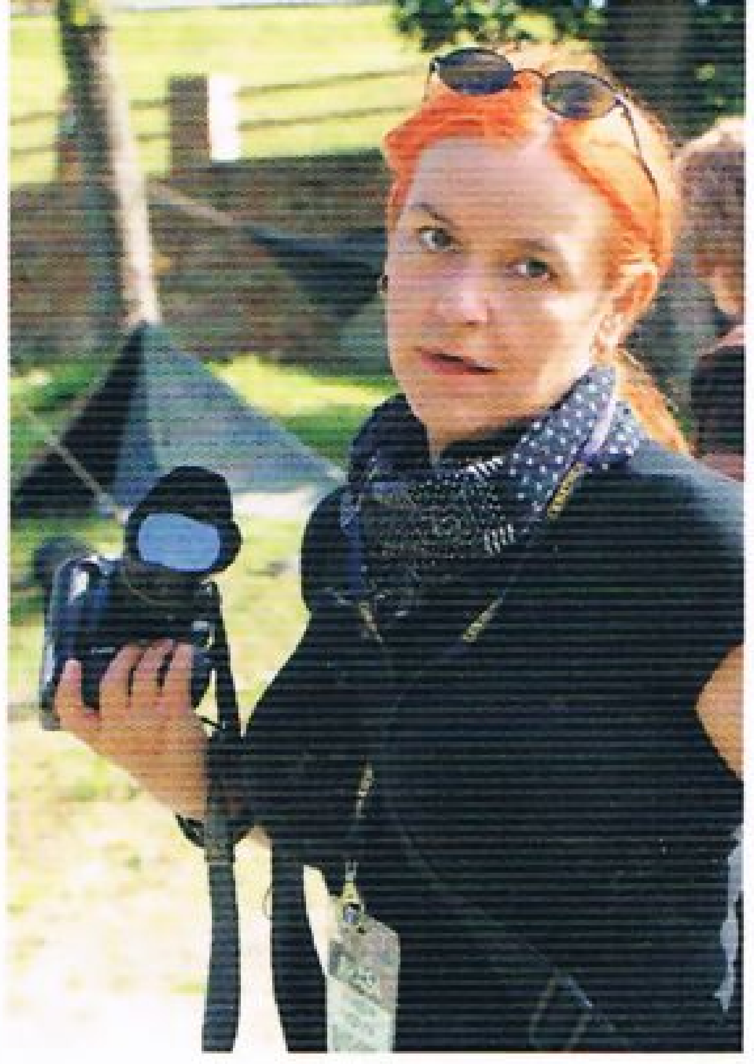

Drodzy Czytelnicy

Kilka dni temu przeczytałam o astronomicznej wysokości kar pieniężnych, jakie przyjdzie zapłacić młodym amerykańskim turystom za wyrycie dwóch liter w murze rzymskiego Colosseum. Z kolei 20 tys. euro i 4 lata więzienia w zawieszeniu, to cena za literę „K" wydrapaną kamieniem w cesarskim amfiteatrze przez turystę z Rosji. Wcześniej niejednokrotnie informowano o bezmyślnym niszczeniu kambodżańskiej świątyni Angkor Wat, egipskich piramid i Sfinksa czy prekolumbijskiego Chichen Itza. To najbardziej spektakularne obiekty kultury i cywilizacji więc informacje o nich przebijają się przez strumień informacji, jakim jesteśmy zalewani każdego dnia.

Nie wspominam jednak o tym z okazji zbliżającego się Międzynarodowego Dnia Ochrony Zabytków (18 kwietnia), który w tym roku nabiera szczególnego znaczenia w obliczu katastrofy cywilizacyjnej, jaką przybrał proces systematycznego niszczenia dziedzictwa kulturowego świata antycznego na terenie dzisiejszego Iraku, dokonywany przez tzw. bojowników tzw. Państwa Islamskiego. Mam na myśli samą potrzebę utrwalania siebie, własnej tożsamości, własnego zdania czy choćby znaku istnienia w formie napisu, inskrypcji czy choćby inicjału, jaki umieszczony zostaje w miejscu publicznym – niestety, często w miejscu o znaczeniu kulturowym i historycznym.

Stykamy się z tym zjawiskiem powszechnie – ileż to zabytkowych ścian i murów oszpeciły serca przebite strzałą, różne Jolki kochające Jacków i odwrotnie, manifesty przywiązania do sportowych klubów sąsiadują z pogróżkami pod adresem ich konkurentów, bywa polityka, mistyka i wszystkie litery alfabetu z inicjałów pracowicie ryjących „zwiedzaczy".

Ciekawe, że te najprostsze komunikaty umieszczane są właśnie w graficznej przestrzeni jaką tworzą mury i ściany obiektów historycznych – chociaż pewnie gdyby była możliwość umieszczania ich na samych obiektach muzealno-historycznych, też by się tam znalazły – w księgach wpisów jakie udostępniane są zwiedzającym prawie ich nie ma. Najwyraźniej przestrzeń ściany przyciąga, a karta papieru odpycha, przynajmniej jeśli chodzi o pewien rodzaj pisemnych wyznań, a może i kategorię odwiedzających. Wiem coś o tym, bo przyznam, że lubię przewertować księgi z wpisami jakie zostawiają odwiedzający. To może trochę podglądanie i nigdy nie ma dość czasu i sposobności, aby poczytać więcej, ale po odsianiu banalnych wzruszeń (tych najwięcej), jest sporo interesujących myśli i opinii, jakie zostawiają anonimowi ludzie. Naprawdę ciekawe.

Nawet jednak przykre dla zabytków i estetyki zjawisko okazjonalnego wandalizmu, związanego z umieszczaniem napisów i inskrypcji, nie jest całkowicie pozbawione znaczenia. Również one mogą się stać po latach źródłem wiedzy o przeszłości, czego dowodem są inskrypcje i napisy odkryte w Pompejach.

Byłoby oczywiście całkowitym nadużyciem, by szlachetną dyscyplinę epigrafiki, jako nauki zajmującej się badaniem epigrafów (napisów) wykonanych w twardym materiale kamienia, drewna czy metalu, będących opisem lub uzupełnieniem artefaktu i przedmiotu, bądź samoistnym przekazem i świadectwem historycznym, umieścić w kontekście tego typu komunikacji, jaką uprawiają autorzy napisów naściennych. Zwłaszcza, że domeną epigrafiki jest starożytność i wieki średnie. Współczesną komunikację epigraficzną, którą w pierwszym rzędzie zajmuje się socjologia i psychologia społeczna, najlepiej określa pojęcie „graffiti" określane jako ekspresja i głos zwykłych ludzi, wyrażający ich stosunek do rzeczywistości. To z upływem czasu w oczywisty sposób otwiera przestrzeń badawczą dla historyka, stając się materiałem poznawczym i świadectwem równie interesującym, co inne, klasyczne źródła wiedzy o badanym zagadnieniu. Nieliterackie źródła pisane będą z pewnością zyskiwały na znaczeniu wzbogacając kontekst historyczny współczesnych społeczeństw o jego atrybuty: kulturę masową, konsumpcjonizm, powszechność technologii i form komunikowania się itd. To jednak ciągle materiał współczesny – jak więc wykorzystuje nieliterackie źródło pisane historyk, badający historię społeczno-polityczną Polski rządzonej przez komunistów w drugiej połowie XX wieku.

Postanowiliśmy wraz z Bartoszem Bijakiem – historykiem i archiwistą łódzkiego IPN spojrzeć bliżej na fenomen polskiego politycznego graffiti – tego plebejskiego wolnego głosu, który publicznie mógł znaleźć wyraz tylko tam gdzie nawet bezpieka zaglądała z niechęcią – w publicznej toalecie.

Miejsce usprawiedliwia język, który cytujemy bez moralno-etycznej cenzury, która odebrałaby mu wszelką autentyczność i wiarygodność. Wydaje się zresztą, że nie jedynie miejsce określa język toaletowych inskrypcji, a bardziej ich adresat, który z pewnością miał co czytać. Bo chociaż jako się rzekło bezpieka nie zaglądała w te ustronne miejsca z przyjemnością, to jednak wytrwale dokumentowała pojawiające się w nich piśmiennictwo. Miejmy nadzieję, że było przyczyną niejednego rozstroju. Towarzysze obawiali się, że wróg czai się wszędzie – tymczasem wszędzie czai się historia – czasami tragikomiczna, plebejska, bywa że wulgarna i dosadna, taka przez małe „h". Ale może też dodać swej większej siostrze autentyzmu prostych emocji zwykłych ludzi. I wtedy zwykły napis stanie się inskrypcją. I przejdzie do historii. To dopiero byłaby historia!

Izabela Kwiecińska

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

15–17 maja 2015 r.

Campanile HOTEL RESTAURANT

PREMIERE CLASSE HOTELS

X KONFERENCJA POPULARNONAUKOWA „WROCŁAW – MIASTO NIEODKRYTYCH TAJEMNIC"

Przygotowanie do tegorocznej, jubileuszowej konferencji wkroczyły w decydującą fazę. Pora zatem na informacje organizacyjne, na które wszyscy zainteresowani czekają z niecierpliwością.

Zaczynamy w **piątek 15 maja** o 16:00 blokiem tematycznych prelekcji, które przybliżą nam punkty programu wyjazdowego. Ale najpierw prosimy wszystkich o akredytację w biurze konferencji – w hotelu Premiere Classe przy ulicy Ślężnej 26 we Wrocławiu – gdzie czekamy na Was od godziny 13:00.

Sobota 16 maja – I dzień zwiedzania. Na naszej trasie m.in.:

- **Opactwo cystersów w Lubiążu** – cysterski zespół klasztorny, jeden z największych zabytków tej klasy w Europie i jednocześnie największe opactwo cysterskie na świecie. Arcydzieło śląskiego baroku. Niegdyś jeden z najbogatszych klasztorów cysterskich na Śląsku, skarbnica dzieł sztuki gromadzonych przez stulecia, w ciągu XIX i XX w. uległa degradacji. Dziś z wielkim wysiłkiem dąży się do przywrócenia zabytkowi dawnej świetności.
- **Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych** – zwiedzimy Salę Tradycji oraz skansen sprzętu inżynieryjno-saperskiego. Poznamy też współczesne pole walki, a być może przejdziemy szkolenie….
- **Zamek w Urazie** – XIII-wieczny zamek o unikatowej bryle. Zbudowany z rudy bagiennej i cegły na planie trójkąta. Tego typu budowle wznoszono sporadycznie. Trzy powstały na Podolu, dwa, zbudowanych przez Rosjan, w okolicach Połocka. Na tym tle średniowieczna budowla w Urazie jest zupełnie niepowtarzalna. Warto ją zobaczyć.
- **Muzeum Motoryzacji Topacz** – tu odbędziemy wyjątkową podróż do czasów, kiedy każdy pojazd posiadał indywidualny i niepowtarzalny charakter oraz zobaczymy największą, polską kolekcję samochodów Rolls&Royce i Bentley.

Sobotę zakończymy wspólną kolacją w Sali Kolumnowej pobliskiego zamku.

Niedziela 17 maja – II dzień zwiedzania w całości przeznaczony na wycieczkę pieszą i autobusową po Wrocławiu. Na naszej trasie m.in.: dworzec , Wzgórze Polskie, Wzgórze Partyzantów, Hala Stulecia, schrony Konwiarza.

Kilka bardzo ważnych, praktycznych informacji dotyczących rejestracji oraz noclegów.

Koszt jednej akredytacji to **249,69** zł brutto (w tym 49,69 zł 23% podatku VAT) za osobę. W ramach wpisowego każdy uczestnik ma zagwarantowany udział we wszystkich punktach programu konferencji, zestaw materiałów konferencyjnych, w tym płyta ze specjalną prezentacją, okolicznościowy znaczek, przejazdy autobusami, wejście do wszystkich obiektów bez dodatkowych opłat, ubezpieczenie NNW na czas trwania konferencji, piątkową kolację oraz sobotni obiad i kolację. Inne koszty, w tym zakwaterowanie, czy dojazd, uczestnicy opłacają niezależnie.

Rejestracja

Wzorem lat ubiegłych rejestracja odbywać się będzie w formie elektronicznej. Po wejściu na naszą główną stronę: www.odkrywca.pl znajdziecie tam wyraźną wskazówkę, w co należy kliknąć, aby przejść do formularza rejestracyjnego lub wpisać bezpośrednio do przeglądarki

http://www.systemcoffee.pl/?lang=pl&go2rej=1&kid=437

Ponownie korzystamy z Systemu Coffee, tak więc niektórzy mogą znaleźć ubiegłoroczne dane, które prosimy zweryfikować. System jest bardzo intuicyjny i na pewno nie sprawi nikomu trudności. Opisowe okienka pomogą wszystkim w prawidłowym wypełnieniu formularza zgłoszeniowego, gdzie musimy podać: swoje imię i nazwisko, adres zameldowania i numer PESEL niezbędny do ubezpieczenia. Wiemy, że bardzo często uczestniczycie w konferencji w gronie zaprzyjaźnionych osób, których chcecie zarejestrować lub też zrobią to sami. Pamiętamy o tym, i w formularzu rejestracyjnym przewidzieliśmy dodatkowe rubryki z imieniem i nazwiskiem, w których powinniście wpisać, z kim chcecie być w jednej grupie – możecie dodać kilka osób. Stali bywalcy wiedzą, o co chodzi, chociaż bywa, że i oni o tym zapominają. Tym, którzy będą z nami pierwszy raz, zwracamy szczególną uwagę na uzupełnienie tej informacji, ponieważ tuż przed rozpoczęciem konferencji, już na miejscu w biurze konferencyjnym, odznaczamy Wasze zgłoszenia na przygotowanych wcześniej listach grupowych i wówczas UWAGA! zmiany będą niemożliwe. Pozwoli nam to uniknąć chaosu podczas rejestracji.

Krótka instrukcja rejestracji:

1. Po wejściu do panelu rejestracyjnego uzyskamy dostęp do formularza – jako uczestnik. Należy wypełnić go zgodnie z wymaganiami systemu. W formularzu przewidziana jest opcja dodawania osób towarzyszących czyli tych, z którymi chcemy być w jednej grupie Tutaj także będziemy mogli wpisać dane firmy, gdy potrzebujecie fakturę.

2. Po prawidłowym wypełnieniu formularza, przejdziemy do strony płatności. Płatności można dokonać:

– bezpośrednio na konto organizatora: IBHiK sp. z o.o. Numer 98 2490 0005 0000 4520 6153 2533, lub

– on-line z wielu kanałów za pośrednictwem firmy Dotpay.

Potwierdzenie rejestracji, płatności oraz wszelkich, nawet późniejszych, zmian, zostaną wysłane do uczestnika na podany adres mailowy.

Mamy nadzieję, że cały proces rejestracji i opłat nie sprawi nikomu trudności.

UWAGA: system rusza **1 kwietnia br.** i trwa do wyczerpania 200 akredytacji lub do końca kwietnia. Wszelkie reklamacje, zwroty i zmiany personalne przyjmujemy do **6 maja br**. Po tym terminie, ze względów logistycznych, nie będziemy mogli, przy rezygnacji uczestnika, zwrócić wpłaty.

Noclegi

Tegoroczną bazą naszej konferencji są: *** Hotel Campanile Wrocław Centrum i * Hotel Premiere Classe Wrocław stanowiące jeden kompleks przy ul. Ślężnej 26 we Wrocławiu. Hotele dysponują pokojami jedno- i dwuosobowychm, a także łączonymi pokojami rodzinnymi. Rezerwacji noclegów można dokonać od 1 kwietnia br. w dziale rezerwacji – na hasło „Odkrywca":

– telefonicznie, dzwoniąc na numer **+ 48 71/ 783 03 50**

– pisząc na adres e-mail:

reservations.wroclaw.centrum@campanile.com

Istnieje możliwość przedłużonego pobytu w hotelu na tych samych warunkach dobę przed lub po konferencji. Cena noclegu ze śniadaniem wynosi, w zależności od kategorii hotelu: **175 zł** lub **120 zł** za pokój jednoosobowy i **199 zł** lub **140 zł** za dwuosobowy. Parking na terenie obiektu płatny. Bezpłatne parkingi są dostępne w najbliższej okolicy.

Oczywiście we Wrocławiu jest wiele innych możliwości noclegowych, ale te musicie znaleźć już we własnym zakresie.

Wszelkie dodatkowe i aktualne informacje możecie także uzyskać:

– telefonicznie: 71 329 71 71 lub tel. komórkowy 501 675 126

– e-mail: konferencja@odkrywca.pl

– na naszej stronie www.odkrywca.pl

– oraz na naszym profilu na facebooku

Serdecznie zapraszamy do spędzenie weekendu z „Odkrywcą".

Pisząc ten artykuł, spoglądam z redakcyjnego okna. Na pobliskim skwerku pracują dwie koparki. Spod odsłoniętej ziemi wystaje rura, widać też fragmenty ceglanego muru, a na dnie wykopu szary beton. Już sam nie wiem czy to wyobraźnia płata figle, czy tak jest w rzeczywistości. Co się pod nim znajduje? Tego się i tak nie dowiem. Robotnicy zlokalizowali awarię i już ją naprawiają. Za chwilę dół zostanie zasypany, skrywając na kolejnych kilkadziesiąt lat tajemnicę tego, co jest głębiej...

WROCŁAW – miasto nieodkrytych tajemnic...

PIOTR MASZKOWSKI

Breslau w czasach III Rzeszy miał być wyjątkowym miastem. Miał posiadać jeden z najbardziej tajnych systemów podziemnej kolei oraz wielopoziomowy dworzec kolejowy. Luftwaffe dysponowało tu potężną bazą lotniczą, znajdującą się głęboko pod murawą jednego z tutejszych lotnisk, a liczne schrony podziemne i naziemne były częścią ukrytego pod ulicami świata, gdzie naziści realizowali swe najbardziej mroczne projekty. Taki obraz miasta wyłania się z wielu legendarnych historii, jakie funkcjonują we Wrocławiu od co najmniej 70 lat. Czy są to jednak tylko legendy?

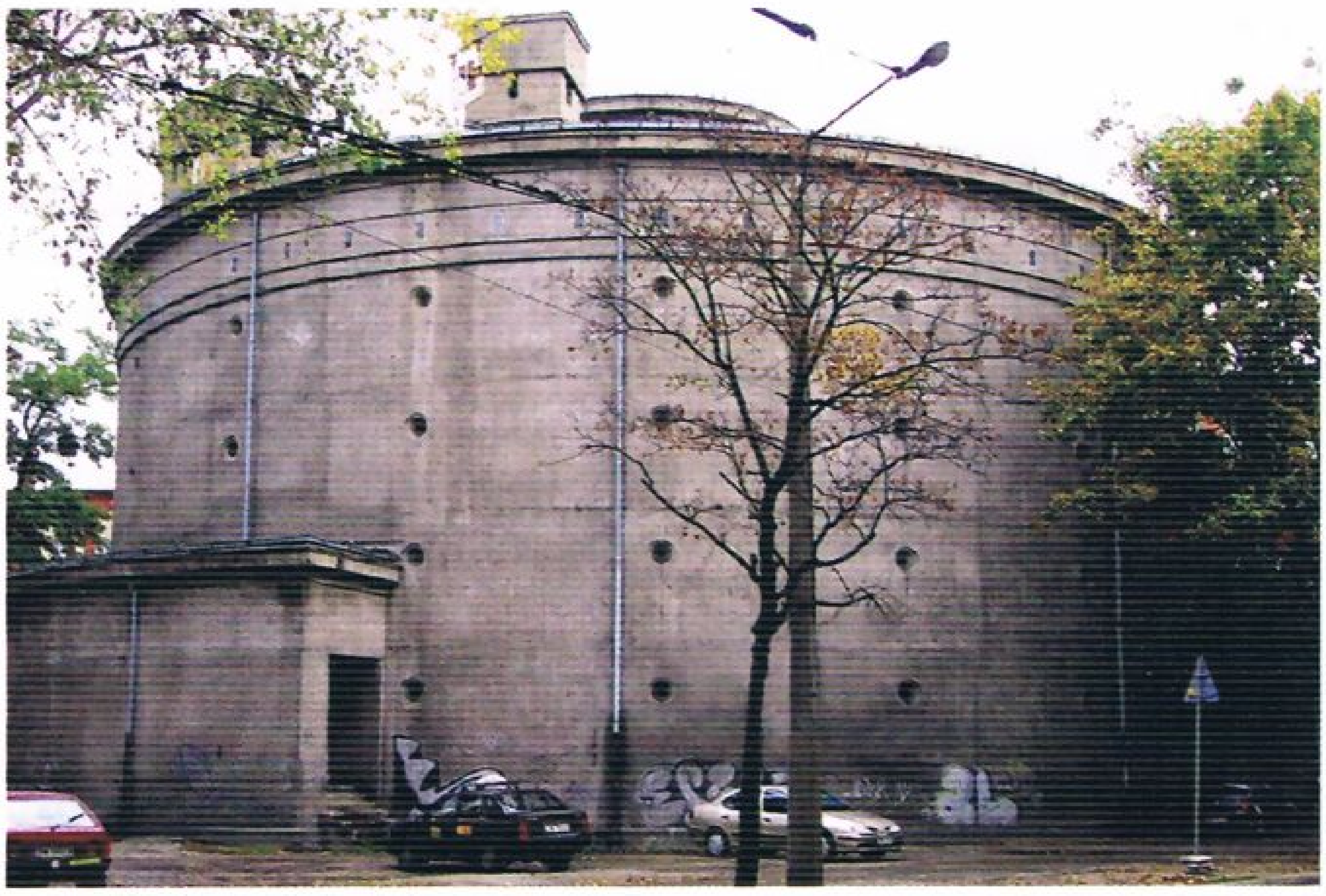

Okrągły, przeciwlotniczy schron naziemny (Hochbunker) przy ul. Ołbińskiej zbudowany w 1943 roku. W czasie oblężenia znajdował się w nim lazaret, obecnie służy jako składnica Muzeum Narodowego.

Cylindryczny schron przy pl. Strzegomskim, obecnie siedziba Muzeum Współczesnego Wrocław. Po remoncie stracił nieco swój oryginalny, utrzymany od czasów wojny charakter.

Podziemny Wrocław

Ten prawdziwy istniał, i z całą pewnością istnieje nadal. Ma obecnie ponad 1000 km długości i rozciąga się pod całym miastem w postaci rozbudowywanej od połowy XIX wieku instalacji wodociągowej, kanalizacyjnej i burzowej. Był jeszcze jeden podziemny Wrocław – solidarnościowy, opozycyjny i antysystemowy w latach 80. XX wieku. Poza tym w dużym uproszczeniu można stwierdzić, że są piwnice, przejścia podziemne i coraz więcej znajdujących się pod powierzchnią garaży. Pozostały jeszcze schrony obrony przeciwlotniczej, lecz z roku na rok jest ich coraz mniej, włącznie z tymi największymi. Spośród nich ostał się właściwie jeden – pod placem Solnym, dwa kolejne – pod placem Nowy Targ i przy Dworcu Głównym – całkiem niedawno straciły swój pierwotny charakter, wzbogacając ilość miejsc parkingowych w ścisłym centrum miasta. Tym samym ich znalezienie przy ulicach, graniczy obecnie z cudem.

Taka jest w dużym uproszczeniu wrocławska, „podziemna" rzeczywistość.

Jednak od niepamiętnych czasów krążą po mieście pełne tajemnic opowieści o istnieniu podziemnego Wrocławia, czyli znacznie bardziej rozbudowanej infrastruktury, tworzonej w ramach ściśle tajnych przedsięwzięć nazistów. Co więcej, w owych sekretnych czeluściach kryć się miały wciąż nieodkryte i pełne dóbr magazyny lub co najmniej wypełnione kosztownościami skrzynie. Te sensacyjne tematy zostały szybko podchwycone przez lokalną prasę, dzięki czemu stały się niezwykle popularne. Zgłaszali się kolejni świadkowie, powstawały nowe wątki, mnożyły się teorie i hipotezy. Pojawili się ich zwolennicy, jak i zacięci przeciwnicy toczący do dziś gorące dyskusje. Przyjrzyjmy się zatem najważniejszym z nich.

Podziemne lotnisko

Pierwsza z hipotez dotyczy wydarzeń mających rzekomo miejsce niedługo przed wybuchem II wojny światowej. Na tle późniejszych wyróżnia ją pierwszorzędne źródło informacji – zachowane do dzisiaj w Centralnym Archiwum Wojskowym raporty, opracowane przez ekspozyturę Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, ulokowaną przy polskim konsulacie w Breslau. Dowiadujemy się z nich o niezwykle intrygującej sprawie.

We wrześniu 1937 roku do szefa tejże placówki, zakamuflowanej pod kryptonimem „Adrian", majora Brunona Grajka ps. „Gärtner", zgłosił się niejaki Jan Musiał. Mężczyzna twierdził, iż jako robotnik pracował przy ściśle tajnym projekcie budowy, w pobliżu Wrocławia, nowego lotniska wojskowego połączonego z… kompleksem podziemnych hangarów. Hangarów o potężnej kubaturze, mogących pomieścić 80 dużych samolotów wyposażonych w zaawansowane technologicznie rozwiązania oraz rozbudowany system obrony przeciwlotniczej. Informator opisał obiekt niezwykle plastycznie, podając liczne szczegóły, włącznie z wymiarami i rozkładem poszczególnych hal. Jak się można domyślić, prace przy owym spektakularnym nawet z dzisiejszej perspektywy założeniu, miały być doskonale zamaskowane i całkowicie niewidoczne z zewnątrz dla postronnych obserwatorów. Oficer „Dwójki" podszedł do tych rewelacji ostrożnie, zwłaszcza że szybko pojawiły się nieścisłości w kwestii ustalenia lokalizacji tajemniczego przedsięwzięcia. Jan Musiał bowiem najwyraźniej jej nie znał. Początkowo wspominał o Stabłowicach (osiedle w zachodniej części Wrocławia), gdy jednak okazało się, że niczego tam nie ma, zaczął wskazywać tereny lotniska wojskowego w Strachowicach (płd.-zach. część Wrocławia) – funkcjonującego do dzisiaj. W efekcie ani w jednym, ani w drugim przypadku nie udało się potwierdzić istnienia podziemnej bazy lotniczej. Do dzisiaj.[1]

Gdyby taki obiekt został ujawniony w jakimkolwiek czasie w przeciągu ostatnich 75 lat, byłaby to z pewnością sensacja na skalę światową. W całym tym okresie żadne państwo, włącznie z supermocarstwami, nie zrealizowały czegoś podobnego. W każdym razie historia wojskowości takiego przypadku nie odnotowała. Zapewne głównie dlatego, że byłyby to działania… pozbawione jakiegokolwiek sensu, zarówno z militarnego, logistycznego, jak i ekonomicznego punktu widzenia. Z podobnego założenia wyszedł także polski wywiad. Świadczy o tym choćby fakt braku szczególnego zainteresowania ze strony centrali polskiego wywiadu, która nie naciskała specjalnie wrocławskiej placówki do intensywnego rozpracowania tej sprawy. Niewykluczone też, że obawiano się prowokacji Abwehry, mającej na celu odwrócenie uwagi wrocławskich „dwójkarzy" od bardziej istotnych zadań w obliczu przygotowań do zbliżającej się wojny. Najprawdopodobniej jednak Jan Musiał miał nieprzeciętnie bujną wyobraźnię…

Niezależnie od wszystkiego, fama podziemnego Breslau po raz pierwszy wyszła poza mury miasta…

„Bunkry"

Berlin, sierpień 1940 roku. Choć niedługo minie rok od wybuchu jak dotąd zwycięskiej dla Niemców wojny, w stolicy, oraz w wielu aglomeracjach III Rzeszy, nie odczuwa się jeszcze jej skutków. Panuje atmosfera triumfu, gazety donoszą o kolejnych zwycięstwach Luftwaffe w powietrznej bitwie o Anglię i rychłej inwazji na Wielką Brytanię. Jednak w rzeczywistości losy tej kampanii były już przesądzone, a Berlin wkrótce stanie się celem niszczycielskich nalotów bombowców Królewskich Sił Powietrznych. Do tej pory w mieście ogłaszano alarm przeciwlotniczy zaledwie 7 razy… z nieba jednak sporadycznie spadały bomby.

Wszystko zmieniło się w nocy z 25 na 26 sierpnia 1940 roku. Po zbombardowaniu, kilka dni wcześniej, przez Luftwaffe mieszkalnych dzielnic Londynu, Winston Churchill w ramach odwetu wysłał 95 bombowców RAF-u nad Berlin. W ciągu kilku tygodni ataki na cele w całych Niemczech były ponawiane, a skala zniszczeń i liczba ofiar drastycznie wzrastały. Szybko okazało się, że mieszkańcy Niemiec nie są dostatecznie chronieni przed ich skutkami. W związku z tym, w październiku 1940 roku, zainicjowany został tzw. Führer-Sofortprogramm (lub Luftschutz Sofortprogramm) – zakrojony na szeroką skalę program budowy w 60 najbardziej narażonych na naloty miastach Rzeszy systemu naziemnych i podziemnych schronów przeciwlotniczych, oraz adaptację istniejącej infrastruktury (piwnic, tuneli itp.) na potrzeby obrony cywilnej. W całych Niemczech rozpoczęło się jedno z największych przedsięwzięć budowlanych w dziejach, choć jak to przeważnie w III Rzeszy bywało – programowa megalomania szybko musiała ustąpić prozie życia. Projekty i plany licznych obiektów powstały dość szybko, jednak ich realizacja postępowała niezwykle powoli. Przygotowania do inwazji na Związek Radziecki, budowa Wału Atlantyckiego, produkcja zbrojeniowa i wiele innych czynników miały znacznie wyższy priorytet, niż zabezpieczenie ludności cywilnej w obliczu wciąż jeszcze umiarkowanego zagrożenia alianckimi nalotami, których intensyfikacja nastąpiła dopiero w 1942 roku. Dla nazistowskich władz był to impuls do wznowienia projektu, co pozwoliło do połowy kolejnego roku ukończyć ok. 2000 schronów w 76 niemieckich miastach.

Schron przeciwlotniczy przy ul. Ładnej.

Wśród nich był oczywiście Wrocław – jedna z największych metropolii III Rzeszy oraz znaczący ośrodek przemysłu zbrojeniowego.

Początkowo planowano tu budowę 4 dużych podziemnych (Tiefbunker) i naziemnych (Hochbunker) schronów przeciwlotniczych, wkrótce jednak zwiększono tę ilość do 9. Poza tymi, mającymi powstać od podstaw inwestycjami, pracami adaptacyjnymi i modernizacyjnymi objęto w mieście ok. 400 istniejących już obiektów, dostosowując je do obowiązujących wymogów zabezpieczenia ludności przed skutkami spodziewanych bombardowań[2] (o ich przebiegu pisze w tym numerze Leszek Adamczewski na str. 9-13).

Ku legendzie

Na próżno szukać w polskich miastach[3] podobnych budowli jak naziemne, pięciokondygnacyjne, okrągłe schrony

Gmach dawnego Prezydium Policji (obecnie KWP). To stąd miało być ewakuowane słynne „Złoto Wrocławia" i ukryte gdzieś w Sudetach.

(Hochbunker) przy pl. Strzegomskim oraz ul. Ołbińskiej we Wrocławiu. Zostały zaprojektowane w latach 1940-1941, lecz ich wznoszenie rozpoczęto dopiero dwa lata później. Na początku roku 1945, w obliczu spodziewanego oblężenia miasta, dowództwo twierdzy zleciło zaadaptowanie obu obiektów na szpitale polowe. Schron przy Ołbińskiej, jako Festung Lazarett IVB, pełnił tę funkcję do kapitulacji, natomiast przy pl. Strzegomskim (Festung Lazarett II) do połowy kwietnia. Wówczas, w wyniku toczących się w pobliżu walk i powstałych w ich trakcie uszkodzeń, pojawiła się konieczność ewakuacji przebywających wewnątrz rannych. Choć zachowało się kilka relacji dotyczących wykorzystania bojowego przez Niemców tego obiektu, jako punktu oporu, jego specyficzna konstrukcja i brak otworów strzelniczych wykluczały skuteczne pełnienie tego typu zadań. Z pewnością jednak znalazł się w linii natarcia Armii Czerwonej, której oddziały podjęły skuteczną próbę jego zdobycia.

Pomimo pewnych zniszczeń oba schrony przetrwały oblężenie, stając się po wojnie charakterystycznymi elementami miejskiego krajobrazu, polskiego już Wrocławia. Obecnie w obiekcie przy pl. Strzegomskim mieści się siedziba Muzeum Współczesnego Wrocław, natomiast w schronie przy Ołbińskiej – składnica Muzeum Narodowego.[4]

Nieco mniej spektakularne są trzy pozostałe schrony naziemne (Hochbunker), zbudowane na planie prostokąta. Z daleka wyglądają jak klasyczne kamienice, a to, co odróżnia je od otaczających budynków, to brak otworów okiennych. Podobnie jak okrągłe schrony, zostały zaprojektowane w latach 1940-1941 i wybudowane w roku 1943 – jeden przy ul. Stalowej, kolejny przy ul. Ładnej oraz nieco mniejszy przy ul. Białodrzewnej. Pierwszy z nich w trakcie oblężenia stał się siedzibą sztabu pułku „Mohr", jednak w połowie marca został opuszczony, a jego dalsza funkcja do kapitulacji pozostaje do dziś nieznana. W drugim przez cały okres oblężenia znajdował się szpital polowy. Przeznaczenie trzeciego schronu w tym czasie nie zostało zidentyfikowane.[5]

Schrony podziemne (typu Tiefbunker) powstały pod pl. Solnym i pl. Nowy Targ mniej więcej w tym samym okresie co naziemne, natomiast obiekt przy Dworcu Głównym nieco później, bo w połowie 1944 roku. W źródłach pojawia się również informacja o czwartym obiekcie tego typu – przy pl. Solidarności, jednak jego istnienia nie udało się do dziś potwierdzić, mimo, że w trakcie oblężenia miał pełnić, podobnie zresztą jak pozostałe, funkcje lazaretu.[6]

Schrony sensacyjnego przeznaczenia...

Wiemy zatem, że we Wrocławiu, podobnie jak w kilkudziesięciu innych miastach III Rzeszy, realizowany był na szeroką skalę program budowy schronów przeciwlotniczych. Wiemy również, że zostały one wykorzystane jako szpitale polowe podczas oblężenia Festung Breslau w 1945 roku. Jednak być może owa skala, czy też nietuzinkowość ich konstrukcji, na tle pozostałych miast polskich, bo raczej nie niemieckich, spowodowały, że dla części badaczy tajemnic ten epizod wrocławskiej historii okazuje się zbyt banalny.

Prym pod tym względem wiódł najpłodniejszy i najbardziej wpływowy promotor dolnośląskich i wrocławskich tajemnic lat 90. – emerytowany oficer Służby Bezpieczeństwa, Stanisław Siorek. Od końca lat 80. XX wieku, podpierając się autorytetem byłego pracownika kontrwywiadu i doświadczeniem pracy na „kierunku niemieckim", oczarował w początkowym okresie transformacji ustrojowej złaknionych sensacji dziennikarzy lokalnych mediów, stając się niekwestionowanym guru wojennych tajemnic Dolnego Śląska i Wrocławia. Zresztą uwiódł nie tylko ich, ale również i dolnośląskie środowisko eksploracyjne, któremu w pionierskim okresie działalności nadał wiele z kontynuowanych do dziś kierunków poszukiwań. Jego zasługi dla popularyzacji tematyki niewątpliwie są bezsprzeczne, natomiast co do ich jakości, można mieć spore zastrzeżenia. Niemniej, jak się zdaje, to jego opinia opublikowana na łamach jednego z najbardziej prestiżowych miesięczników regionu w 1994 r., utrwaliła klasyczny obraz legendy „Podziemnego Wrocławia" i jego nieodłącznego elementu, jakim były liczne w mieście schrony:

„Niektórzy mówią dzisiaj, że były to magazyny wojskowe, inni zaś, że szpitale czy bunkry obronne, albo schrony przeciwlotnicze. Wszystkie wersje aczkolwiek formułowane przez różne autorytety, nie wytrzymują prostej krytyki! (...) W krytycznym momencie, podczas oblężenia miasta w tych bunkrach zorganizowano schrony, ale to była konieczność, bo nie było innego wyj-

W numerze lutowym (2/193) z 2015 roku zadaniem konkursowym dla naszych Czytelników było rozwiązanie krzyżówki. Należało przesłać hasło powstałe z ponumerowanych pól prawidłowo rozwiązanej krzyżówki.

Hasło z numeru lutowego to: **„Skarby pruskiej twierdzy"**

Wszyscy, którzy nadesłali prawidłowe hasło, a było ich blisko stu, zostali nagrodzeni i otrzymali ciekawe pozycje książkowe.

Wszystkim uczestnikom serdecznie dziękujemy za udział w konkursie. Jak zawsze zapraszamy do udziału w następnych. Każdorazowo do wygrania jest wiele cennych i atrakcyjnych nagród. Serdecznie zachęcamy Was do aktywnego udziału w każdej edycji konkursu. Pamiętajcie, nie wygrywa tylko ten, który nie gra!

Zwycięzcom serdecznie gratulujemy!

ścia. Jednak w okresie budowy, w 1941 roku, nie wznoszono by takiej konstrukcji na schron w twierdzy, byłby on bowiem do rozwalenia kilkoma bombami".

Czym więc były?

„Istniejące i nieistniejące bunkry miały być, i były, całkowicie odizolowaną od świata i ludzi kwaterą, inaczej sypialnią czy miejscem regeneracji setek tysięcy ludzi, więźniów i jeńców wojennych, budujących podziemną komunikację, podziemne fabryki pracujące dla wojska. Krótko mówiąc, były to miejsca zakwaterowania dla podludzi – robaczków mających budować podziemne miasta, pracować na rzecz Panów, budując dla nich podziemne autostrady, fabryki i metra (...)".[7]

Zaprawdę iście Orwellowska wizja, której nie powstydziłby się, publikujący swe co miesięczne felietony na łamach tego samego periodyku, Stanisław Lem – mistrz i klasyk fantastyki naukowej. Tekst Stanisława Siorka, mimo fantastycznej treści, sklasyfikowany był jednak jako literatura faktu (!).

Po 20 latach wrocławskie schrony, mimo iż wiedza na ich temat została w tym czasie pogłębiona, nadal inspirują badaczy do tworzenia nowych, co najmniej kontrowersyjnych teorii. Jedną z nich wysnuł całkiem niedawno znany wszystkim popularyzator historii, Bogusław Wołoszański. Otóż w jednym ze swych cyklicznych felietonów na łamach poczytnego magazynu historycznego, zasugerował, że okrągły, wrocławski schron przy pl. Strzegomskim, ze względu na swoją specyficzną konstrukcję, niezbyt skutecznie mógł spełniać funkcję obiektu obrony przeciwlotniczej dla ludności cywilnej. Powiązał go więc z... nazistowskim programem jądrowym, mającym na celu wyprodukowanie na potrzeby III Rzeszy bomby atomowej (!). Co więcej, słynny twórca „Sensacji XX wieku" poszedł krok dalej – połączył jednocześnie wrocławski schron z... podziemnymi obiektami w Górach Sowich, podprogowo szepcząc czytelnikowi do ucha: *„Czyżby więc okrągłe bunkry we Wrocławiu wskazywały kierunek rozważań nad przeznaczeniem kompleksu »Riese«? – Hale w Osówce i Rzeczce, za krótkie i wąskie do produkcji przemysłowej, są w sam raz dla wirówek wzbogacających uran. Może więc warto rozglądać się bacznie, spacerując ulicami... "*.[8]

Pozostawiając więc ową hipotezę bez dalszego komentarza, podążmy szlakiem kolejnych tropów podziemnego i tajemniczego Wrocławia.

Podziemny dworzec i metro

Ktoś *„(...) twierdził, że pod Dworcem Głównym znajdował się drugi podziemny dworzec (...)"*, a *„(...) od tego dworca rozchodziły się prawdopodobnie liczne tunele, które kończyły się aż za miastem"*.[9] Inny, że pod 5 peronem był szpital-rozdzielnia dla rannych żołnierzy Wehrmachtu *„skąd prowadziły zbudowane podziemne ciągi komunikacyjne z kolejką elektryczną, którymi przywiezieni trafiali pod właściwy adres, czyli do szpitali znajdujących się w dość bliskim sąsiedztwie Dworca Głównego"*.[10]

Dworzec Główny to miejsce wyjątkowe, nawet bez towarzyszących mu legend. Pod kątem architektonicznym (angielski neogotyk) jest bez wątpienia jedną z najciekawszych stacji kolejowych w kraju, a w czasach, gdy ją wznoszono (1855-57), należała do największych obiektów tego typu w Europie. Kryje wiele tajemnic związanych z jej mniej lub bardziej domniemanymi podziemiami, które rozpalają wyobraźnię praktycznie od zakończenia II wojny światowej. Trudno przytoczyć wszystkie wersje i relacje w jednym miejscu, jednak wspólnym elementem niemal każdej z nich, jest istnienie pod bryłą budowli, (i) lub w jej sąsiedztwie, rozbudowanej infrastruktury. Nie są to jednakże instalacje i pomieszczenia techniczne służące np. do utrzymania ruchu kolejowego, obsługi pasażerów czy rozwiązań technicznych, niezbędnych do funkcjonowania każdego dworca czy nawet węzła kolejowego.

To drugi dworzec pod znanym nam dworcem, z co najmniej jednym podziemnym peronem. Co najmniej, gdyż w świetle różnych przekazów ich liczba mogła być znacznie większa, podobnie jak ilość poziomów... Całość dopełniać miał podziemny system komunikacyjny, którego kolejowe odnogi rozchodziły się w kilku kierunkach – zarówno do samego centrum, jak i na: Ołtaszyn, Brochów, Bielany Wrocławskie, do Św. Katarzyny i... tu wpisać można właściwie dowolny, wymarzony kierunek z Berlinem włącznie.

Cokolwiek miałoby się znajdować pod dworcem, musiało być nieistotne dla jego późniejszego funkcjonowania. Wrocław Główny wraz z potężnym węzłem kolejowym działał od zakończenia wojny bez specjalnych zawirowań. W związku z tym, że część jego wyłączonej z eksploatacji infrastruktury podziemnej była trwale zalana wodą (co w mieście nie jest niczym nadzwyczajnym), wszelkie próby penetracji owych tajemniczych przestrzeni w poszukiwaniu niższych kondygnacji, okazywały się niemożliwe do przeprowadzenia ze względu na zbyt duże ryzyko i koszty. Jednak do czasu.

Hipoteza o istniejącym podziemnym dworcu, z którego rozchodzą się w wielu kierunkach kolejowe rozgałęzienia, wygenerowała ko-

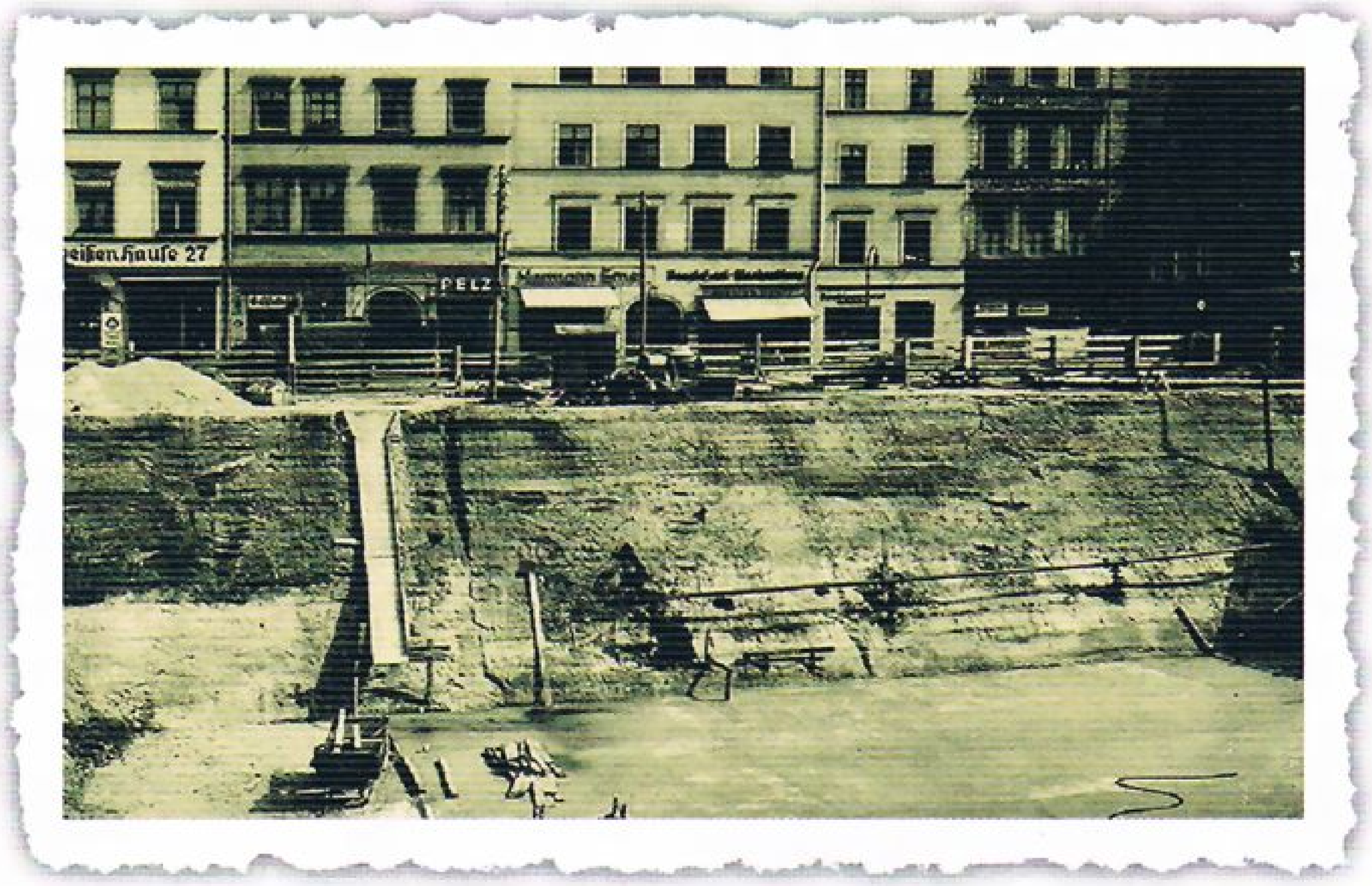

Budowa największego z podziemnych schronów przeciwlotniczych pod pl. Nowy Targ we Wrocławiu. Podobnie wyglądała budowa pozostałych Tiefbunkrów przy Dworcu Głównym oraz pl. Solnym.

lejną legendę – wrocławskiego metra. Metra jedynego w swoim rodzaju, bo ściśle tajnego i jednocześnie służącego wyłącznie celom militarnym. Warto zwrócić uwagę, że na podobne rozwiązanie nie zasłużyła sobie nawet stolica 1000-letniej Rzeszy w czasach swojej świetności. Ani żadne inne miasto na świecie.

Faktem pozostaje, że z technicznego punktu widzenia budowa metra we Wrocławiu była możliwa, o czym świadczą plany takiej inwestycji opracowane jeszcze w latach 30. przez Radę Miejską w Breslau. Również w okresie PRL-u analizowano taką koncepcję, chociaż dopiero kilka lat temu powstał bardziej zaawansowany projekt kolejki podziemnej opracowany przez Biuro Rozwoju Miasta. Nic nie wskazuje jednak na to, że takie przedsięwzięcie zostanie we Wrocławiu zrealizowane, choć kwestia ta wciąż pozostaje otwarta.

Został natomiast kompleksowo przeprowadzony remont Dworca Głównego, podczas którego odkryto wiele jego tajemnic. Pomimo to, nie był to drugi dworzec, ani nawet niższa kondygnacja podziemnego schronu przeciwlotniczego przed jego frontem. Na ślady metra również nie natrafiono…[11]

To jednak nie wszystko, legend bowiem jest więcej…

W tym miejscu warto nadmienić o jednej ze sztandarowych historii, związanej z domniemaną ewakuacją z miasta zasobów bankowych oraz depozytów kosztowności mieszkańców Breslau, jaka miała mieć miejsce na przełomie 1944-1945 roku. To legendarne, ukryte gdzieś w Sudetach, do dziś zresztą poszukiwane, „Złoto Wrocławia". Obecnie historia ta nie rozpala już wyobraźni tak jak kiedyś, lecz jeszcze nie tak dawno próbowały go odnaleźć zarówno służby specjalne, jak i kilka generacji eksploratorów, pospołu z przedstawicielami wszelakich mediów. Mało tego, powstały na ten temat setki artykułów, a nawet poważna publikacja książkowa…

Nikomu, nigdy nie przeszkadzało, że właściwie cała sprawa od początku do końca oparta była na zeznaniach tylko jednego, w dodatku domniemanego świadka, jakim był „słynny" Herbert Klose, a fakt ogłoszenia apelu do mieszkańców Breslau o deponowanie swego majątku w Prezydium Policji wrocławskiej, potwierdził zaledwie jeden człowiek z kilkuset tysięcy ludzi przebywających pod koniec 1944 roku w mieście.

To zresztą nie jedyna tego typu sprawa, zdecydowanie jednak najsłynniejsza. Ona też rozpaliła prawdziwą, skarbową gorączkę, która swoją temperaturą przyćmiła wiele bardziej realnych spraw mających miejsce dużo wcześniej. Bowiem w latach 40. i 50. nie tylko poszukiwano ukrytych pod ziemią kosztowności i skarbców, ale też i je odnajdywano. Jednakże do spektakularnych odkryć na miarę owego „Złota Wrocławia" zapewne nie doszło… W każdym razie brak na to jakichkolwiek dowodów, co oczywiście daje pole do stawiania dowolnych hipotez i spekulacji. Tak jednak było od zawsze. Albowiem podstawowy kłopot z teoriami spiskowymi polega na tym, że nigdy nie da się ich obalić ostatecznie. Zwolennicy takich teorii zawsze znajdą sposób, choćby bardzo fantastyczny, aby podtrzymać jej sypiącą się konstrukcję.

Ciąg dalszy nastąpi…

W latach 40. pojawiła się po raz pierwszy historia podziemnego, w pełni wyposażonego szpitala pod placem Grunwaldzkim. W próby jego zlokalizowania zaangażowane zostało Przedsiębiorstwo Poszukiwań Terenowych oraz bezpieka, która tropiła rzekomego świadka po całej Polsce. Bezskutecznie.

Magazyn podziemny miał się znajdować również pod Stadionem Olimpijskim we Wrocławiu, o czym poinformowała w latach 50. Izbę Skarbową pewna kobieta, żądając w zamian za ujawnienie szczegółów na ten temat zawrotnej kwoty 1 miliona złotych. Podjęte wówczas i wielokrotnie później poszukiwania, nie przyniosły rezultatów. Legenda pozostała.

Podobnie ze sprawą ukrytych przez SS-manów skrzyń pod wrocławskim Wzgórzem Partyzantów, gdzie w trakcie oblężenia mieścił się schron dowództwa obrony Festung Breslau. Te, i podobne tematy ciągną się przez ostatnie 70 lat, stając się przedmiotem wnikliwych poszukiwań prowadzonych szczególnie intensywnie w latach 90. przez miejscowych eksploratorów i popularyzujących ich działania dziennikarzy. Renesans tematyki skarbowej, jaki wówczas nastąpił, wygenerował kolejne historie związane m.in. z terenami dotychczas zajmowanymi przez wojska radzieckie, jak np. koszary na Maślicach – znajdujące się na terenie kompleksu dawnej fabryki Siemensa. Czegóż tam miało nie być? Wloty do tuneli kolejowych, w których znikały pociągi; podziemna fabryka, skąd długo po wojnie dochodziły detonacje… z czasem pojawiło się całe spektrum nazistowsko-sowieckich tajemnic. Oczywiście do dziś nierozwiązanych, albo, jak kto woli, zweryfikowanych negatywnie.

Na przestrzeni 17 lat funkcjonowania „Odkrywcy" i wydania w tym czasie ponad 200 numerów, tajemnicom Wrocławia poświęciliśmy sporo miejsca. Każdorazowo w artykułach staraliśmy się je weryfikować pod kątem wiarygodności oraz rzetelnie prezentować fakty.

W efekcie powstał wyjątkowy zapis sekretów miasta, którego z jednej strony już nie ma, a z drugiej… nigdy nie było. Nadzieja jednak na ich rozwiązanie pozostała, bowiem jak w każdych legendach, również i w tych wrocławskich, musi gdzieś tkwić ziarno prawdy.

W trakcie naszej tegorocznej majowej konferencji będziemy mieli okazję połączyć z Państwem siły. Tematy zaprezentowane powyżej, będą się w jej trakcie na pewno przewijać. Barwnie bowiem uzupełniają turystyczny potencjał i tak przebogatych atrakcji Wrocławia. Może razem coś odkryjemy?

ZDJĘCIA: ARCHIWUM REDAKCJI, WIKIMEDIA COMMONS, ZBIORY ARCHIWUM PAŃSTWOWEGO WE WROCŁAWIU.

Przypisy:

[1] Ł. Orlicki, „Polowanie na lotniska – tajemnica raportu »Adriana«", [w:] „Odkrywca" nr 9/2005

[2] A. Konieczny, „Śląsk a wojna powietrzna lat 1940-1944", Wrocław 1998, s.73-74

[3] Dwa obiekty o zbliżonej konstrukcji znajdują się w niemal szczerym polu nieopodal wsi Świdnica na południowy-zachód od Zielonej Góry w woj. lubuskim. Por. K. Motyl, „Zagadka świdnickich schronów", [w:] „Odkrywca" nr 10/2006

[4] Ł. Orlicki, „Tajemnicze schrony Konwiarza?, cz. 2", [w:] „Odkrywca" nr 5/2008

[5] Ł. Orlicki, „Tajemnicze schrony Konwiarza?, cz. 1", [w:] „Odkrywca" nr 4/2008

[6] Ł. Orlicki, „Ostatni nieodnaleziony? Na tropie schronu pod pl. Solidarności", [w:] Odkrywca nr 3/2011

[7] S. Siorek, „Podziemny Wrocław", [w:] „Odra" nr 5/1994, s. 28

[8] B. Wołoszański, „Czy Polska kryje ślady hitlerowskiego programu atomowego?" [w:] „Focus Historia" nr 4/2013

[9] J. Lamparska, „Tajemnice ukrytych skarbów", Wrocław 1999, s. 26

[10] R. Biczak, „Skarby Wojtka Stojaka", Wrocław 2006, s.164

[11] M. Durajczyk, S. Kolouszek, „Tajemniczy wrocławski dworzec", [w:] „Odkrywca" nr 3/2012

Zwiastuny apokalipsy

LESZEK ADAMCZEWSKI

„*Po dłuższej podróży po Niemczech zachodnich i środkowych, wyjazd do prowincji wschodnich jest rzeczywiście wypoczynkiem. Wprawdzie i tam nierzadko sięga zbrojne ramię sprzymierzonych* [czyli bombardowania – przyp. L. A.], *lecz między takimi występami leży przerwa trwająca tygodnie i miesiące*". Tak w swym sprawozdaniu z podróży po Niemczech, w okresie od 15 stycznia do 3 lutego 1944 roku, pisał Alfred Przybój-Jarecki, działacz PPS-owskiej lewicy i oficer wywiadu Polskiej Armii Ludowej (nie mylić z komunistyczną Armią Ludową). Gdyby trasa jego podróży wiodła przez Breslau, zobaczyłby miasto praktycznie nietknięte przez wojnę. Praktycznie, bo jednak na Wrocław, przed październikiem 1944 roku, spadły bomby, o czym mało kto wie.

Wojna długo omijała Breslau. Stolicy prowincji śląskiej, a od 1941 dolnośląskiej Wielkoniemieckiej Rzeszy, nie nękały naloty bombowe aliantów, które już od 1940 roku przeprowadzały Królewskie Siły Powietrzne Wielkiej Brytanii, a później również Amerykanie z 8. Armii Lotniczej. W gruzy obracano największe ośrodki przemysłowe i główne węzły kolejowe nie tylko w tzw. starej Rzeszy, ale także na ziemiach okupowanych włączonych do Niemiec, by przypomnieć choćby amerykańskie bombardowania Gdyni jesienią 1943 i dwukrotne Poznania – wiosną 1944 roku. Nie oszczędzano wiekowych zabytków i dzielnic mieszkaniowych. W nalotach alianckich, z czasem nazwanych strategicznymi, uczestniczyło coraz więcej bombowców i eskortujących ich samolotów myśliwskich. Niemcy ponosili coraz większe straty, których nie nadążano usuwać wytężoną pracą, przede wszystkim wielotysięcznej rzeszy cudzoziemskich robotników przymusowych. Bombardowania nie złamały jednak morale społeczeństwa niemieckiego, na co liczyli politycy oraz wojskowi brytyjscy i amerykańscy.

Samotny samolot nad Breslau?

Nie jest jednak prawdą, że przed rokiem 1944 Breslau nie był bombardowany. Taką informację można znaleźć w wielu publikacjach poświęconych wojennym dziejom Wrocławia, chociaż z drugiej strony, miasto rzeczywiście ominęły wielkie, niszczycielskie bombardowania alianckie. Prawdopodobnie pojawienie się na wrocławskim niebie w pewną letnią noc pod koniec sierpnia 1940 roku samolotu Królewskich Sił Powietrznych, było dziełem przypadku. Tak jak dziełem przypadku było zrzucenie przez brytyjski samolot bomby na Poznań, w nocy z 8 na 9 maja 1941 roku. Spadła ona na zwartą zabudowę mieszkalną u zbiegu ulic Glogauerstrasse i Herderstrasse (Głogowskiej i Śniadeckich), zabijając około 30 osób, w tym trzech Polaków, i niszcząc trzy duże kamienice, a kilka sąsiednich uszkadzając. Po latach okazało się, że nad wojenny Poznań zabłądził jeden z samolotów RAF, które tamtej majowej nocy bombardowały Frankfurt nad Odrą. Uciekając przed ogniem artylerii przeciwlotniczej, dotarł aż nad Poznań...

Zapewne do podobnego incydentu doszło prawie rok wcześniej w Breslau.

Trudno sobie bowiem wyobrazić, by Brytyjczycy nad to duże i uprzemysłowione miasto posłali tylko pojedynczy samolot, który zrzucił jedną lub dwie bomby. Pilot takiej zagubionej maszyny, prawdopodobnie wysłanej nad Berlin, gdy znalazł się nad dużym miastem, zauważył, odbijające światło gwiazd, szyny licznych torowisk dworca kolejowego Breslau Freiburger Bahnhof, czyli Dworca Świebodzkiego. I w to miejsce zrzucił swój śmiercionośny ładunek. Kilka dni później dziennik „Schlesische Tageszeitung" napisał: „*W nocy z poniedziałku na wtorek nieprzyjacielskie samoloty zrzuciły na miasto Breslau kilka bomb burzących. Trzy osoby są lekko ranne. Pewna liczba domów została uszkodzona. Szkody materialne są niewielkie*".

Powyższa notatka we wrocławskim organie prasowym NSDAP, jest na dobrą sprawę jedynym dowodem, że tuż przed pierwszą rocznicą wybuchu wojny doszło do tego incydentu. We wspomnieniach ówczesnych mieszkańców to zdarzenie się nie pojawia, a przynajmniej ja nigdzie nań nie natrafiłem.

Bombowce nadlatują ze wschodu

Minęło kilkanaście miesięcy. W tym czasie zmieniło się położenie polityczno-militarne Rzeszy. 22 czerwca 1941 roku hitlerowskie Niemcy uderzyły na Związek Radziecki, otwierając sobie nowy front, także – jak się miało okazać – powietrzny. Mimo ponoszonych klęsk, Armia Czerwona zachowała zdolność do przeprowadzania silnych kontrataków na lądzie i organizowania nalotów bombowych na tzw. starą Rzeszę. Najbardziej

Szerokie ulice, piękne parki, liczne zabytki. Takim był Breslau do początku 1945 roku.

Nazajutrz po radzieckim nalocie w październiku 1944 roku mieszkańcy Breslau oglądają uszkodzoną przez bombę kamienicę przy Sternstrasse (obecnie ul. Sienkiewicza).

Breslau – jak stwierdza lektor hitlerowskiej kroniki filmowej – „stanowi jedną z zapór przeciwko atakowi bolszewickiemu".

zagrożone nimi były obie ówczesne prowincje śląskie.

Bombowce radzieckie z 2. Korpusu Lotnictwa Dalekiego Zasięgu z rejonu Briańska docierały nad uprzemysłowione miasta Górnego Śląska, a nawet nad centralne rejony Dolnego Śląska. W drugiej połowie 1941 i pierwszej połowie 1942 roku Rosjanie nie wyrządzali jakichś większych szkód. Były to naloty o charakterze nękającym, uciążliwe dla ludności cywilnej, która musiała reagować na często ogłaszane alarmy przeciwlotnicze spędzając noce w piwnicach, bo schronów przeciwlotniczych nie było jeszcze wtedy wiele.

W czwartek 13 listopada 1941 roku bombowce z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach zaatakowały Breslau. Dla wrocławian, którzy czuli się bezpiecznie z dala od frontów i okrucieństw toczącej się już ponad dwa lata wojny, był to szok. Bomby spadły w rejonie Strasse der SA (obecnie ul. Powstańców Śląskich), eksplodując na dziedzińcu firmy Benz oraz w okolicy Dworca Głównego (Breslau Hauptbahnhof). Zginęło 10 osób, około 20 zostało rannych. Prawdopodobnie dwóch z nich w następnych dniach zmarło. W każdym razie, w nekrologu zamieszczonym 15 listopada w dzienniku „Schlesische Tageszeitung" i podpisanym przez naczelnego prezesa prowincji i gauleitera NSDAP, Karla Hankego, z imienia i nazwiska wymieniono 10 osób, w większości kobiet. Na polecenie Hankego zorganizowano wielkie uroczystości żałobne. Okryte czerwonymi flagami z czarną swastyką w białym kole trumny z ciałami zabitych, wystawiono na widok publiczny w gmachu Śląskiego Sejmu Prowincjonalnego przy Gartenstrasse (ul. Piłsudskiego). Przez dwa dni hołd ofiarom radzieckiego nalotu oddało co najmniej kilkanaście tysięcy wrocławian, a przed pogrzebem pożegnał ich sam naczelny prezes prowincji dolnośląskiej, wygłaszając propagandowe przemówienie…

Mimo, że Rosjanie 7 X 1944 r. bombardowali cele w pobliżu Odry, ocalał widoczny na zdjęciu gmach wrocławskiego Schlesische Friedrich-Wilhelms-Universität.

Cel pierwszorzędny

Wojenny Wrocław był dużym ośrodkiem przemysłowym, bezpośrednio, lub pośrednio, pracującym na potrzeby armii. Stacjonowały tu również jednostki i instytucje wojskowe, krzyżowało się kilka ważnych linii kolejowych, a liczne mosty spinały brzegi przepływających przez miasto Odry i jej dopływów. Był to więc dla sprzymierzonych cel warty zorganizowania nalotu. Zresztą sami Brytyjczycy w wydanym przez RAF na początku 1943 roku „Bombers's Baedeker" (Przewodniku bombardiera) wymienili Breslau jako cel pierwszorzędny, a za obiekty o znaczeniu strategicznym uznano: wrocławski węzeł kolejowy ze stacją rozrządową, elektrownię, fabryki Junkersa, FAMO, Rheinmetall-Borsig i zakłady Linkego-Hoffmanna. Była tylko jedna przeszkoda. Breslau, podobnie zresztą jak niedaleki ośrodek przemysłowo-górniczy w Waldenburgu (Wałbrzychu) i okolicach, leżał na granicy zasięgu lotnictwa brytyjskiego. To jednak pod koniec wojny uległo zmianie, bowiem alianci zyskali bazy we Włoszech. Zmieniły się także ich priorytety.

Za główny cel uznano zakłady produkujące benzynę syntetyczną, samoloty i okręty, stąd też powtarzające się w 1944 roku naloty na: Heydebreck (Kędzierzyn), Blechhammer (Blachownię Śląską, obecnie dzielnicę Kędzierzyna-Koźla), Odertal (Zdzieszowice), czy Stettin (Szczecin, którego dzielnicą podczas wojny były Police z gigantycznymi zakładami chemicznymi Hydrierwerke Pölitz AG), by wymienić miasta leżące dziś w granicach Polski. Do nich dołożyć trzeba także wspomniany Poznań i najbliższe okolice, gdzie celem głównym Amerykanów były zakłady produkujące samoloty Focke-Wulf.

Dzisiaj trudno stwierdzić, czy przez niemal całą wojnę mieszkańcy Breslau czuli się bezpiecznie. I chociaż propaganda hitlerowska nie eksponowała

informacji o „terrorystycznych nalotach angloamerykańskich", to bombardowań tych ukryć się nie dało. W codziennej prasie spychano je na strony lokalne, najczęściej kilka ogólnikowych zdań informacji połączonych z poradnikiem, jak zachować się w trudnych sytuacjach, czy gdzie szukać pomocy. Tym samym wiadomości o poszczególnych nalotach ograniczano z jednej strony do minimum, a z drugiej do terenu, gdzie one wystąpiły. Zasadę tę najlepiej widać choćby we wrocławskim dzienniku „Schlesische Tageszeitung", który nie informował o tym, co działo się nie tylko w dalekim Hamburgu, ale także w Posen czy Blechhammer. Czasami przebijały się tylko krótkie informacje o nalotach na Berlin. Czytając więc ten dziennik i jednocześnie wiedząc, co działo się w Berlinie, Hamburgu, Stettinie, czy w Posen, wrocławianie mogli rzeczywiście czuć się bezpiecznie. Ale jednocześnie mieli świadomość, że poczucie bezpieczeństwa może w każdej chwili prysnąć, a pełne zabytków miasto zostać zniszczone.

Kadry z kroniki filmowej Die Deutsche Wochenschau przedstawiające manifestację wrocławskiego Volkssturmu 20 października 1944 roku.

Spacery szlakiem zniszczeń

Na początku września 1944 roku, a więc na progu piątego roku wojny, gołym okiem w Breslau było widać, że czasy beztroskich zabaw tanecznych, festynów i wspólnych wycieczek należą do przeszłości. Stopniowo zamykano teatry, coraz rzadziej organizowano koncerty i tylko kina zapraszały na dwie godziny oderwania się od ponurej rzeczywistości. Im dłużej trwała wojna, tym częściej w repertuarze kin dominowały bezproblemowe komedie i filmy muzyczne. Wprawdzie skromne przydziały kartkowe zaspokajały najpilniejsze potrzeby mieszkańców, to jednak wojna totalna zmuszała ludność do coraz to większych wyrzeczeń. Bardziej zamożni, dysponujący dużymi mieszkaniami lub mieszkający w willach i domkach jednorodzinnych, zostali przymuszeni do przyjęcia sublokatorów – uciekinierów ze zbombardowanych miast. Szacuje się, że w drugiej połowie 1944 roku ludność Breslau wzrosła niemal do miliona, przy czym znacznie zmniejszyła się liczba stałych mieszkańców. Zginęli lub zaginęli oni na frontach toczącej się wojny.

Dobiegała końca sobota 7 października 1944 roku. Od godziny było już ciemno, gdy o 19:25 odezwały się syreny. Alarm przeciwlotniczy. Niemal natychmiast w Breslau wyłączono prąd. Stanęły tramwaje. Tysiące ludzi zbiegło do piwnic lub schronów, ale byli też tacy, których alarm zastał na ulicy, i ci często nie wiedzieli, co z sobą zrobić. Rozsądek podpowiadał ukrycie się, instynkt ciągnął za innymi ludźmi, którzy w ciemnościach biegli w kierunku znanych im schronów.

I nagle zrobiło się jasno. Nad miastem pojawiły się „choinki" – opadające na spadochronach flary wyznaczające cele dla bomb. Ich niebieskawe, migocące światło potęgowało tylko grozę sytuacji. Na niebie ukazały się smugi świateł z potężnych reflektorów, odezwała się artyleria przeciwlotnicza. I w końcu rozległy się głuche detonacje bomb.

Jak później obliczono, z samolotów radzieckich na Breslau zrzucono około 200 bom burzących, które uszkodziły cztery zakłady przemysłowe, kilka obiektów o charakterze wojskowym oraz 55 budynków mieszkalnych. Fale uderzeniowe towarzyszące eksplozjom bomb oraz spadające na ziemię odłamki pocisków artyleryjskich, pozbawiły Halę Stulecia większości szyb. Przy Rosenthaler Brücke (Moście Trzebnickim) bomba spadła na barkę, która zatonęła. Świadkowie trwającego grubo ponad godzinę nalotu (od ogłoszenia alarmu do jego odwołania) po wyjściu z piwnic lub schronów zobaczyli łuny pożarów. Płonęły budynki po obu stronach Odry, która – jak się wydaje – podczas

bombardowania była dla radzieckich pilotów linią orientacyjną w tonącym w ciemnościach mieście. Zginęło 69 osób, w tym 30 kobiet i 12 dzieci.

Wrocławscy historycy za 70-tą ofiarę uważają 28-letnią Marię Kneip. Dom przy Hirschstrasse (ul. Sępa-Szarzyńskiego), w którym mieszkała, został uszkodzony przez bombę, która uderzyła w sąsiedni budynek. Z tego uszkodzonego ewakuowano mieszkańców, a ich mienie przez jakiś czas leżało na ulicy. Maria Kneip zabrała sobie – jak później skrupulatnie wymieniono w policyjnym protokole – srebrny pierścionek z akwamaryną, obrus, damską koszulę, komplet damskiej bielizny i majtki z dzianiny. Kobietę aresztowano i skazano na śmierć. Ścięto ją w więzieniu przy Kletschkaustrasse (ul. Kleczkowskiej).

W Breslau powtórzyła się sytuacja, jaką obserwowano w wielu miastach Rzeszy po pierwszych bombardowaniach, m.in. w Berlinie we wrześniu 1940 i w Posen w kwietniu 1944 roku. Nazajutrz po nalocie tysiące wrocławian wybrało się na wycieczki i spacery szlakiem… zniszczeń. Wielu z nich oglądało mocno uszkodzoną kamienicę przy Sternstrasse (ul. Sienkiewicza), którą w następnych tygodniach z wielką pompą odbudowano dla celów hitlerowskiej propagandy.

zdarzyło się…

23 IV 1943 r.

72 lata temu we Wrocławiu oddział Armii Krajowej dokonał zamachu bombowego na wojskowy pociąg Wehrmachtu, który nad ranem tego dnia zatrzymał się na jednym z peronów Dworca Głównego. W jego wyniku 4 żołnierzy zostały ciężko rannych, a kilkunastu innych odniosło lżejsze obrażenia. Była to jedna z kilku brawurowych akcji przeprowadzonych na terenie III Rzeszy przez elitarny oddział sabotażowo-dywersyjny AK o kryptonimie „Zagra-Lin". Jego członkowie wcześniej zaatakowali w samym sercu Niemiec – w lutym i kwietniu 1943 podłożyli i zdetonowali ładunki wybuchowe na trzech berlińskich stacjach kolejowych w ramach odwetu za represje i terror w okupowanej Polsce. Niestety, kilka miesięcy później grupa została zdekonspirowana i decyzją dowództwa formalnie rozwiązana.

Czekanie na wyrok

Celem dla propagandy pierwszorzędnym, w październiku 1944 roku, stał się Volkssturm. Tę wojskową formację pospolitego ruszenia Niemców w wieku od 16 do 60 lat, którzy ze względu na wiek jeszcze nie podlegali obowiązkowi służby wojskowej lub już tę służbę zakończyli, powołano na mocy dekretu Führera. I chociaż dotyczył on całej Rzeszy, to szczególne znaczenie formacje Volkssturmu miały odegrać w prowincjach wschodnich. Uroczyste zaprzysiężenie 13-tu pierwszych formacji Volkssturmu, przy dźwiękach fanfar, odbyło się w Bartenstein (Bartoszycach) w Prusach Wschodnich z udziałem szefa Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, feldmarszałka Wilhelma Keitla, szefa Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych, gen. Heinza Guderiana, oraz naczelnego prezesa Prus Wschodnich, gauleitera Ericha Kocha. W przemówieniu transmitowanym przez radio na cały kraj, wystąpił naczelny dowódca Armii Rezerwowej, minister spraw wewnętrznych Rzeszy, reichsführer SS i szef policji niemieckiej, Heinrich Himmler. Nawiązał on do przypadającej tego dnia rocznicy „bitwy narodów" pod Lipskiem w 1813 roku, podczas której wojska Napoleona Bonapartego poniosły klęskę na saskiej ziemi, a walnie przyczyniły się do tego oddziały Landsturmu, czyli pospolitego ruszenia. Odczytując proklamację Hitlera do Volkssturmu, Himmler oznajmił, że Führer wzywa lud do obrony ojczystej ziemi. *„Usłyszeliśmy z jego własnych ust* – mówił – *że musimy spodziewać się po wrogu zniszczenia naszego kraju, wycięcia lasów, wyniszczenia gospodarki, spalenia wsi i wykorzenienia naszego narodu"*.

Podobna uroczystość 20 października odbyła się w Breslau. Na Schlossplatz (obecnym placu Wolności) stanęło kilkadziesiąt tysięcy ludzi, by wysłuchać przemówienia gauleitera Hankego. Filmowy reportaż z tej uroczystości zamknął 738. wydanie kroniki Die Deutsche Wochenschau, która do niemieckich kin dotarła na przełomie października i listopada. *„Wszyscy są gotowi, by spełnić niemiecką przysięgę: »Wolę umrzeć, niż być niewolnikiem i patrzeć na zniewolone Niemcy«"* – mówił lektor. Prawdopodobnie tej manifestacji nie przerwał alarm przeciwlotniczy, który wielokrotnie ogłaszano w Breslau po 7 października 1944 roku. W schronach i piwnicach wrocławianie spędzili m.in. Wigilię i część świąt Bożego Narodzenia.

Nowy 1945 rok witano z nadzieją, że los wreszcie będzie sprzyjał Niemcom. Że w końcu pojawi się oczekiwana Wunderwaffe, a z nieba znikną bombowce sprzymierzonych. Jak w całej Rzeszy, tak i w Breslau mieszkańcy tuż po północy wysłuchali radiowego przemówienia noworocznego Adolfa Hitlera. Führer zapewnił naród o swojej niewzruszonej pewności zwycięstwa. Przepowiadał, że po wszystkich tych niepowodze-

Schlesische Tageszeitung
Schlesische Sonntagspost
Heute neu!
AMTLICHES BLATT DER NSDAP UND ALLE… EN
12. Jahrgang / Nr. 141
Breslau, Donnerstag, den 22. Mai 1941
Der Führer an die Breslauer Messe
Gruß Adolf Hitlers
Frankreich will Martinique gegen einen Angriff der USA. verteidigen
Verzweifelter britischer Notschrei an Roosevelt
Dr. Pavelitsch vor den Ustascha-Einheiten
Durch Gauleiter Bracht eröffnet

„Schlesische Tageszeitung" w lepszych dla nazistów czasach. Na pierwszej stronie wydania z 22 maja 1941 roku zdjęcie obu śląskich gauleiterów NSDAP: Karla Hankego z Breslau i Fritza Brachta z Kattowitz (Katowic).

Z bombardowań Breslau w latach 1940–1944 ocalały zabytki Ostrowa Tumskiego z katedrą na czele. Spłoną one dopiero podczas radzieckich bombardowań Festung Breslau 1 i 2 kwietnia 1945 roku.

niach historyczny przełom uwieńczony będzie sukcesem – *„i to jeszcze w tym roku"*. Wspomniał o międzynarodowych planach rozbioru Rzeszy, ale – jak dotychczas, czyli do końca 1944 roku – narodowi niemieckiemu udawało się stawiać *„skuteczny opór próbom uduszenia nas przez naszych wrogów"*. Hitler mówił też o nieudanym zamachu na niego i nazwał go punktem zwrotnym dla niemieckiego losu.

Było to pierwsze po dwóch latach milczenia, jeśli nie liczyć radiowego wystąpienia w nocy z 20 na 21 lipca 1944 roku tuż po wspomnianym zamachu, publiczne przemówienie Hitlera.

W swych „Dziennikach" Joseph Goebbels napisał: *„Sądzę, że to przemówienie dodaje każdemu słuchaczowi dużo sił i wiary w zwycięstwo. Ja sam jestem bardzo szczęśliwy, że Führer po tak długich namowach zabrał wreszcie głos"*.

W pierwszych dniach stycznia w Breslau wyczuwało się oczekiwanie na coś strasznego, chociaż zapewne nikt z mieszkańców nie domyślał się, co ich czeka w najbliższych tygodniach. Ogłoszone twierdzą miasto przekształci się w piekło na ziemi. Ale to już inna historia…

ZDJĘCIA: LESZEK ADAMCZEWSKI, ARCHIWUM AUTORA, INTERNET

Leszek Adamczewski
Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor prawie 20 cieszących się sporym zainteresowaniem czytelników książek o tajemniczych zdarzeniach z czasów II wojny światowej. Najnowszą książką tego Autora jest, wydana nakładem Repliki, pozycja pt. „Ucieczka pod bombami".

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ… WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima
z sondami 29 cm
w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

SAMOLOT WIDMO – lotnicza zagadka z okolic Bolesławca

ŁUKASZ ORLICKI

W rejonie naszych poszukiwań znaleźliśmy tylko jedno większe zagłębienie terenu. Przyjęliśmy, że to właśnie tu, jeśli w ogóle, musiał uderzyć w ziemię niezidentyfikowany samolot, którego szczątki rozsiane były w promieniu wielu metrów. W dodatku z tego właśnie niewielkiego leja pochodziła bardzo intrygująca część – niepozorny, rzadko stosowany celownik, używany tylko w kilku typach samolotów Luftwaffe, m.in. w olbrzymim czterosilnikowym Focke-Wulfie Fw 200 Condor.

Operacja Condor?

Wszystko zaczęło się od informacji pochodzącej od zastrzegającego sobie anonimowość poszukiwacza. Penetrując okolice Bolesławca (woj. dolnośląskie), natknął się on, w pobliżu przebiegającej na północ od miasta autostrady, na fragmenty pochodzące z niezidentyfikowanego samolotu. Następnie zgłosił się do nas, przekazując wszystkie odnalezione przez siebie elementy – głównie pogiętego i zniszczonego poszycia oraz tajemniczy przedmiot z wyraźnymi oznaczeniami na tabliczce znamionowej – „Revi E2A". Napisy wskazywały na producenta – „Carl Zeiss Jena" (do dziś firma świetnie prosperuje!) oraz numeryczną specyfikację urządzenia: „Gerät nr 127-27 A", „Werk nr 50741" oraz „Fl 52172".

Już to pierwsze znalezisko pozwoliło na określenie, na razie bardzo ostrożne, miejsca rozbicia samolotu – prawdopodobnie niemieckiego – ale przede wszystkim dawało pewne przesłanki do identyfikacji jego typu czy wielkości.

Dosyć szybko udało się ustalić, że odnaleziony przedmiot to fragment celownika dla strzelca pokładowego używającego Mg 151 w wersji kal. 15 bądź 20 mm. To była bardzo ciekawa informacja, bowiem w większości samolotów niemieckich, przez cały okres wojny, strzelec pokładowy uzbrojony był w różne wersje standardowych, lotniczych karabinów maszynowych kal. 7, 62 mm. Tymczasem przystosowany do broni o większym kalibrze (15 bądź 20 mm) Revi E2A, musiał być użyty w większym samolocie lub w specyficznej, nie przewidzianej przez producentów konfiguracji. Szczególnie jedna z hipotez była elektryzująca, ponieważ takie celowniki używane były powszechnie w wieżyczce nietypowego dla nasze-

Początek poszukiwań to żmudne skanowanie terenu i określanie zasięgu występowania metalowych przedmiotów. Dr Paweł Konczewski przy weryfikacji płytkiego sygnału.

go rejonu samolotu – Focke-Wulfa Fw 200 nazywanego Condorem! Olbrzymiej, czterosilnikowej maszyny używanej przez III Rzeszę jako bombowiec morski, zdolny pokonać bez problemu większe odległości. Condory zadały poważne straty flocie alianckiej na Atlantyku, a po 1943 roku zaczęły być wykorzystywane jako samoloty transportowe. Oczywiście sam celownik nie mógł stanowić wystarczającego dowodu dla przeprowadzenia identyfikacji, niemniej jednak stanowił pierwszy trop, a o inne dowody, przeczące bądź potwierdzające tę hipotezę, należało się postarać.

Samolot spod Bolesławca został wciągnięty na naszą listę zadań, pozostało jedynie zorganizowanie poszukiwań i pozyskanie wszelkich niezbędnych zezwoleń.

Eksploracja lotniczych pozostałości

Każde zestrzelenie, rozbicie czy zniszczenie drugowojennego samolotu, niezależnie od okresu w jakim się wydarzyło, przebiega w odmienny sposób, a jedyną chyba regułą, pomocną w określaniu przyczyn, jest brak reguł. Spadające na ziemię maszyny rozbijały się pod różnym kątem – czy to w locie koszącym, czy podczas próby przymusowego lądowania, czy już po udanej próbie przyziemienia. Nawet pionowe uderzenie w ziemię nurkującego samolotu mogło przebiec w odmienny sposób, zależny od masy maszyny lub rodzaju gruntu, w jaki uderzyła. Ponadto najczęściej pojawiający się we wspomnieniach świadków widok wbitego na wiele metrów w ziemię wraku samolotu, nie zawsze odpowiada prawdzie. Nieraz się o tym przekonaliśmy. Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca" oraz współpracujący z nami archeolog dr Paweł Konczewski już kilkakrotnie organizowała badania śladów lotniczych katastrof i pobojowisk z okresu II wojny światowej. Wypracowaliśmy w tych przypadkach stałą metodykę prac, obejmującą wywiady z okolicznymi mieszkańcami, przygotowanie terenu, badania bezinwazyjne metodami geofizycznymi i klasycznymi detektorami, i ostateczne, wnoszące najwięcej informacji, „kopanie". Jednak bardzo często, podobnie jak w tym zdarzeniu, przeprowadzenie badań powierzchniowych jest utrudnione. Nie tylko z uwagi na czas i koszty prowadzonych prac, ale również na tzw. ograniczenia losowe, np. warunkową zgodę właściciela, która określa rodzaj i ilość zakładanych wykopów oraz termin prowadzenia badań.

Znajdujące się na północ od Bolesławca szczątki samolotu, leżą w obszarze należącym do Nadleśnictwa Bolesławiec. Dzięki życzliwości p. Nadleśniczego Arkadiusza Sudoła i pozytywnym zaopiniowaniu naszego wniosku przez Regionalną Dyrekcję Lasów Państwowych we Wrocławiu, mogliśmy przystąpić do przeprowadzenia poszukiwań terenowych. Warunki

Celownik Revi E2A oraz jego niemiecka specyfikacja. Używany był w montowanych wieżyczkach dużych samolotów MG 151/20.

zgody zobowiązywały nas jednak tylko do wykonania niewielkich wykopów, które musieliśmy starannie wyselekcjonować.

Naszym celem, oprócz pozyskania odpowiednich i charakterystycznych dla danego typu samolotu fragmentów, umożliwiających jego identyfikację, było również ustalenie wszelkich okoliczności związanych z katastrofą maszyny. Analiza terenu i wyniki poszukiwań detektorem metali pozwoliły wybrać najbardziej obiecujące miejsce – wyraźne, choć niezbyt wielkie, przegłębienie terenu, w którym został uprzednio wydobyty celownik Revi E2A. Tam postanowiliśmy założyć większe wy-

kopy, umożliwiające zbadanie głębokości, na jaką „wbił" się samolot. Rozpoczął się żmudny proces kopania, dzięki któremu zaczęły masowo wyłaniać się przedmioty pochodzące z rozbitej maszyny.

Niezależnie od badań terenowych przeprowadziliśmy również „wywiad" wśród okolicznej ludności. Niestety, nie dał on zbyt wielu rezultatów, a uzyskane dzięki rozmowom informacje, były raczej zaskakujące... Według mieszkańców najbliżej położonej, niewielkiej miejscowości Krępnicy, mniej więcej w rejonie naszych poszukiwań miał rozbić się samolot amerykański! Tę niespodziewaną dla nas informację potwierdzał również leśniczy p. Bogusław Zimkiewicz oraz mieszkający wiele lat w Krępnicy p. Andrzej Puzio. Skąd w tym miejscu samolot amerykański? Skoro nie tylko celownik, ale wszystkie odnajdowane przez nas w rejonie badań przedmioty ewidentnie pochodziły z samolotu niemieckiego! Niestety, nikt nie był w stanie dokładnie opisać wyglądu tajemniczej amerykańskiej maszyny, ani wskazać dokładnego miejsca, gdzie przez wiele powojennych lat się znajdowała.

Niepozorna klapka rewizyjna sygnowana Ju N.

Wydobyta z ziemi tajemnicza „łezka", pochodząca prawdopodobnie z przedniej części kadłuba, sygnowana cyframi R 8 – 88 136 – 109.02 i kodem producenta „bdz" – wg Arkadiusza Siewierskiego oznacza: Metallguß GmbH / Motorgehäuse Jumo 213E.

Wykop w centralnym punkcie, skąd wydobyto największą ilość kluczowych przedmiotów.

Pozostawiając na razie zagadkową historię amerykańskiego wraku na boku, usłyszeliśmy jeszcze jedną, ważną informację. Otóż kilkaset metrów od miejsca, gdzie odnaleziony został „nasz" samolot, miało znajdować się jakiegoś rodzaju niewielkie, polowe lądowisko niemieckie. Obecność tego typu lotnisk w okolicy Bolesławca potwierdzał również, obecny na miejscu poszukiwań, nasz długoletni przyjaciel – Zdzisław Abramowicz, znany badacz historii regionalnej. Jednakże rozkład, ilość i szczegóły ich funkcjonowania, nie zostały dotychczas przez nikogo wystarczająco przebadane. Niemniej, to właśnie lotnisko mogło mieć związek z „naszym" samolotem.

Wbity w ziemię?

Już pierwsze badania na wytypowanym terenie przyniosły spore efekty. Części samolotowe kładły się niemal równym, prostokątnym pasem o wymiarach ok. 100×50 m, którego dłuższy bok przebiegał mniej więcej w osi wschód-zachód. Wyglądało to początkowo jakby samolot sunął po ziemi, „gubiąc" po drodze fragmenty wyposażenia i poszycia. Co ważniejsze, wszystkie sygnały pochodziły z leżących płytko, od kilku do kilkunastu centymetrów, przedmiotów. Dominowały wśród nich elementy poszycia i blachy samolotowej znajdującej się w bardzo różnym stopniu destrukcji. Najwięcej pozostałości, najbardziej też chyba charakterystycznych, udało się pozyskać w jedynym przegłębieniu terenu, typowanym przez nas na centralny punkt badań. Zostały tu odnalezione m.in.: destrukt lufy z MG 131 kal. 13 mm wraz z dużą ilością wystrzelonej amunicji i elementami taśmy nabojowej; pozostałości zegarów, m.in. wysokościomierza sygnowanego Fl 22320; klapka rewizyjna z samolotowego kadłuba; flary i podzespoły z układu elektrycznego oraz wiele innych przedmiotów, które najprawdopodobniej pochodziły z okolic kabiny i dziobu samolotu. Wykopy założone w tym miejscu, oprócz dużej ilości samolotowych pozostałości, przyniosły również bardzo ważną informację. Struktura ziemi nie była naruszona głębiej niż kilkadziesiąt centymetrów. I choć twarda, piaszczysta gleba jest trudna do „przebicia", to mogliśmy spokojnie wykluczyć hipotezę o „wbiciu" się w ziemię kadłuba samolotu. Pozostawało pytanie: czy samolot wylądował i został następnie podpalony i zniszczony, czy też może uległ rozbiciu podchodząc do lądowania? A może wydarzyło się jeszcze coś innego?

Poszukując pozostałości lotniczych katastrof z okresu II wojny światowej należy liczyć się z tym, że każde z ogólnodostępnych miejsc, np. w lesie czy na łące, zostało już wielokrotnie spenetrowane. Przede wszystkim tuż po wojnie i naj-

Kluczyk wraz z niezidentyfikowaną rączką. Klucz do identyfikacji?

częściej przez okolicznych mieszkańców, którzy pozyskiwali z takich wraków wszelkie części nadające się do wykorzystania w gospodarstwie. Nie inaczej było zapewne i tym razem. Leżący, ogólnie dostępny wrak został być może w większości wywieziony i usunięty. Nie udało się nam odnaleźć żadnych elementów silnika, czy też silników, nie licząc fragmentu układu zapłonowego oraz kilku przedmiotów związanych z układem filtrów. A ponieważ badania wykazały, że silniki nie mogły się znaleźć głęboko w ziemi, to możemy przyjąć hipotezę, iż „cenne łupy" zostały zabezpieczone, i być może zdemontowane jeszcze przez Niemców bądź Armię Czerwoną. Na pozyskanych podczas prac przedmiotach zachowały się ślady wysokiej temperatury, nie są one jednak zbyt liczne i dotyczą niewielkiej ilości elementów. Wskazuje to raczej na ograniczony zasięg ewentualnego pożaru bądź wysadzenia samolotu – niewykluczone, że niezwiązanego z uderzeniem o ziemię czy próbą lądowania maszyny. Tą ostatnią ewentualność uznaliśmy za wysoce prawdopodobną z uwagi na kilka faktów.

W pobliżu miejsca badań przebiega autostrada wiodąca z Wrocławia do Zgorzelca. W 1944/45 roku droga ta była w dużej mierze wykonana, ale nie użytkowana, stanowiąc gotowe miejsce do awaryjnego lądowania. Ponadto, jak już wcześniej wspomniałem, wg relacji leśniczego i miejscowej „legendy" zaledwie kilkaset metrów na zachód od znajdujących się w lesie pozostałości samolotu, miało funkcjonować jakiegoś rodzaju lotnisko polowe, którego lokalizacja wymaga jeszcze dokładniejszych badań. W grę mogła również wchodzić ewentualność udanego lądowania niemieckiej maszyny, a następnie jej zniszczenia na ziemi. Niemniej, odnalezione fragmenty wskazywały, że zanim uległa zniszczeniu, nie była to opróżniona z cenniejszych elementów „skorupa". Z pewnością samolot był uzbrojony, a duża ilość wystrzelonej amunicji, jaka znalazła się wśród szczątków, świadczyła o tym, że prawdopodobnie powracał on z lotu bojowego.

Wydobywane z rejonu badań przedmioty, były identyfikowane na miejscu. Dużym zaskoczeniem okazał się fragment destruktu lufy działka lotniczego Mg 151/20 (kal. 20 mm) oraz pozostałości wystrzelonej amunicji o tym kalibrze. W pewnej odległości od części „kabinowej" udało się również odnaleźć klapę od nadajnika radiowego wysokościomierza oraz dużą ilość części związanych z elektryką samolotu, produkcji znanej niemieckiej firmy Siemens. Niestety, pośród setek pojedynczych przedmiotów nie udało się odszukać żadnej z licznych na pokładzie samolotu tabliczek znamionowych, a raczej żadnych, które w stu procentach pomogłyby określić typ samolotu. To prawdziwy pech i jednocześnie trudny orzech do zgryzienia. Pozostawała nam bowiem „układanka" odnalezionych fragmentów i żmudne dopasowanie ich do odpowiedniego typu samolotu.

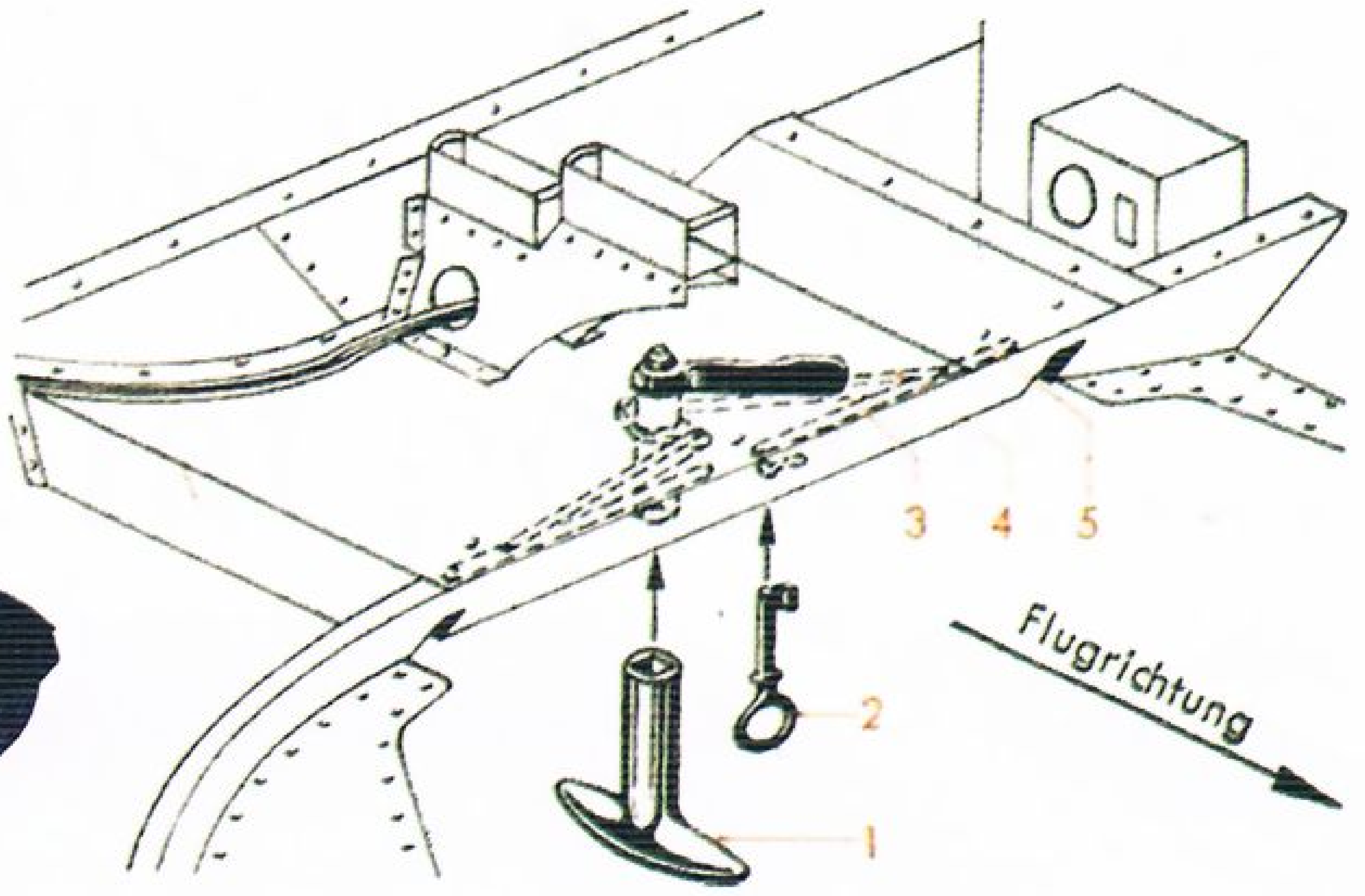

Na rysunku z podręcznika Ju 88 widoczny kluczyk w innym kształcie.

Samolot widmo?

Nawet drobny i niepozorny przedmiot może mieć wojskową, bądź cywilną, sygnaturę pomocną nie tylko w określeniu przeznaczenia przedmiotu, ale również typu samolotu, w jakim został zainstalowany. Już na miejscu badań wykluczyliśmy, a raczej uznaliśmy za mocno niewiarygodną, pierwotną hipotezę związaną z olbrzymim „Condorem". Sam celownik nie mógł być już wystarczającą poszlaką, a pozostałe wydobywane przedmioty kierowały nas raczej w stronę innej rodziny niemieckich samolotów. Jednak to właśnie elementy uzbrojenia pozwoliły nam poruszać się w określonych kręgach większych maszyn, wyposażonych w liczne stanowiska strzeleckie.

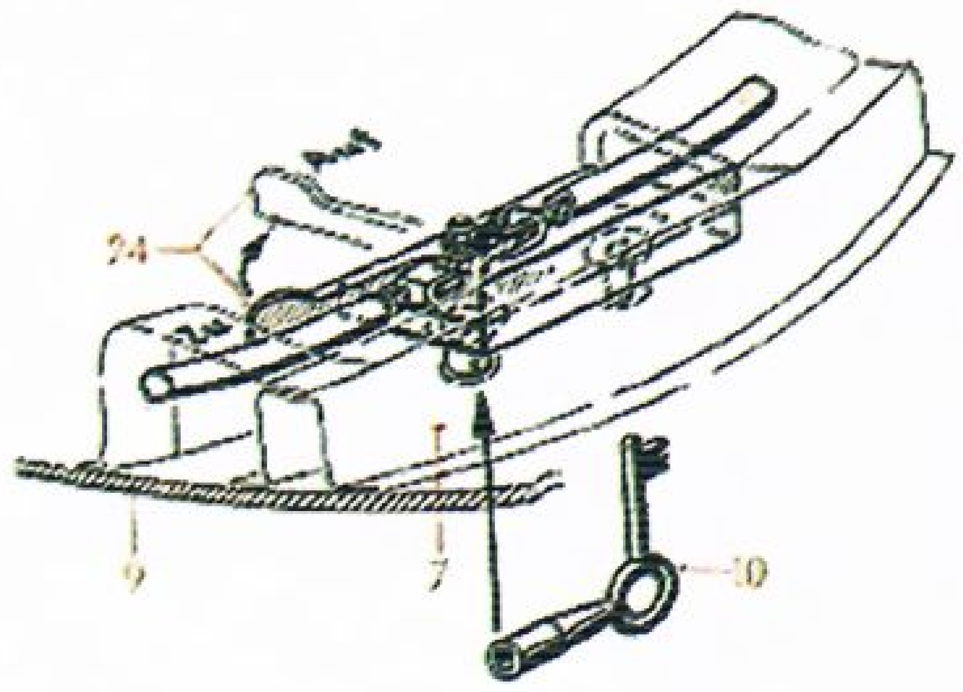

Identyczny z odnalezionym kluczyk z Ju 188.

Odnalezione przez nas pozostałości wskazywały, że samolot był wyposażony w prawdziwy i do tego różnorodny arsenał. Składało się na niego: działko Mg 151 kal. 20 mm doskonale pasujące do celownika Revi (używanego w wieżyczkach przez pokładowych strzelców) oraz karabin maszynowy Mg 131 kal. 13 mm. Uzbrojenie samolotu dopełniał kara-

REKLAMA

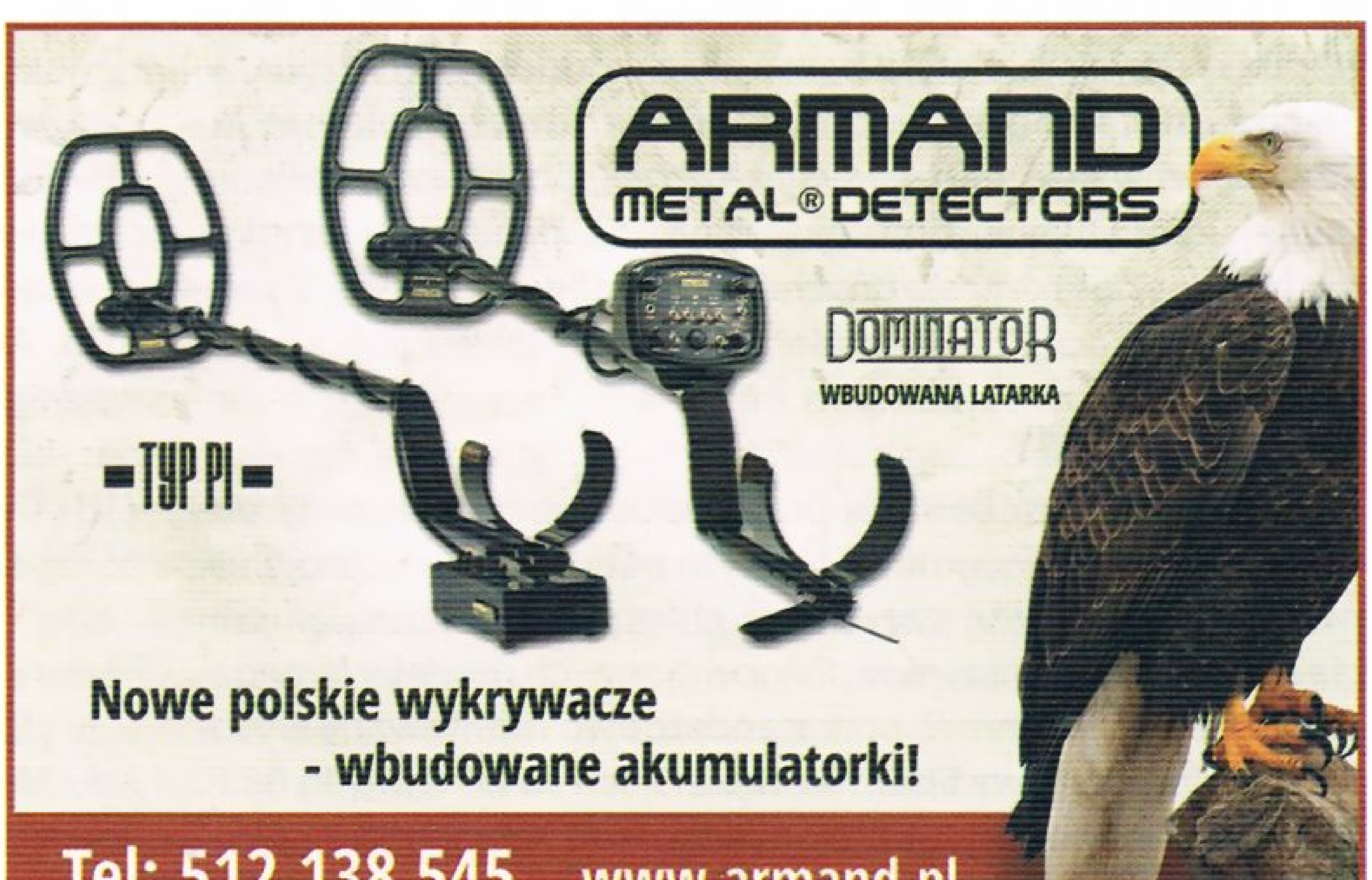

bin, bądź karabiny, Mg 15/17 kal. 7,62 mm. Co ciekawe, jeden z nich musiał być wyposażany w podwójny magazynek typu Trommel. Świadczyły o tym dwa charakterystyczne, aluminiowe „naboje" zamontowane na stałe jedynie w takiego typu magazynku. Stanowiska Mg kal. 7,62 mm i Mg 131 musiały znajdować się niedaleko siebie, bowiem wystrzelona amunicja obydwu typów była ze sobą solidnie wymieszana. Taka konfiguracja uzbrojenia nie była zbyt częsta, a zidentyfikowanie kolejnych przedmiotów mogło ją jeszcze bardziej zawęzić.

Po zabezpieczeniu i zakończeniu prac wykopaliskowych, przyszedł czas na analizę różnorodnych fragmentów pochodzących z maszyny. Niestety, wiele spośród setek przedmiotów, jak np. czytelnie sygnowane automatyczne bezpieczniki Siemensa (Fl E 5000 01), puszka (Fl 32346) czy kabel z wtyczką sondy temperatury (Fl 32627-2) mogło zostać zamontowanych w kilku typach samolotów. Nasze podejrzenia skierowały się jednak na rodzinę samolotów Junkers. Sprawiła to niewielka, rewizyjna klapka z grubsza odpowiadająca wyglądem klapce Ju 87 i sygnowana „Ju N 164" (reszta cyfr nieczytelna) – jednak nie odpowiadająca jej rozmiarami – oraz pokrywa od nadajnika radiowego wysokościomierza FUG 101A, która była jednym z nielicznych przedmiotów z czytelną i łatwą do identyfikacji tabliczką.

W drugiej fazie identyfikacji pomocą służyli nam zarówno fani facebookowej strony GEMO, jak i użytkownicy forum internetowej strony miesięcznika „Odkrywca" (odkrywca.pl). Szczególne podziękowania należą się Arkadiuszowi Siewierskiemu „Woodhaven", dzięki któremu udało się wyjaśnić oznaczenia najważniejszych fragmentów i części pochodzących z samolotu, m.in. kod producenta tajemniczej „łezki".

Ostatecznie, do chwili oddania artykułu do druku, udało się zawęzić naszą interpretację do dwóch, podobnych w wielu detalach samolotów: Junkersa Ju 88 (wyprodukowano ok. 15 tys. egzemplarzy) i jego rzadszej, rozwojowej wersji Ju 188 (ok. 1 tys. egzemplarzy). Obydwa typy samolotów wielozadaniowych były produkowane w bardzo zróżnicowanych konfiguracjach, zawierających również modyfikacje polowe wprowadzane już na lotniskach. Te dwusilnikowe samoloty, zaprojektowane jako szybkie bombowce, pełniły pod koniec wojny niemalże każdą funkcję jaka wynikała z potrzeb Luftwaffe – od nocnego myśliwca, poprzez średni bombowiec, samolot torpedowy lub rozpoznawczy, kończąc na latającej bombie. Obydwie wersje bazowały na podobnych rozwiązaniach i częściach. Do tego olbrzymie zróżnicowanie produkowanego w kilkunastu wersjach Ju 88, pozostawia zadanie pełnej identyfikacji, opartej jedynie na podstawie uzyskanych przez nas rozproszonych fragmentów, niemalże niewykonalne.

Ju 88 czy 188?

Początkowo za bardziej prawdopodobne przyjęliśmy odnalezienie Ju 88. Przemawiał za tym pełny zestaw uzbrojenia, obejmujący również stary Mg 15/17 z przedwojenną amunicją i rzadko stosowanym w późnowojennych modelach magazynkiem typu Trommel, oraz standardowo montowany wysokościomierz radiowy FUG 101 w wersjach Ju 88 C lub Ju 88 R. Sygnatura tablicy wysokościomierza Fl 22320 również odpowiadała Ju 88.

Z kolei Ju 188 w jednej ze swoich wersji posiadał stanowisko strzelca uzbrojonego w MG 151/20, do którego idealnie pasowałyby odnalezione na miejscu: celownik Revi E2A, fragment grubego okrągłego szkła pochodzącego najprawdopodobniej z wieżyczki oraz... charakterystyczny kluczyk, służący do otwierania podkadłubowej gondoli, identyczny z rysunkiem ze specyfikacji dotyczącej Ju 188. Niemiecki „Handbuch" Ju 88 A–1 pokazuje takiego rodzaju przedmiot w zupełnie innym kształcie.

Czyżby niewielki kluczyk stał się kluczem do identyfikacji „naszego" Junkersa w wersji Ju 188? Co najciekawsze, operujące najbliżej tego miejsca jednostki z lotniska w Osłej (niem. Aslau) – 10.(Pz)/SG 77, II./SG 77 i 3./NSGr – wg uzyskanych przez nas danych nie dysponowały takimi typami samolotów.

Junkers prawdopodobnie uległ zniszczeniu w pierwszej połowie 1945 roku, gdy rejon ten stał się areną powietrznych misji realizowanych przez lotnictwo niemieckie i sowieckie. Istnieją przesłanki wskazujące na wykorzystywanie przez Niemców pasa nieukończonej autostrady jako polowego lądowiska, wraz z konstruowanym na te potrzeby zapleczem technicznym. Jeden z radzieckich fotografów miał uwiecznić niemieckie samoloty stojące w pobliżu autostrady niedaleko lotniska w Osłej. Kwerenda i poszukiwania, tym razem archiwalne, będą trwały jeszcze długi czas.

A co z amerykańskim samolotem, który widzieli po wojnie mieszkańcy pobliskiej Krępnicy? Z pewnością nie był to odnaleziony przez nas Junkers. Niewykluczone, że miejsce drugiej katastrofy, tym razem alianckiego bombowca, uda się nam ustalić w kolejnych badaniach, jakie podejmiemy w rejonie Bolesławca.

Po opracowaniu dokumentacji i końcowych ustaleniach wydobyte podczas prac pozostałości samolotu znajdą się w Muzeum Ceramiki w Bolesławcu.

W badaniach prowadzonych pod nadzorem dr Pawła Konczewskiego udział wzięli członkowie i sympatycy Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca": Paweł Piątkiewicz, Jarosław Stróżniak, Tomasz Grzywaczewski, Maciej Cypryk, Przemek Budzich – Dokuman.pl oraz Magdalena Zając. Na miejscu wspierali nas pasjonaci i eksploratorzy: Agata Bojanowska, Tomasz Mierzwa, Łukasz Michalczuk, Krzysztof Rajczakowski, Kamil Błoniarz. Dziękujemy za pomoc i wsparcie ZHP Bolesławiec, Nadleśnictwu Bolesławiec oraz Muzeum Ceramiki w Bolesławcu.

Identyfikację przedmiotów prowadzono dzięki pomocy m.in. Arkadiusza Siewierskiego „Woodhaven" oraz Piotra Kowalewskiego „Pepka" i Piotra Szumko.

ZDJĘCIA: PRZEMEK „DOKUMAN" BUDZICH, PAWEŁ KONCZEWSKI, TOMASZ GRZYWACZEWSKI, ARCH. GEMO.

Literatura:

1. Ju 188 E –1, Flugzeug – Handbuch, 1943
2. Ju 88 A –1, Betriebsanleitung, 1940
3. M. Griehl, „Waffen-Arsenal, Rohrwaffen in Flugzeugen der Luftwaffe bis 1945–Waffenstände", Podzun–Pallas 2001

KRZYSZTOF SOCHA

Kostrzyn 1945 – siedemdziesiąt lat później…

Dokładnie 70. lat temu – 30 marca 1945 roku, 713-letnia historia Küstrina dobiegła końca. W ciągu 59 dni walk o twierdzę, miasto zostało zniszczone w około 95 procentach. W gruzach legło 8 278 domów. „Wrota do Berlina" – jak w 1945 r. nazywano Kostrzyn – zostały otwarte…

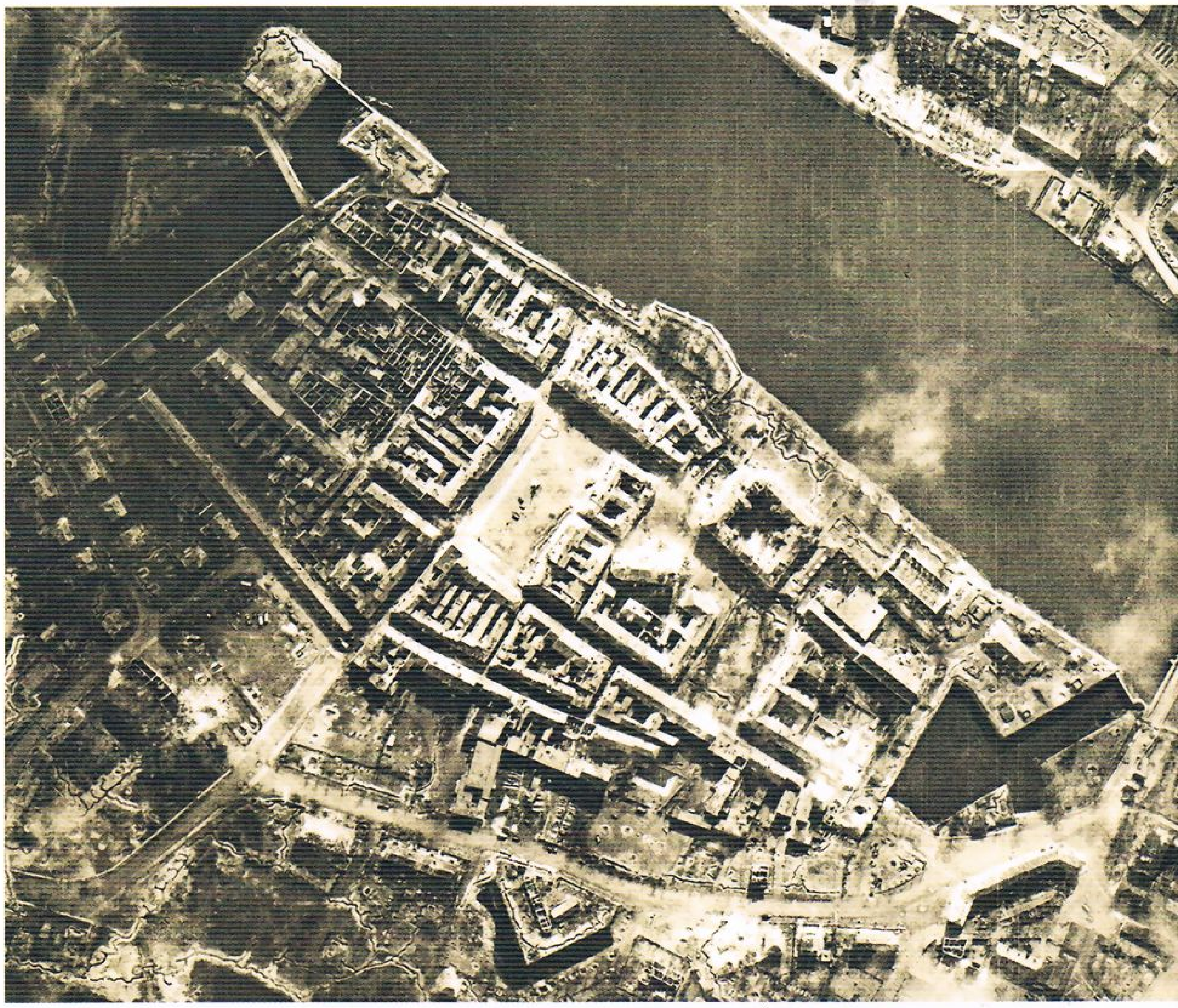

Zdjęcie lotnicze Starego Miasta z 18 marca 1945 r. Źródło: „Landesluftbildsammelstelle der Landesvermessung und Geobasisinformation Brandenburg" (Krajowy Bank Zdjęć Lotniczych Brandenburskiej Informacji Geodezyjnej i Kartograficznej) sygnatura 1945039 45 3106.

Zawieruchę wojenną przetrwały pojedyncze, mocno uszkodzone kamienice oraz częściowo zniszczone grube mury umocnień twierdzy. Po roku 1945 obszar ten znalazł się w granicach Polski, w ochronnym pasie nadgranicznym. Lata bezpośrednio po zakończeniu wojny poświęcono na stopniowe usuwanie pozostałości działań wojennych. Ocalałe ruiny zamku, kościoła oraz staromiejskich kamienic, ze względu na istniejące zagrożenie katastrofy budowlanej, zostały wyburzone w końcu lat 60. Decyzja o wyburzaniu mogła jednak mieć przyczyny polityczne. Obecnie nie da się tego jednoznacznie rozstrzygnąć.

„Kostrzyńskie Pompeje" – tak określany jest obszar zniszczonej w 1945 r. i nieodbudowanej kostrzyńskiej starówki. Są one jedynym w swoim rodzaju powierzchniowym pomnikiem umarłego miasta, położonego na zachodniej granicy Polski, tuż nad Odrą. Efekty ciężkich walk z lutego i marca 1945 r. czytelne są do dziś, stanowiąc przy tym niezwykłą atrakcję turystyczną. Spora część tych śladów tkwi jednak pod ziemią, i aby je odsłonić, konieczne jest wykonanie badań archeologicznych.

Na podstawie niemieckiego zdjęcia lotniczego z 18 marca 1945 r. wiemy, że dostępu do Starego Miasta podczas II wojny światowej, oprócz murów dawnej twierdzy (Kostrzyn ogłoszono twierdzą ponownie), broniła również rozbudowana siatka fortyfikacji polowej. Łączna długość okopów wynosiła kilka kilometrów. Wzmiankowane wyżej zdjęcie lotnicze pozwoliło na wytypowanie miejsca badań. Nasze działania ograniczyliśmy do obszaru w bezpośrednim sąsiedztwie ruin zamku, tj. terenu między zamkiem, a narożnikiem Renneplatz (obecny Plac Turniejowy). Przed przystąpieniem do wykopalisk na wytypowanym obszarze, członkowie Stowarzyszenia Eksploracji „Perkun" oraz Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca" przeprowadzili badania nieinwazyjne. Wykazały one, że w transzei mogą zalegać elementy uzbrojenia i wyposażenia żołnierskiego.

Pierwsze prace sondażowe przeprowadziliśmy pod koniec października 2014 roku, a właściwe badania wykopaliskowe miały miejsce w połowie lutego 2015 roku. Wykazały one, że transzeja posłużyła po zakończeniu walk za śmietnisko. Licznie wystąpiły niemieckie hełmy, z uzbrojenia zarejestrowaliśmy także: kilkadziesiąt pancerfaustów, destrukty pistoletu Walther P-38, pozostałości masek przeciwgazowych, bagnety oraz magazynki do pistoletu maszynowego MP-40 i karabinu StG 44. Zarejestrowaliśmy również elementy wyposażenia lazaretu (pierwotnie taką funkcję pełnił kościół), po zbombardowaniu go pod koniec marca 1945 r. lazaret przeniesiono do zamku. Wśród odkrytego wyposażenia szpitalnego wyróżnić należy: miednice, „nerki" (naczynia chirurgiczne), garnki, agrafki, szczypczyki, nożyczki, fiolki z morfiną, puste ampułki po medykamentach oraz pozostałości bandaży i innych przedmiotów, wykorzystywanych przy opatrywaniu rannych.

W trakcie badań okazało się również, że transzeja posłużyła za miejsce pochówku dla poległych. Na kilkumetrowym odcinku (łącznie przebadano zaledwie około 14 m kw.) odnaleziono przemieszane szczątki ok. 21 osób – zarówno żołnierzy niemieckich, jak i czerwonoarmistów, oraz ludności cywilnej. Świadczą o tym pozostałości umundurowania i przedmioty osobiste poległych, wśród których znalazły się: dokumenty, biżuteria (obrączki i sygnety) oraz monety o różnych nominałach (głównie monety niemieckie, choć wystąpiły również monety polskie i radzieckie).

Dzięki odkryciu siedmiu znaków tożsamości (ich stan zachowania był różny) najprawdopodobniej kilku z poległych niemieckich żołnierzy uda się zidentyfikować. Trzeba jednak zaznaczyć, że w momencie odkrycia, żadnego z nieśmiertelników nie można było powiązać z konkretnymi szczątkami. Znaki tożsamości rejestrowano luzem w warstwie spalenizny, bądź przemieszane zostały z wrzuconymi do transzei „śmieciami" i gruzem budowlanym, pochodzącym ze zniszczonego miasta.

Zaskoczeniem dla badaczy było znalezisko radzieckiego medalu za odwagę (tożsamość żołnierza, który go otrzymał jest w trakcie ustalania). Razem z medalem odkryliśmy reszki radzieckiego munduru z guzikiem oraz odznaką gwardyjską. Można więc przypuszczać, że w jednej mogile pochowano szczątki żołnierzy niemieckich i radzieckich, nie wykluczone przy tym, że pochowano w niej również cywili.

W trakcie badań archeologicznych odkryliśmy kilka ciekawych i rzadko spotykanych odznaczeń wojskowych. Pierwszym z nich jest „Wojenny Krzyż Zasługi" (niem. Kriegsverdienstkreuz). Nadawano go za zasługi cywilne i wojenne dokonane w trakcie II wojny światowej. Omawiany egzemplarz wykonano z brązu – a więc jest to „Wojenny Krzyż Zasługi drugiej klasy". Inną kategorię odznaczeń stanowi odznaka „Bojowa Artylerii Przeciwlotniczej" (niem. Kampfabzeichen der Flakartillerie). Prawo do jej otrzymania mieli żołnierze jednostek artylerii przeciwlotniczej za wybitne, ściśle określone osiągnięcia bojowe. Zasadniczym warunkiem nadania tego odznaczenia było uzyskanie przez ciężkie lub lekkie baterie 5 zestrzeleń nieprzyjacielskich samolotów. Odznakę można było przyznawać także za co najmniej trzykrotny udział w walce naziemnej lub morskiej, połączony ze zniszczeniem ważnych celów, np. czołgów, bunkrów lub jednostek pływających.

Kolejne odznaczenie, mimo że zostało wtórnie przepalone i częściowo zdeformowane, nawet w takim stanie jest rzadko spotykane. Krzyż Hiszpanii (niem. Spanienkreuz), bo o nim mowa, został ustanowiony rozporządzeniem Adolfa Hitlera z dnia 14 kwietnia 1939 roku dla nagrodzenia żołnierzy walczących w ramach Legionu Condor w hiszpańskiej wojnie domowej. Srebrny Krzyż Hiszpanii z mieczami (taki odkryliśmy w Kostrzynie) przyznawano za udział w walce mającej decydujące znaczenie dla losów wojny. Nadano tylko 8304 krzyże tej klasy.

Ostatnie z omawianych odznaczeń jest absolutnym unikatem.

Podczas eksploracji fragmentu transzei.

Panzerfausty odkryte w trakcie prac wykopaliskowych.

Wybrane przedmioty pozyskane podczas badań.

Najlepiej zachowany nieśmiertelnik in situ.

Warstwa spalenizny: zwęglone książki i gazety przemieszane z ubraniami cywilnymi.

Wykonaną z brązu Sportową Odznakę SA ze swastyką i mieczem oraz mottem w otoku „Vorleben–Vorkämpfen" („dawać przykład w życiu i walce") przyznawano volksdeutschom mieszkającym w Rumunii. Do 1943 r. nadano jedynie 1593 egzemplarze. Odznaka jest numerowana, osoba nią nagrodzona oprócz odznaki otrzymywała również książeczkę.

Należy sądzić, że badany przez nas rów łącznikowy, znajdujący się w bliskim sąsiedztwie zamku, w momencie zakończenia walk o Kostrzyn, stał się miejscem pochówku poległych żołnierzy i najprawdopodobniej cywili. Nie wykluczamy także, że w trakcie prowadzonych już w Kostrzynie działań wojennych chowano tutaj ciała zmarłych w lazarecie. W trakcie badań odkrywaliśmy również kości ze śladami zabiegów chirurgicznych oraz amputowane kończyny. Kości noszą również ślady działania ognia. Najmocniej widoczne są one na kościach zalegających najgłębiej, bo na głębokości około 1-1,20 m; są one zwęglone, rzadziej skurczone i przepalone.

Przypuszczamy, że kolejne szczątki ludzkie zostały wrzucone do niezasypanej transzei przez osoby, które po zakończeniu walk sprzątały teren Starego Miasta. Usuwano wówczas pozostałości uzbrojenia oraz zwłoki żołnierzy, najpewniej obu armii i ludności cywilnej. Świadkowie tamtych wydarzeń wspominają, że aby uniknąć epidemii, ludzkie szczątki spalono. Znajduje to swoje potwierdzenie w wynikach prowadzonych przez nas badań. Bowiem w transzei zarejestrowaliśmy warstwę spalenizny, składającą się z książek, gazet i ubrań, a pod nią dopiero odkrywaliśmy spalone bądź nadpalone ludzkie kości. Z innych relacji dowiadujemy się, że część rannych przebywających w lazarecie, zlokalizowanym w zamku, na wieść o zdobyciu Starego Miasta przez wojska radzieckie, popełniła samobójstwo. Podczas badań na kilku czaszkach stwierdziliśmy obrażenia postrzałowe. Można więc sądzić, że oni również zostali pogrzebani w przyzamkowej transzei.

Odznaka „Bojowa Artylerii Przeciwlotniczej" stan bezpośrednio po wyjęciu z ziemi.

Badania archeologiczne utrudniał wszechobecny gruz ceglany, granitowe kostki brukowe, kamienie oraz elementy uzbrojenia przemieszane razem z bezładnie leżącymi szkieletami. Prace archeologiczne zostały przerwane. Ludzkie szczątki zostaną przekazane odpowiednim służbom i organizacjom zajmującym się poszukiwaniem osób poległych na frontach II wojny światowej. Prace ekshumacyjne na szerszą skalę będą kontynuowane prawdopodobnie jeszcze w kwietniu. Prowadzić je będą specjaliści ze Stowarzyszenie Pomost z Poznania.

Pozyskane podczas badań przedmioty trafią do Muzeum Twierdzy Kostrzyn. Po ich opisaniu i skatalogowaniu, wybrane eksponaty zostaną poddane konserwacji. Niektóre z nich wzbogacą stałą ekspozycję muzealną w kazamatach Bastionu Filip.

Od zakończenia działań wojennych w Kostrzynie minęło już 70 lat. Przeprowadzone przez nas prace archeologiczne pokazują, że ziemia Starego Miasta ciągle skrywa tajemnice. Na zakończenie naszych rozważań zainteresowanym drugowojenną historią Kostrzyna polecamy najnowszą, pachnącą jeszcze farbą drukarską, publikację. W książce „Twierdza Kostrzyn 1945. Oczekiwania a rzeczywistość" autorstwa Gerda-Ulricha Herrmanna – dyrektora Muzeum/Miejsca Pamięci Wzgórz Seelowskich. Znajdziecie tam wiele niepublikowanych dotąd relacji świadków i fotografii dotyczących piekła, które rozgorzało 70. lat temu w niewielkim mieście u zbiegu Warty do Odry...

Niemieckie odznaczenia wojskowe:

Sportowa Odznaka SA „Vorleben-Vorkämpfen".

Wojenny Krzyż Zasługi drugiej klasy.

Srebrny Krzyż Hiszpanii z mieczami.

W pracach wykopaliskowych udział wzięli członkowie Stowarzyszenia Eksploracji „Perkun" i Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca" oraz pracownicy Muzeum Twierdzy Kostrzyn. Kierownikiem badań archeologicznych był Krzysztof Socha.

ZDJĘCIA: ARCH. MUZEUM TWIERDZY KOSTRZYN.

Krzysztof Socha
Pracownik Muzeum Twierdzy Kostrzyn, specjalista ds. archeologii.

Podobozy KL Gross-Rosen, a przemysł zbrojeniowy III Rzeszy (cz. 2)

Więźniowie z Hirschberg im Riesengebirge

SZYMON WRZESIŃSKI

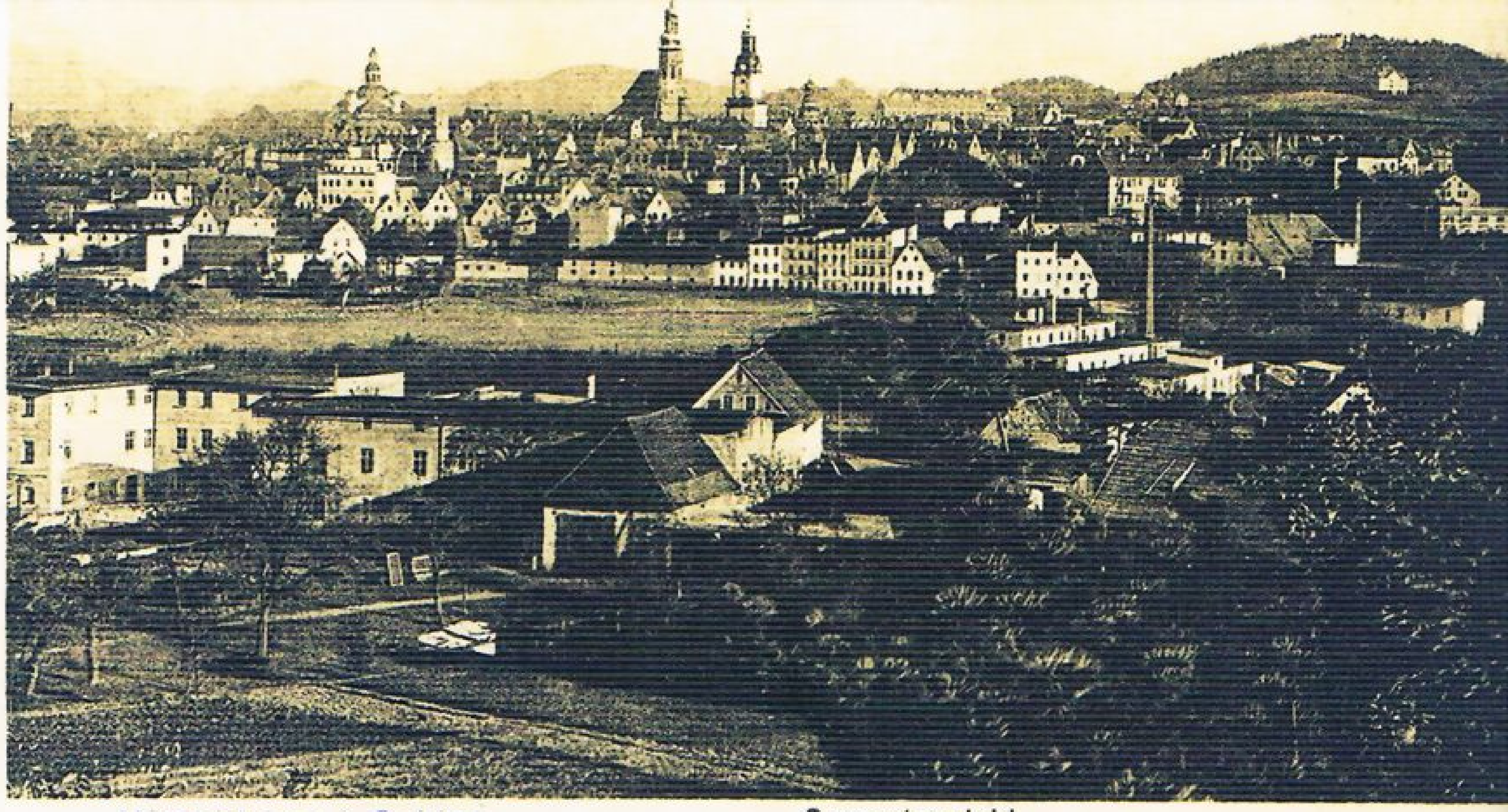

Panorama Jeleniej Góry w latach 30. XX wieku...

W okresie II wojny światowej w Hirschberg (ob. Jelenia Góra) funkcjonowało kilka obozów pracy, w których zatrudnieni byli więźniowie KL Gross-Rosen. Ponadto zorganizowano tam kwaterunek dla grup cudzoziemców zatrudnionych w miejscowych fabrykach. I nie tylko...

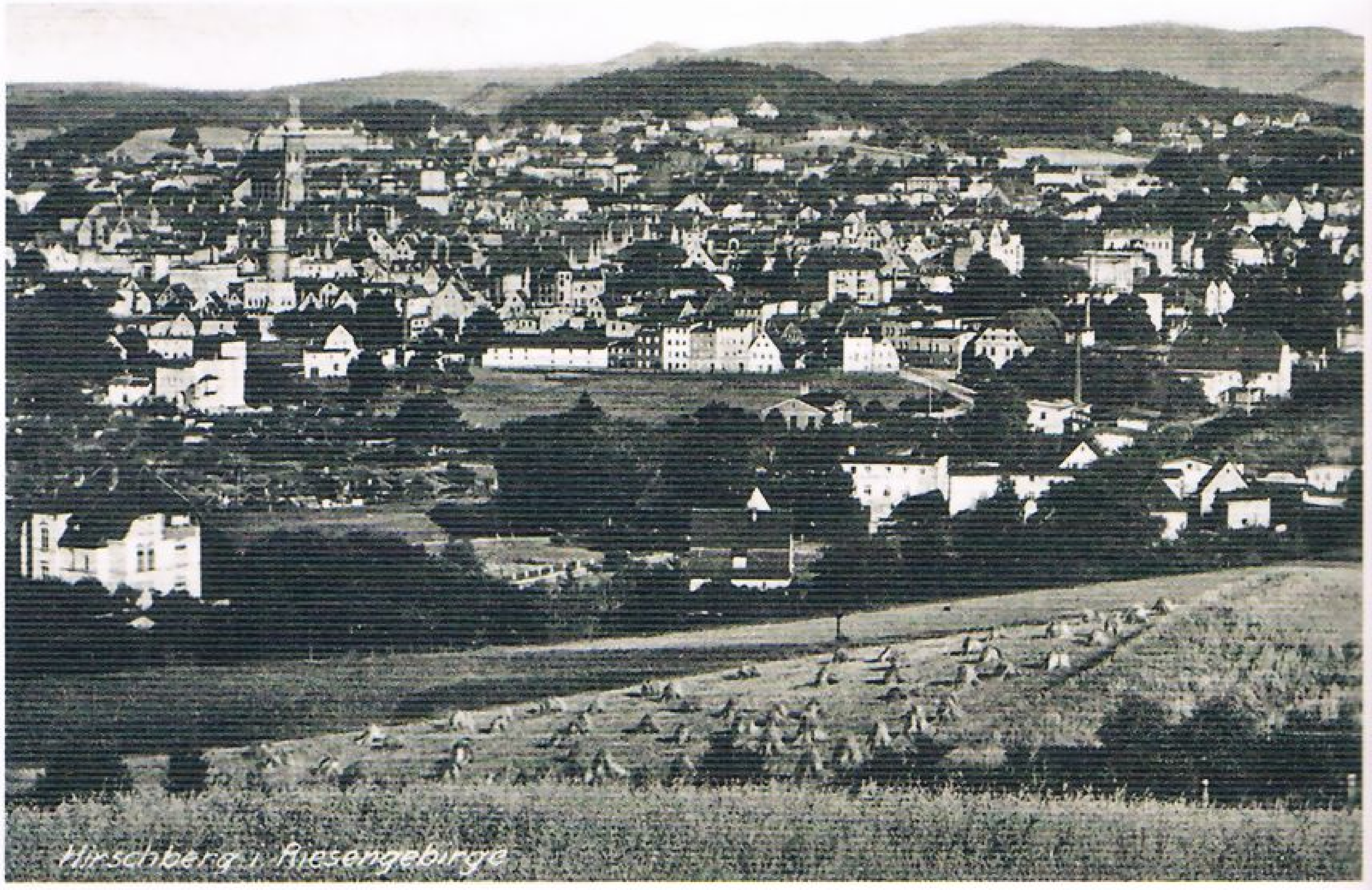

... Jelenia Góra ok. 1940 r., ze zb. Pawła Kałafatiuka.

Dla przemysłu lekkiego

Wspominając o jeleniogórskim przemyśle, warto sięgnąć 1884 roku, kiedy w podmiejskim Cunnersdorf[1] Ferdinand Salomon wybudował na własny koszt celulozownię siarczynową. Ponieważ nie dopilnował spłaty kredytów za wybudowanie zakładu, wkrótce zbankrutował, a jego fabrykę w 1892 roku przejęła spółka „Schlesische Cellulose -und Papierfabrik GmbH". Po zakończeniu I wojny światowej przedsiębiorstwo znalazło się w rękach Ewalda Schöllera, wielkiego, śląskiego udziałowca, dzięki któremu rozwinęło się i działało sprawnie aż do momentu, kiedy wybuchł wielki kryzys gospodarczy. W 1929 roku zakłady upadły, po czym zostały przejęta przez koncern Phrix-Zellwolle, obejmujący cztery zakłady w Niemczech, mający swoją główną siedzibę w miejscowości Siegburg w Nadrenii Północnej-Westfalii.

W 1938 roku rozpoczęto budowę nowej celulozowni, zakończoną w 1941 roku: – *Jak wynika z dokumentów „Schlesische Zellwolle A.G.", bo tak brzmiała niemiecka nazwa fabryki, była bardzo prężnym przedsiębiorstwem. Dzienna produkcja celulozy wynosiła 45 ton. Technologia była oparta na siarce. To sprawiało, że przebywanie dłużej niż 6 godzin dziennie było bardzo szkodliwe dla zdrowia. Dlatego też w zakładzie pracowali więźniowie i pracownicy przymusowi z terenów okupowanej Europy* – twierdzi Robert Rzeszowski, kierownik Działu Historii Muzeum Karkonoskiego w Jeleniej Górze.[2]

Pierwszy podobóz utworzono 300-500 m od zakładów wełny drzewnej „Schlesische Zellwolle AG Hirschberg im Riesengebirge" na przełomie 1942 i 1943 roku. Pracujący tam polscy Żydzi (w kolejnych latach dołączyli Żydzi z Francji i Belgii), podzieleni zostali na dwa komanda robocze. Jedno z nich wykorzystywano do rozbudowy fabryki. Po rozebraniu starego budynku, ustawionego na dużej płycie betonowej, rozpoczęto wznoszenie nowej hali. Poszczególne grupy robocze przydzielano do prac betoniarskich, zbrojenia konstrukcji, robót murarskich, układania dróg, tłuczenia kamieni itp. Z kolei 15 więźniów-cieśli wykonywało prace polegające na przygotowaniu drewnianych elementów nowej hali fabrycznej. Całość nadzorował niemiecki technik budowlany, korzystający z pomocy majstra: *„Wykonywaliśmy najpierw roboty szalunkowe pod słupy betonowe oraz belki nośne i szalunki pod strop, potem następowało bardzo szybkie betonowanie przygotowanej konstrukcji budynku. Dzięki wymuszonej na nas pracy powstały dwie kondygnacje. Niewielka grupa murarzy wznosiła wewnętrzne ściany powstającej hali"* – pisał po latach S. Dziaduś.[3]

Drugie komando zostało zatrudnione do pracy przy rozładunku drewna z wagonów na stacji kolejowej. Następnie musieli sortować je i układać przy hali. Bywało, że dokonywano załadunku półfabrykatów lub skrzyń z gotowymi wyrobami, albo transportowano włókna celulozowe z fabryki do magazynu. Innym razem pracowali przy rozładunku specjalnych wagonów z materiałami budowlanymi: *„Wyładowywaliśmy drewno, cement, cegłę i inne materiały budowla-*

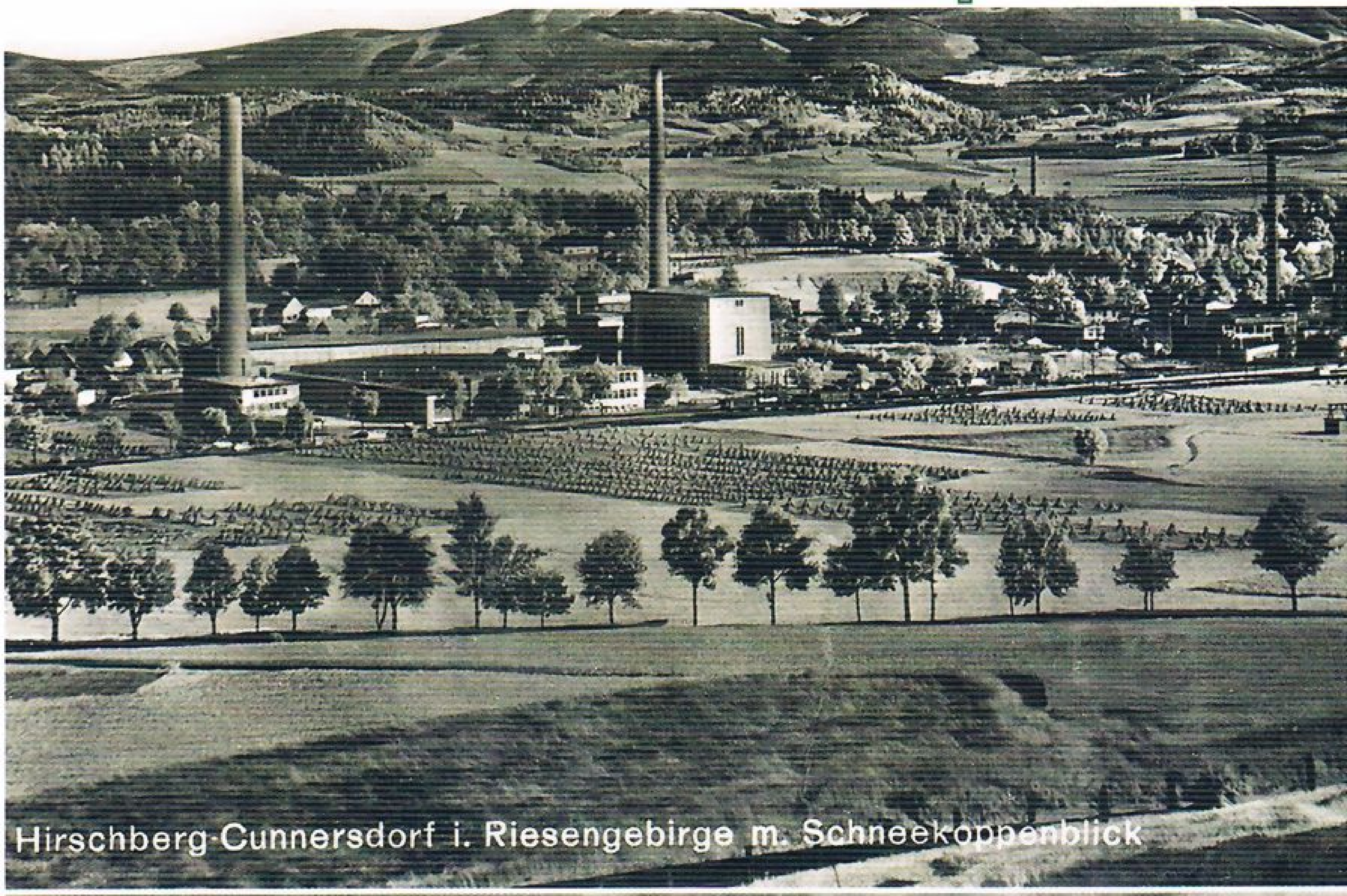

Zakłady Schlesische Zellwolle AG w Jeleniej Górze, ze zb. Pawła Kałafatiuka.

ne, bardzo często wapno, a załadowywaliśmy najczęściej bele papieru. Każda bela ważyła ok. 250 kg" – wspominał p. Dziaduś.[4] Dodatkowymi utrudnieniami było to, że tę ciężką pracę należało wykonać szybko, a unoszący się wszędzie pył wapienny, wdzierający się do oczu i ust skutecznie ją uniemożliwiał. Podczas tej katorżniczej, 12-godzinnej pracy, z jedną przerwą na obiad, więźniów-budowlańców pilnowali pracownicy fabryki, natomiast przy wyładunku strażnikami byli najprawdopodobniej SS-mani. Mimo iż ponad 300 więźniów zostało odesłanych do obozu macierzystego w Gross-Rosen, w listopadzie 1943 roku „Arbeitskommando Hirschberg" działało nadal. Ostatnie informacje o jego funkcjonowaniu pochodzą bowiem z połowy stycznia 1944 roku.

Kolejny podobóz powstał w połowie marca 1944 roku, po przekształceniu istniejącego obozu pracy przymusowej dla mężczyzn narodowości żydowskiej (Zwangsarbeitslager für Juden). Obóz znajdował się nad rzeką Kamienną, nieopodal rozbudowywanych zakładów wełny drzewnej w Hirschberg-Cunnersdorf. Ulokowani w nim więźniowie pracowali w fabryce, a dokładniej, przy chemicznej obróbce wełny, podczas której mieli kontakt z niebezpiecznymi dla zdrowia kwasami. Pewną grupę zatrudniano też na placu węglowym przy rozładunku miału. Chorych kierowano do tutejszego „szpitala" obozowego (rewiru), gdzie wielu z nich uśmiercono zastrzykiem z fenolem!

Jeleniogórska fabryka celwiskozy w latach wojny, w której zatrudniono więźniów z filii KL Gross-Rosen, ze zb. Pawła Kałafatiuka.

W pobliżu funkcjonował niewielki obóz dla 110 Polaków, których rozlokowano w trzech drewnianych barakach. Przylegał bezpośrednio do obozu żydowskiego, jednak był od niego odgrodzony, przez co między więźniami nie było jakiejkolwiek styczności. Polaków pilnowali SS-mani oraz wyróżniający się okrucieństwem kapo George Prill. Niemal każdego dnia zdarzały się wypadki bicia i maltretowania więźniów zarówno na terenie obozu, jak i w fabryce. Warunki bytowe były bardzo ciężkie, pracowano po 12 godzin lub dłużej, przy minimalnych, wręcz głodowych, racjach żywnościowych. Wycieńczeni, chorzy i niezdolni do dalszej pracy więźniowie byli odsyłani do obozu macierzystego w Gross-Rosen. O tym, jak byli traktowani, świadczy wypowiedź niemieckiego dyrektora fabryki K. Weyricha. W sprawozdaniach zakładu za rok 1943 stwierdził on, że szczególnie zaniedbani są Polacy i robotnicy ze wschodu, a przecież stanowią „dobrą siłę roboczą". Ponadto z racji niewystarczających stawek żywieniowych i przydziałów żywności nie są w stanie ciężko pracować, co negatywnie wpływa na produkcję...

Dla przemysłu zbrojeniowego

W Jeleniej Górze miało znajdować się jeszcze wiele innych obozów pracy oraz jenieckich oddziałów roboczych położonych zwykle w pobliżu rozmaitych zakładów. Część komand

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS
ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE POSIADAMY RÓWNIEŻ MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

Fragment folderu z lipca 1939 r. reklamującego jeleniogórski zakład należący do koncernu i spółki akcyjnej Phrix-Zellwolle. Zb. Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze.

Reklama produktów Askania z 1940 r., kiedy zakłady działały jeszcze w Berlinie. Źródło: vInternet

wykonywała prace porządkowe, drogowe, ziemne, budowlane i transportowe – m.in. naprawiała i układała tory kolejowe. Dodatkowo zlecano im prace w różnych warsztatach na terenie miasta w hucie szkła i zakładach farmaceutycznych. Był też obóz pracy na ob. Wzgórzu Kościuszki, w którym przebywało ok. 80 mężczyzn narodowości polskiej, belgijskiej i czeskiej. Więźniowie, poza wykonywaniem zadań na rzecz jeleniogórskich firm, pracowali przy robotach ziemnych i kopali schrony przeciwlotnicze.[5]

Pisząc o wykorzystaniu pracowników przymusowych sprowadzonych z wielu państw europejskich, warto wspomnieć o spółce „Optische Werke".[6] Wytwarzano tam szkło optyczne na potrzeby niemieckiej armii: – *W 1939 roku zapadła decyzja o uruchomieniu w Jeleniej Górze zakładów optycznych. Wykorzystano do tego celu zabudowania dawnej fabryki maszyn* – twierdzi Paweł Kałafatiuk, jeleniogórski regionalista. – *28 maja 1940 roku powstały zakłady Hirschberger Optische Werke GmbH, których prezesem został Georg Jaeckel. Do istniejącego terenu dokupiono jeszcze ponad 4 hektary i rozbudowano zakład o nowe hale produkcyjne, budynki pomocnicze, administracyjne oraz mieszkalne dla pracowników. Jeden z budynków administracyjnych zaadaptowano na potrzeby laboratorium badawczego. Produkcja ruszyła w roku 1943. Do szlifowania i polerowania szkieł używano francuskich maszyn firmy Clave z Paryża. Materiały do wytopu szkła były składowane w specjalnych bunkrach, z których jeden – obrotowy – miał 18 silosów na 500-2000 kg zawartości. Najważniejszą część instalacji stanowiło pomieszczenie do uszlachetniania szkła, wyposażone w podziemny magazyn. W pomieszczeniu tym wykonywano wytrawianie, lakierowanie i lustrzenie szkła oraz montowanie z elementami mechanicznymi. Przez cały okres istnienia zakładów wykonano 60 wytopów, w tym 36 drobnych. W większości produkcja obejmowała zaawansowaną obróbkę surowego szkła sprowadzanego z Jeny oraz wytwarzanie elementów optyki dla wojska. Były to lustra paraboliczne i soczewki Fresnela do reflektorów przeciwlotniczych oraz szkło barwione do produkcji świateł pozycyjnych i sygnalizacyjnych dla lotnictwa.*[7]

Jednym z najbardziej tajemniczych miejsc i zarazem owianym paletą domysłów i hipotez, były zakłady spółki akcyjnej Askania-Werke. Nic dziwnego, skoro przez długie lata pojawiały się lakoniczne przekazy pobudzające wyobraźnię. Jedna z pierwszych wzmianek, odnosząca się bezpośrednio do celu produkcji, została opublikowana w połowie 1947 roku w „Monitorze Polskim", przy okazji zamieszczenia orzeczenia Ministra Przemysłu i Handlu z 16 czerwca o przejściu wybranych przedsiębiorstw na własność Państwa. Podano, że była tutaj jeleniogórska filia berlińskiego zakładu *„wyrobu części do przyrządów lotniczych"*.[8]

Nieco więcej informacji udało się ustalić Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. W wydanym przezeń Biuletynie w połowie lat 50. podano, że jeleniogórskie zakłady Askania wytwarzały *„przyrządy pokładowe do samolotów"*.[9] Z kolei w wydanej dwie dekady później monografii, czytamy: *„Obóz pracy mieścił się przy ul. Sobieskiego 82 (zwana wówczas Greiffenbergerstrasse 82) na terenie fabryki »Askania-Werke AG. Berlin-Friedenau«, która w okresie wojny została przeniesiona z Berlina do Jeleniej Góry. W obozie przebywali więźniowie różnych narodowości (między innymi: Polacy, Belgowie, Czesi), początkowo 124 osoby, na przełomie lat 1944 i 1945 ponad 800 osób. Więźniowie pracowali w fabryce. Obóz zlikwidowano w 1945 roku"*.[10]

Lapidarne przekazy niejednokrotnie przyczyniały się do podawania rozmaitych danych. Jan Kosiński w swej publikacji „Niemieckie obozy koncentracyjne i ich filie" (Stephanskirchen, 1999) stwierdził, że początkowo w obozie, obok fabryki, przebywali jeńcy, dopiero w maju 1944 roku przekształcono go w podobóz KL Gross-Rosen, który liczył 2 tys. więźniów. Większość zatrudniały zakłady Askania, lecz istniało tu także wydzielone komando, wykonujące w Bukowcu różne prace dla SS. Natomiast Mieczysław Mołdawa w monografii pt. „Gross-Rosen. Obóz koncentracyjny na Śląsku" (Warszawa, 1980) pisał, że była to „filia koncernu chemicznego", a tutejsze komando, założone w 1944 roku, liczyło 300 osób. Obóz miał zostać zlikwidowany w lutym następnego roku. Błędne skojarzenie Askanii z wyrobami chemicznymi wynikało z tego, iż w okresie II wojny światowej funkcjonowała firma o tej samej nazwie, lecz niewiele miała ona wspólnego z berlińskim zakładem, który posiadał kilkudziesięcioletnie doświadczenie w zupełnie innej dziedzinie…

W roku 1871 Carl Bamberg, syn zegarmistrza, powołuje do życia niewielką manufakturę, która produkuje urządzenia precyzyjne dla marynarki, obserwatoriów astronomicznych i meteorologicznych, znacznie wyprzedzając produkty innych firm. Zastosowane przez firmę innowacyjne rozwiązania, umożliwiające prowadzenie badań naukowych oraz rozmaitych ekspedycji badawczych, pozwoliły osiągnąć firmie wysoką pozycję, a jej produkty obdarzono najwyższym zaufaniem. To z kolei przełożyło się na rosnącą popularność i ciągłe powiększanie zakładów. Od lat 20. XX wieku Askania stała się najważniejszym, niemieckim producentem w sektorze nawigacji lotnictwa. Wraz z upływem lat nie było już samolotu, który nie posiadałby urządzeń tej firmy. Zegary pokładowe oraz kompasy i zegarki naręczne nie tylko pomagały pionierom lotów powietrznych w ich brawurowych i niebezpiecznych poczynaniach (zwłaszcza podczas lotów nocnych i długodystansowych), dostarczały również bezpiecznie do celu cywili, coraz częściej podróżujących samolotami.

Po 1933 roku i militaryzacji III Rzeszy stale rosła ilość zamówień ze strony Ministerstwa Marynarki i Ministerstwa Lotnictwa, np. na kompasy żyroskopowe dla samolotów Heinkel. Po wybuchu wojny Askania-Werke miała spory udział w realizacji projektów „broni odwetowych"! Zatrudnieni w niej inżynierowie współtworzyli żyroskopy, dzięki którym można było stworzyć system utrzymania kierunku podczas lotu niemieckiego samolotu-pocisku Fieseler Fi 103, znanego bardziej jako V-1. Ponadto wykonywano poszczególne komponenty do rakiety V-2.

W związku z tym, że berlińska siedziba firma była coraz bardziej narażona na zniszczenie, wskutek coraz częstszych nalotów alianckich na stolicę III Rzeszy, podjęto decyzję o rozparcelowaniu zakładów. Ustalono, iż najlepszym rozwiązaniem będzie przeniesienie części pracowników oraz ulokowanie urządzeń w spokojnym, nienarażonym dotąd na naloty, podkarkonoskim mieście zwanym ówcześnie Hirschberg.

Zakład najprawdopodobniej uruchomiono 1 kwietnia 1943 roku, jednak dopiero w późniejszym okresie do niemieckich pracowników dołączono zagranicznych robotników. Udało się ustalić, że jednym z zatrudnionych cudzoziemców był francuski obywatel Pierre Dodin, urodzony w 1917 roku. Został skierowany do KL Gross-Rosen, skąd odesłano go do pracy w jeleniogórskim komandzie wykonującym prace na rzecz Askania-Werke.[11] Wraz z nim do Hirschberg przybyło wielu innych Francuzów. Mimo że udało się ustalić ich częściowe dane personalne, jednak nie wiadomo, którzy z nich trafili do zakładów Phrix-Zellwolle, bądź do Askania-Werke. Dodajmy, iż w owym czasie komendantem obozu był SS-Oberscharführer Franz Wenzel, a jego zastępcą SS-Unterscharführer Pitrass.

Trzecią grupą byli „więźniowie produkcyjni". O ich wykorzystaniu wspomina pismo szefa SS-WVHA z 9 czerwca 1944 roku skierowane do komendanta KL Gross-Rosen. Pod numerem 21 wymieniono filię Askania Werke w Hirschberg, gdzie miano wykonywać przyrządy pokładowe do samolotów.

Urządzenia pokładowe Askanii cieszyły się wielkim powodzeniem. Źródło: deutscheluftwaffe.de

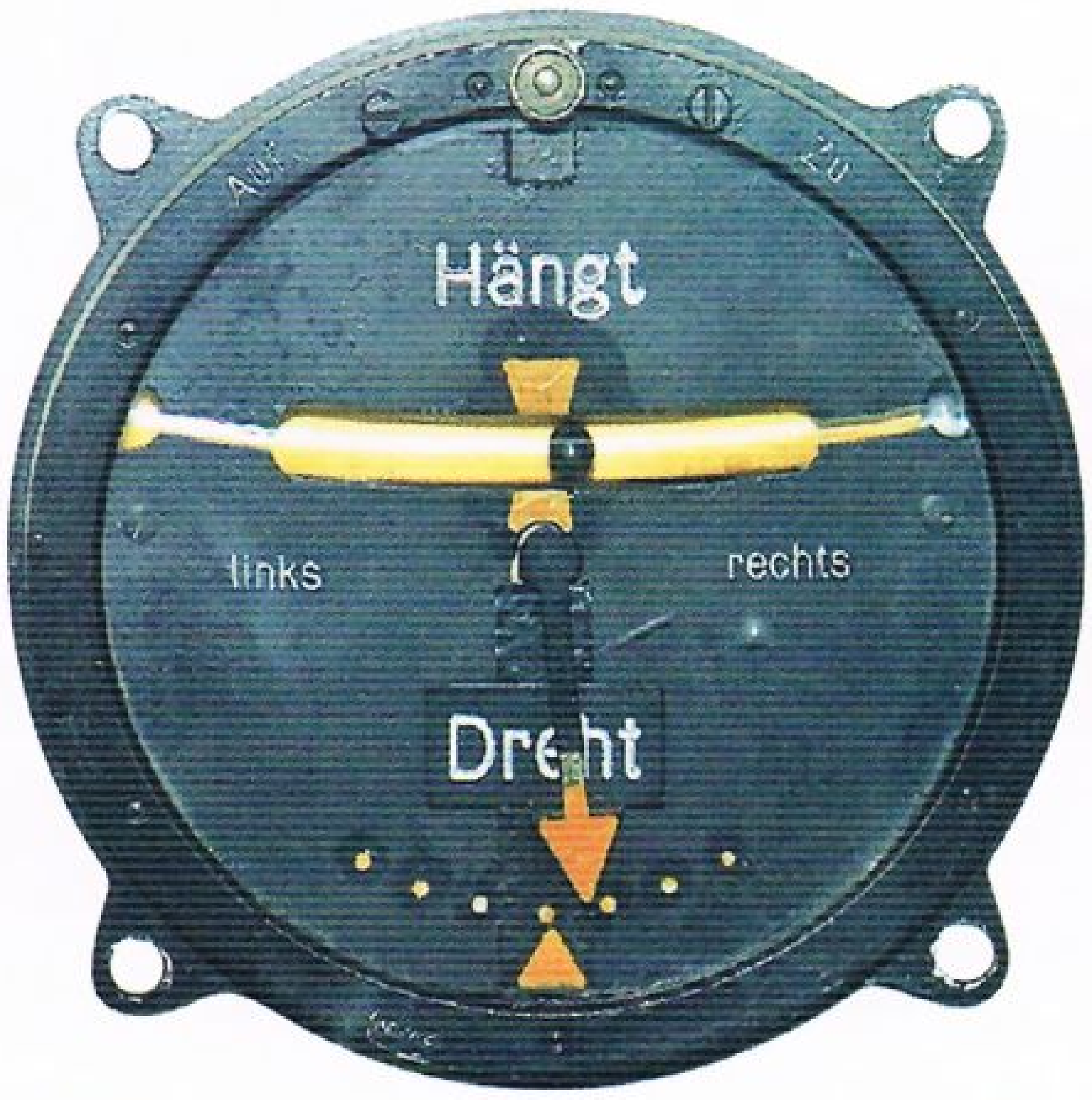

Inklinometr do samolotu produkcji Askania-Werke...

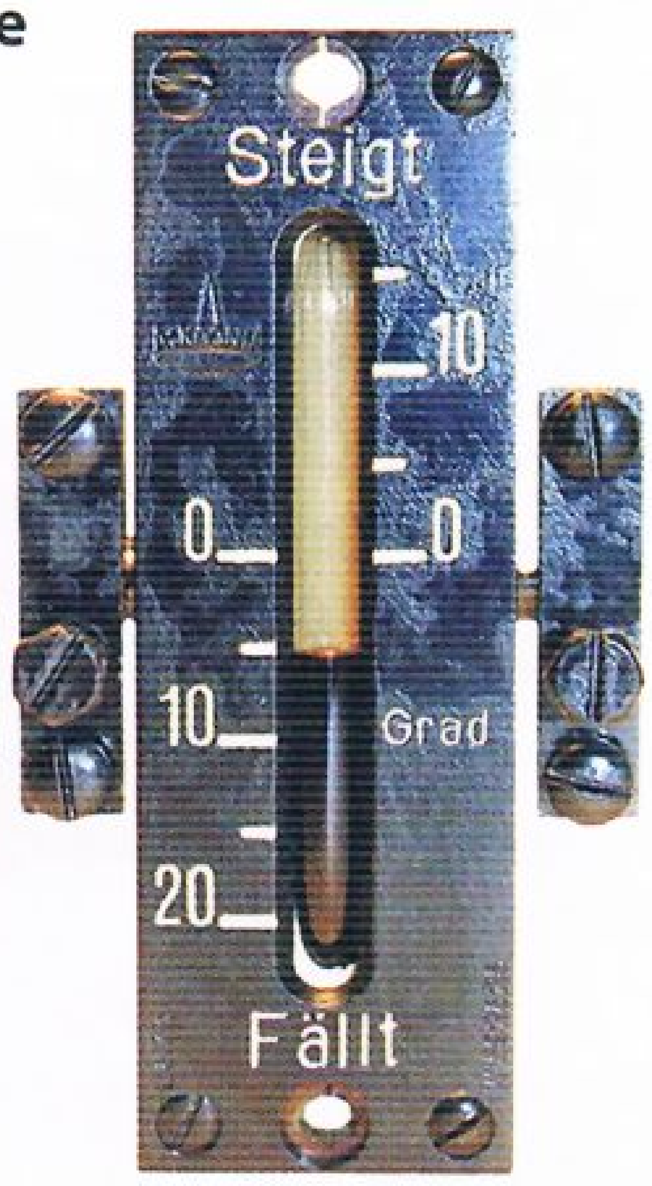

...oraz jedno z urządzeń pokładowych z końca lat 30. Źródło: deutscheluftwaffe.de

Główna siedziba spółki Phrix-Werke znajdowała się w Siegburgu. Źródło: Internet

Wraz ze zbliżaniem się frontu, podjęto działania dla zachowania dalszej, tym razem podziemnej produkcji. Dlatego pod koniec stycznia 1945 roku z oddziału Askania w Jeleniej Górze przeniesiono część pracowników do Morsleben. Jedną z tych osób była Elli Rach (ur. 1905 r.): *„W czasie II wojny światowej musiałam zrezygnować z zatrudnienia w małym zakładzie krawieckim i rozpocząć pracę w administracji w berlińskiej fabryce amunicji Askania. Tam zetknęłam się z robotnikami przymusowymi. Pod koniec marca, na krótko przed Wielkanocą, zostałam przeniesiona do Hirschberg w Karkonoszach. Rozpoczęłam tam pracę 1 kwietnia 1944 roku i trwała ona aż do świąt Bożego Narodzenia, albowiem po 27 grudnia poinformowano mnie, że na dniach będę musiała wyjechać wraz z innymi pracownikami Askania Hirschberg. Po opuszczeniu Dolnego Śląska zostałam przeniesiona do Drezna".*[12]

Tymczasem nad Bobrem pozostałe tutaj komando więźniów demontowało ważniejsze urządzenia, a Niemcy niszczyli dokumentację obozową. Oficjalne prace zakończono 28 lutego, kiedy zarządzono ewakuację więźniów do AL Reichenau (ob. Rychnov nad Kněžnou w Czechach), a następnie do KL Buchenwald. Odbywała się ona częściowo koleją, na otwartych lorach, a częściowo pieszo. Skutkiem morderczego marszu na miejsce dotarło około 900 skrajnie wycieńczonych więźniów.[13]

Po przybyciu do miasta Sowietów nastąpił kolejny demontaż i wysyłka maszyn – w tym przypadku do Związku Radzieckiego, w ramach reparacji wojennych. Z tego wynika, że musiało pozostać tu jeszcze sporo do zabrania. To również nie przypadek, że 13 sierpnia 1945 roku powstała tutaj Państwowa Wytwórnia Przyrządów Lotniczych, mająca zajmować się wytwarzaniem m.in. radiostacji nadawczo-odbiorczych. Mimo, iż w kolejnym roku zmieniono nieznacznie rodzaj zamówień, nadal pracownicy skupiali się na produkcji urządzeń typu lotniczego: *„Zjednoczenie Przemysłu Lotniczego objęło w Jeleniej Górze w posiadanie fabrykę »Askania«, która przez Niemców pozostawiona była pustą. Z czterech wyjściowych obrabiarek, dzięki staraniom Dyrekcji we wrześniu 1946 roku pracowały już 103 obrabiarki. Bogato zostało wyposażone także laboratorium, studium przyrządów lotniczych. Stan zatrudnienia ponad 200 osób"* – czytamy w „Trybunie Dolnośląskiej" z dnia 21 stycznia 1947 roku. Jednym z odbiorców było Wojsko Polskie, które zamawiało w Jeleniej Górze zintegrowany, trójwskaźnikowy wskaźnik parametrów silnika (ciśnienie paliwa oraz ciśnienie i temperatura oleju) do samolotu szkoleniowego CSS-13. Był on niemal identyczny z produkowanym wcześniej przez… Askania-Werke! Jedyną różnicą była tarcza z polskimi oznaczeniami i opisem. W 1949 roku jeleniogórska Fabryka Sprawdzianów i Przyrządów Pokładowych została przekształcona w Dolnośląską Fabrykę Wyrobów Metalowych, ale to już zupełnie inna historia…

Na podstawie: Sz. Wrzesiński i K. Urban „Tajne kompleksy lotnicze III Rzeszy na Dolnym Śląsku i Ziemi Lubuskiej" (w przygotowaniu).

Dla zainteresowanych. Informacje o jeleniogórskich obozach znajdują się przede wszystkim w zbiorach Muzeum Gross-Rosen w Wałbrzychu.

zdarzyło się…

22 IV 1964 r.

51 lat temu sejm PRL, przyjął ustawę mającą na celu zapobieżenie uniknięcia odpowiedzialności karnej przez zbrodniarzy hitlerowskich. Zgodnie z obowiązującym w RFN kodeksem karnym 9 V 1965 r. miało nastąpić przedawnienie ścigania zbrodni nazistowskich. Z wcześniejszych zapowiedzi niemieckich polityków wynikało, iż Bundestag nie miał zamiaru przedłużyć tego terminu. Choć w świetle przepisów prawa międzynarodowego działanie to nie miało większego znaczenia, wywołało na całym świecie oburzenie opinii publicznej oraz sprzeciw większości krajów europejskich. Tym większe, iż po 20 latach od zakończenia wojny wciąż niewielu zbrodniarzy zostało postawionych przed sądem. Dlatego też niezależnie od ustawodawstwa niemieckiego, w świetle prawa polskiego „przedawnienie nie biegnie jeżeli nie wszczęto lub nie prowadzono postępowania karnego na skutek nieujawnienia lub nieujęcia sprawcy albo niewydania sprawcy przebywającego za granicą". Wraz z podpisaną ustawą nastąpiła intensyfikacja poszukiwań dowodów zbrodni hitlerowskich, m.in. nieujawnionych do tej pory materiałów archiwalnych, mogących świadczyć przeciwko pozostającym nie tylko na wolności przestępcom, ale przede wszystkim nadal pełniącym stanowiska w RFN i Austrii byłym urzędnikom nazistowskim.

Przypisy:

[1] Wieś Cunnersdorf została przyłączona do Hirschberg (Jelenia Góra) 1 IV1922 roku.
[2] Cyt. za: R. Rzeszowski, Folder reklamowy pt. „Der Phrixer Hausmitteilungen" („Aktualności Firmy Prix") Nr 5 z lipca 1939 roku", wpis na stronie internetowej Muzeum Karkonoskiego w Jeleniej Górze (muzeumkarkonoskie.pl).
[3] Cyt. za: „Przegląd Lekarski", nr 1 z 1969 r., s. 140
[4] Tamże, s. 139-140
[5] „Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939-1945". Informator encyklopedyczny, Warszawa 1979, s. 209-210
[6] Po wojnie w tym miejscu funkcjonowały Jeleniogórskie Zakłady Optyczne (ul. Waryńskiego 12).
[7] Cyt. za: P. Kałafatiuk, „Zakłady budowy maszyn Starke & Hoffmann–Jelenia Góra [w:] internet: hirschberg.jgora.pl
[8] Monitor Polski. Dziennik Urzędowy Rzeczypospolitej Polskiej, nr 88 z 21 VI 1947 r., s. 3
[9] Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, Tom 8, Warszawa 1956, s. 94-95
[10] „Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939-1945", s. 210. W tekście wkradł się błąd drukarski; mylnie podano informację, że początkowo były tu-taj… 24 osoby!
[11] Dodin Pierre zmarł podczas deportacji w 1945 r. Na podstawie: „Livre Mémorial des Déportés de France" de la F.M.D. Tom 4
[12] Cyt. za: Relacja Elli Rach, ze zb. Autora.
[13] D. Garbe, K. Buck (red.), „Kriegsende und Befreiung", Bremen 1995, s. 78; R. Mogilański, „The ghetto anthology", 1985, s. 240; „The United States Holocaust Memorial Museum Encyclopedia of Camps and Ghettos 1933-1945", vol. 1, 2009, s. 1085

Szymon Wrzesiński

Dolnośląski historyk. Napisał m.in.: „Podziemne tajemnice III Rzeszy na Dolnym Śląsku"; „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki"; „Skarby III Rzeszy ukryte na Dolnym Śląsku. Relacje, dokumenty, wspomnienia"; „Na tropach skarbów i depozytów Trzeciej Rzeszy. Kulisy rewindykacji i poszukiwań terenowych na Dolnym Śląsku"; „Zamek Książ. Legenda III Rzeszy"' „Młodzi wyznawcy Hitlera. Hitler-Jugend na Dolnym Śląsku" (w druku). Kontakt z autorem: Sz_Wrzesinski@wp.pl

KOLEKCJA MODELI
WRZESIEŃ 1939
JUŻ W SPRZEDAŻY!!!
Z OKAZJI 75 ROCZNICY
WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ
WSPANIAŁA KOLEKCJA
MODELI I FIGUREK WOJSKOWYCH
Kolekcja Wrzesień 1939 z prezentami wozów i figur wojskowych
WRZESIEŃ 1939
NUMER 23
Patronat nad kolekcją objęło Muzeum Wojska Polskiego
W tym numerze w prezencie
dowództwo polskie
MUZEUM
WRZESIEŃ 1939
KOLEKCJA HISTORYCZNA
ŁATWY MONTAŻ
DOWÓDZTWO POLSKIE
1939
Kolekcja Wrzesień 1939 z prezentami wozów i figur wojskowych
WRZESIEŃ 1939
Patronat nad kolekcją objęło Muzeum Wojska Polskiego
W tym numerze w prezencie
działko przeciwpancerne
3.7 cm PAK 36
WRZESIEŃ 1939
KOLEKCJA HISTORYCZNA
ŁATWY MONTAŻ
3.7 cm PAK 36
NIEMIECKIE DZIAŁKO PRZECIWPANCERNE
PL1939 - 022

Skrzynie w Boryszynie,
czyli bursztynowa komnata na Prima Aprilis

TOMASZ RZECZYCKI

Początek wiosny to od lat pora, kiedy w gazetach i czasopismach przeczytać można niesamowite informacje o znalezieniu skarbów, odkryciu zamaskowanych pomieszczeń z cennymi przedmiotami, czy odkopaniu tajemniczych skrzyń. Wymyślone historyjki żyją jeden dzień lub tydzień, do czasu, gdy w następnym numerze redakcja zamieści rozczarowujące czytelników sprostowanie o… pierwszo-kwietniowym żarcie. Niektóre z takich dowcipów dziennikarskich dotyczyły miejsc dobrze znanych Czytelnikom miesięcznika „Odkrywca".

Pamiętam jak swego czasu przeglądałem w jednej z wrocławskich bibliotek „Gazetę Robotniczą". W numerze wydanym w latach 60., oczywiście datowanym na 1. kwietnia, natknąłem się na duży, ilustrowany tekst na temat zaskakującego odkrycia dokonanego w Rudawach Janowickich. Tam, w głębi gór, pomiędzy Karpnikami a Miedzianką, znajdują się dobrze zachowane ruiny zamku Bolczów. Gazeta donosiła o tym, że naukowcy odnaleźli na jego terenie garnek ze starym rękopisem, zawierającym najstarsze, słynne zdanie napisane w języku polskim (chodzi o *„Daj, ać ja pobruszę, a ty poczywaj"*). Tym samym palmę pierwszeństwa tracił manuskrypt henrykowski (pochodzący z I poł. XV w. z klasztoru cystersów w Henrykowie). Garnek schowany był w skrytce, zamaskowanej zwykłą cegłą. Dotarto do niej przypadkowo, na skutek analizy wyglądu cegieł w murze zamkowym. Aby uwiarygodnić informację, gazeta zamieściła fotokopię wzmiankowanego tekstu, zapisanego czcionką właściwie nierozpoznawalną dla Polaków żyjących w XX wieku.

Połowa znaleziona w skrzyniach, gdzie reszta? (Z ostatniej chwili)

„Bursztynowa komnata" jednak pod Międzyrzeczem!

A jednak rację miało tych kilkunastu wyśmiewanych przez „historyków" ludzi, którzy z uporem maniaka od lat powtarzali, że słynna „bursztynowa komnata" może znajdować się na terenie województwa gorzowskiego.

W końcu marca w podziemiach Mie-

Nagłówek artykułu z „Ziemi Gorzowskiej" z 1 kwietnia 1993 r.

Porcelanowa twierdza

Tekst, aczkolwiek intrygujący i napisany w sposób uprawdopodobniający jego sensacyjną wymowę, był całkowicie zmyślony. Zgodnie z tradycją żart został w kolejnym numerze gazety zdekonspirowany. Z perspektywy półwiecza można się jednak pokusić o komentarz. Wygląda na to, że żarty primaaprilisowe, informujące o niezwykłych odkryciach, są odbiciem swoich czasów i realiów. W czasach, kiedy tak mocno podkreślano pradawną polskość prastarych, piastowskich Ziem Odzyskanych, informacja o odnalezieniu w zamku Bolczów starego manuskryptu zapisanego polszczyzną, wpisywała się idealnie w politykę propagandową władz PRL. Ukazywała też siłę polskiej nauki. Jakieś skarby, skrzynie ze złotem? To byłby dobry temat dla brukowców na „zgniłym zachodzie", a nie w socjalistycznej Polsce.

Żarty primaaprilisowe dużo też mówią o poziomie biedy lub zamożności społeczeństwa oraz o aspiracjach ludzi. Tak można odczytywać wiadomość zamieszczoną w 1958 r. w pierwszokwietniowym numerze wrocławskiej „Gazety Robotniczej", w wydaniu „A" tegoż dziennika. *„Jak wiadomo, twierdza kłodzka nie stanowi już dziś obiektu wojskowego i udostępniona została dla wszystkich"*. Tymi słowami redakcja zachęcała czytelników do zapoznania się ze świeżym odkryciem, dokonanym gdzieś w zakamarkach twierdzy kłodzkiej. Otóż czytelnik dowiadywał się, że oto grupa chłopców znalazła tam, w jednym z pomieszczeń, cenny skarb. Były to… talerze z porcelany wał-

Podziemia Pętli Boryszyńskiej, istne Eldorado dla autorów primaaprilisowych żartów.

brzyskiej. Przyznam, że gdy odnalazłem ten tekst, zatrzymałem się nad nim z niedowierzaniem. Cóż cennego mogło być w jakichś tam talerzach? Często widywałem stare talerze wystawione przez mieszkańców przy miejskich kontenerach do selektywnej zbiórki różnego rodzaju surowców wtórnych. W XXI wieku porcelana potraktowana została jak makulatura, a nawet gorzej. Makulaturę można bowiem sprzedać w zbiornicy spółdzielni surowców wtórnych, a porcelany się tam nie skupuje. Za to wtedy, kilkanaście lat po II wojnie światowej, porcelana była w cenie i zasługiwała, by stać się skarbem w primaaprilisowym dowcipie. Cóż, jakie czasy – takie skarby.

Mur berliński sprzedam tanio

Z podobnym uśmiechem wracam do primaaprilisowego ogłoszenia zamieszczonego w katowickiej „Trybunie Robotniczej" w ostatni dzień marca 1990 r. – na dole pierwszej strony. Wtedy to nie porcelana, lecz kawałki byłego muru berlińskiego były w cenie i traktowano je jako przedmioty o wysokiej wartości kolekcjonerskiej. W rzekomym ogłoszeniu fikcyjna Agencja Trizonia Sp. z o.o. informowała, że uruchamia w Katowicach sprzedaż kawałków muru berlińskiego. Spółka miała też posiadać wyłączność w tym względzie na Polskę. Zgodnie ze zwyczajem, w kolejnym numerze gazety znalazło się redakcyjne dementi. Szkoda tylko, że nie podano czy kolekcjonerzy dzwonili na podany w ogłoszeniu numer telefonu…

Przysłowiową kopalnią primaaprilisowych żartów był Międzyrzecki Rejon Umocniony. Nic dziwnego, skoro podziemia te nie zostały dotąd zinwentaryzowane w sposób rozwiewający wszelkie wątpliwości i podejrzenia co do istnienia, bądź też nieistnienia, ewentualnych zamurowanych przejść i pomieszczeń. Skoro tego nie zrobiono, to nie ma się co dziwić, że notorycznie ciągnie tam poszukiwaczy skarbów. Na tej kanwie niejeden raz w gazetach publikowane były pierwszokwietniowe żarty o dokonaniu zdumiewających odkryć.

Pięć milionów dla znalazcy

„A jednak rację miało tych kilkunastu wyśmiewanych przez »historyków« ludzi, którzy z uporem maniaka od lat powtarzali, że słynna »bursztynowa komnata« może znajdować się na terenie województwa gorzowskiego" – donosił w numerze z 1. kwietnia 1993 r. tygodnik „Ziemia Gorzowska". Potem następowała opowieść wyjaśniająca, jak do tego doszło.

zdarzyło się…

22 IV 1983 r.

32 lata temu zachodnioniemiecki tygodnik „Stern" ogłosił publicznie istnienie nieznanych wcześniej dzienników Hitlera. Po opublikowaniu fragmentów treści pamiętników wydawało się, że trzeba będzie pisać historię III Rzeszy od nowa. Mimo początkowej euforii, zaczęły się jednak pojawiać opinie historyków sugerujących, że zakupione przez redakcję „Sterna" za kwotę ponad 9 mln marek manuskrypty, mogły być fałszywe. Z czasem kontrowersje te zaczęły narastać, jednak opinie specjalistów badających ich autentyczność wciąż były podzielone. Dość szybko, bo zaledwie po dwóch tygodniach, specjalnie powołany zespół ekspertów, po dogłębnym przeanalizowaniu 63 tomów rzekomych zapisków „wodza", wydał jednoznaczną opinię. Całość materiałów została od podstaw spreparowana przez fałszerza. Sprawa ta do dziś uznawana jest za jedną z największych mistyfikacji w powojennej historii Niemiec.

Oto za sprawą wiadomości podawanych w prasie i telewizji na temat domniemanego ukrycia bursztynowej komnaty, gdzieś w rejonie Międzyrzecza, rozmaici poszukiwacze wzmogli penetrację Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. Wobec tego zgodę na dyskretne poszukiwania wydał Wojsku Polskiemu Wojewódzki Konserwator Zabytków w Gorzowie Wielkopolskim. Każdy z biorących udział w poszukiwaniach żołnierzy, musiał podpisać oświadczenie o zachowaniu bezwzględnej tajemnicy w razie znalezienia skarbu. Wyścig o bursztynową komnatę wygrali polscy żołnierze, którzy okazali się szybsi zarówno od polskich penetratorów, jak i od wojsk Federacji Rosyjskiej, stacjonujących wtedy w pobliżu MRU. Wreszcie, pod koniec marca 1993 r., stało się: *„W podziemiach Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego znaleziono 14 skrzyń z fragmentami słynnej bursztynowej komnaty"*.

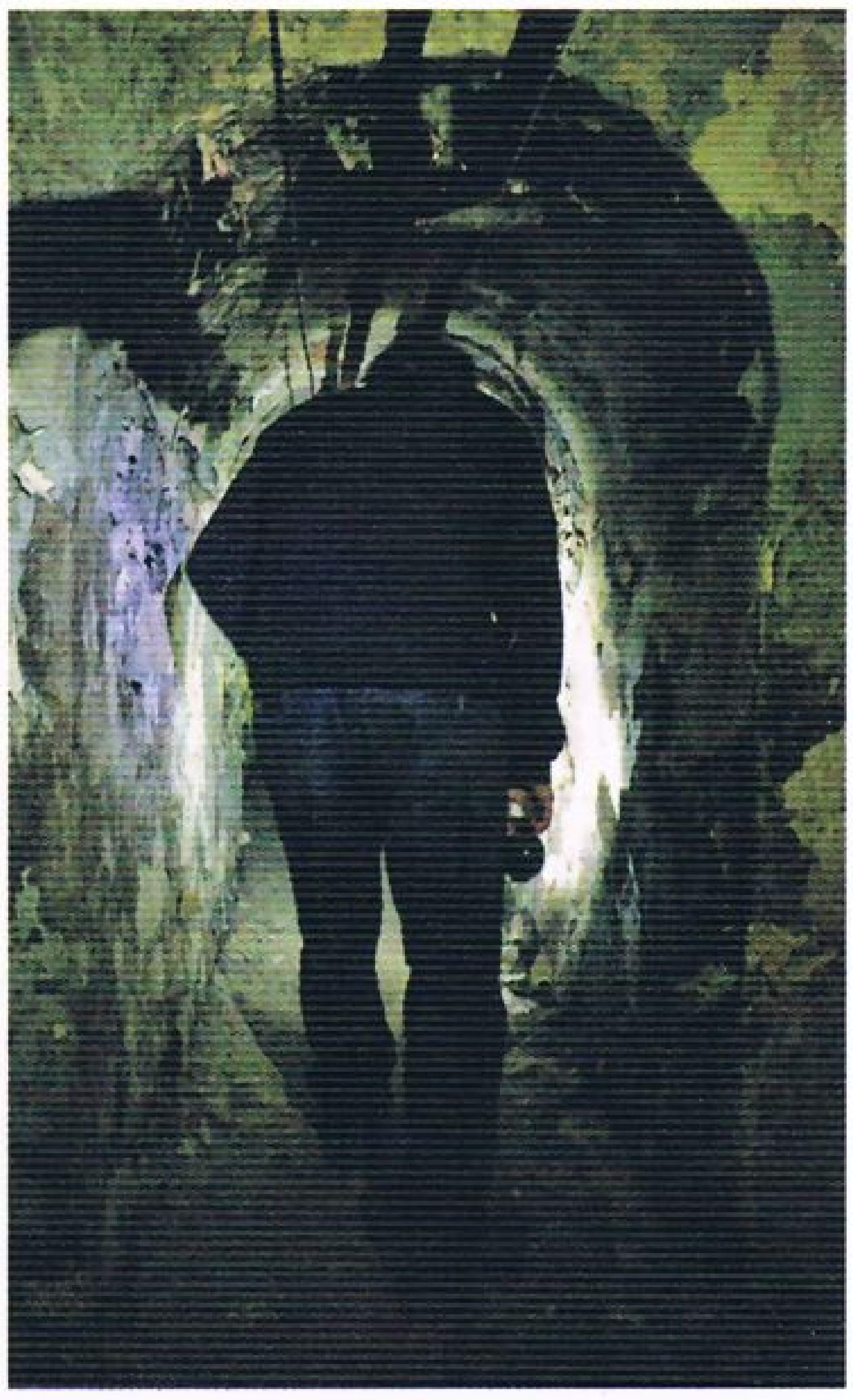

Podziemia twierdzy w Kłodzku również zasłużyły na pierwszokwietniową wiadomość o znalezionym skarbie.

Agencja „Trizonia"

Spółka z o.o.

(joint venture z kapitałem zachodnioberlińskim)

uruchamia w Katowicach

sprzedaż muru berlińskiego

Dla odbiorców indywidualnych: małe kawałki [illegible] kowanych cenach.

Dla instytucji proponujemy całe bloki.

Uwaga! Posiadamy wyłączność na Polskę.

Tel. kontaktowy: 537-967.

Żart w stylu „Kup pan cegłę" z muru berlińskiego. „Trybuna Robotnicza" nr 76 (15 012), 31.3.1990, s. 1

Zdjęcia fragmentów muru berlińskiego – „małych dzieł" – pochodzą z East Side Gallery, galerii–pomnika dla wolności, stworzonego przez artystów z całego świata. Usytuowana jest na fragmencie muru berlińskiego o dł. 1316 m niedaleko Dworca Wschodniego w Berlinie.

Gazeta podała, że ze względu na bezpieczeństwo, wszystkie skrzynie zostały wywiezione z Międzyrzecza. Złożono je na przechowanie, pod strażą, na terenie jednej z jednostek wojskowych w województwie gorzowskim. Teraz do akcji przystąpili historycy, ewidencjonując poszczególne fragmenty skarbu oraz konserwatorzy, mający za zadanie zbadać stan znaleziska i zabezpieczyć, by nie uległo ono zniszczeniu. Czytelnik dowiadywał się jeszcze, że z mocy prawa wojewoda gorzowski musi teraz wypłacić każdemu z uczestników poszukiwania kwotę… 5 milionów złotych. To była spora kwota, wystarczająca przeciętnej rodzinie na pokrycie bieżących wydatków przez kilka tygodni. W 1993 r. średnia krajowa płaca wynosiła 3 mln 329 tys. 167 zł netto. Niemal każdy zatrudniony był wtedy inflacyjnym milionerem. Biedny był za to wojewoda gorzowski, który musiał się teraz zastanawiać, skąd wziąć pieniądze na taki nadprogramowy wydatek. Gazeta składała podziękowania władzom wojskowym za otrzymane pierwszeństwo w przekazaniu informacji. I zapewne w celu podkręcenia emocji, tekst opatrzony został w odpowiedni nadtytuł:

„Połowa znaleziona w skrzyniach, gdzie reszta?". Oczywiście żadnej reszty nie było.

Wszystko to brzmiało niczym sen, bo taką też miało wartość merytoryczną. Nie da się ukryć, że żart ten odpowiadał na społeczne zapotrzebowanie na tego typu informacje.

Jedenaście lat później po raz kolejny czytelnicy dostali primaaprilisową wiadomość o niecodziennym znalezisku w podziemiach MRU. Jej autorem był międzyrzecki dziennikarz Dariusz Brożek. W jednym z lokalnych wydań „Gazety Lubuskiej" z 1 kwietnia 2004 r. czytelnicy dowiadywali się o tym, że *„wczoraj po południu w podziemiach MRU między Boryszynem i Wysoką natrafiono na komorę"*. W tekście wypowiadał się chiropterolog dr Zbigniew Urbańczyk, współwłaściciel spółki Pro Nature, prowadzącej wówczas podziemną trasę turystyczną w Pętli Boryszyńskiej na terenie gminy Lubrza. – *Wejście było zamurowane i wszyscy sądzili, że jest to tak zwany ślepy korytarz* – mówił dr Zbigniew Urbańczyk. Dalej czytelnicy dowiadywali się, że ostatnio obluzowało się kilka cegieł, dzięki czemu postanowiono sprawdzić, co znajduje się za nimi. I okazało się, że za ścianą była komora, a w jej środku *„około 30 drewnianych skrzyń o wymiarach metr na metr"*. Jeszcze tego dnia mieli przyjechać saperzy, aby bezpiecznie sprawdzić, cóż takiego znajdowało się w skrzyniach. Nie trzeba dodawać, że żadni saperzy nie musieli się fatygować do Boryszyna, bo w kolejnym numerze „Gazeta Lubuska" odwołała powyższe rewelacje, tłumacząc je niepisanym zwyczajem pierwszokwietniowym.

Wypadek w Sandomierzu

Ale, uwaga. Nie wszystkie sensacyjne informacje prasowe o skarbach, podziemiach i dziwnych wypadkach publikowane w gazetach datowanych na pierwszego kwietnia, są nieprawdziwe. Weźmy chociażby artykuł Janusza Rolickiego z 1 kwietnia 1967 r. z tygodnika „Polityka" dotyczący podziemi sandomierskich. Podana tam informacja o nauczycielu, który kupując w Sandomierzu, w kiosku, gazetę, spadł trzy metry pod ziemię do jednej z komór podziemnych – była jak najbardziej prawdziwa. Tak więc uważajmy, co czytamy. Bo niekiedy przeglądając pierwszokwietniowe numery czasopism sprzed wielu lat, prawdę od fałszu odróżnić nie jest łatwo…

Nie wszystkie sensacyjne informacje prasowe o skarbach, podziemiach i dziwnych wypadkach publikowane w gazetach datowanych na pierwszego kwietnia, były nieprawdziwe…

PRZED dwoma tygodniami wiadomość o nowym, bezpośrednim niebezpieczeństwie zagrażającym Sandomierzowi błyskawicznie rozeszła się po kraju. Sytuacja zaistniała w tym mieście zaniepokoiła tych wszystkich, którzy z wielką uwagą od paru lat śledzili prace przy ratowaniu i zabezpieczaniu sandomierskich zabytków.

Na przestrzeni kilku ostatnich lat zmieniło się oblicze tego miasta. Rozkopane ulice, stosy cegieł, kamieni, materiałów budowlanych, huk pracujących maszyn, bardziej przypominają plac budowy nowego osiedla niż centrum zacisznej sandomierskiej Starówki. W tej nowej scenerii średniowiecznego grodu pojawili się nowi ludzie. W górniczych kombinezonach w hełmach, z kilofami, młotami w ręku. To bytomscy górnicy, którzy w 1964 r. pospieszyli na pomoc zagrożonemu miastu. Pierwszy siedmioosobowy oddział pojawił się w Sandomierzu wówczas, gdy gospodarze miasta zwrócili się do Przedsiębiorstwa Robót Górniczych z prośbą o podjęcie akcji ratunkowej. Chcąc ratować zagrożone zabytki naszej kultury należało zbadać tajemnice ukryte w podziemiach, trzynastowiecznych lochach, gdyż w nich kryło się niebezpieczeństwo.

ODSZUKAŁAM w Sandomierzu ludzi, którym przed siedmioma laty powierzono to odpowiedzialne zadanie. Jest ich czterech: Marian Wyrazik, Eugeniusz Jaworski, Kazimierz Byrczek, Wacław Różycki. Opowiadają o trudnych początkach swej pracy na obcym terenie wówczas, gdy nie było żadnych planów, żadnych wytycznych, gdy nie wiedziano ile jest wyrobisk, które należy zabezpieczyć, gdzie i jakiego rodzaju są korytarze, przekopy, piwnice. Gdy nieznane były przyczyny groźnych awarii.

Dziś w Sandomierzu 57-osobowa grupa ludzi, w tym 21 górników z Bytomia, prowadzi prace zabezpieczające podziemia pod okiem wybitnych specjalistów z Krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej.

Zabezpieczenie piwnic, jak mnie poinformował kier. oddziału Marian Wyrazik, polega na wzmocnieniu wtórną obudową z cegły lub natryskiem betonowym wszystkich wyrobisk pierwszej kondygnacji. Najładniejszy ciąg wyrobisk długości 380 m przeznaczony został na trasę turystyczną, która w stanie surowym, bez wystroju oddana zostanie do użytku już w tym roku. W przyszłości planuje się uruchomienie w podziemiach kawiarni, winiarni i pomieszczenia na cele ekspozycyjne.

Znaczną część piwnic likwiduje się wypełniając je lessem z domieszką szkła wodnego. Równolegle z robotami zabezpieczającymi prowadzone są nadal prace badawczo-poszukiwawcze.

Bytomscy górnicy odpowiadają za wykonanie wszystkich robót do poziomu zerowego. Do nich

Renesansowy Ratusz w Sandomierzu
XVII-wieczna kolegiata — najstarsze gimnazjum w Polsce

Bytomscy górnicy ratują Sandomierz

Wiele spośród obiektów owianych skarbowymi legendami zostało częściowo udostępnionych do zwiedzania turystom. Nie często się jednak zdarzało, by ich gospodarze potrafili wymyślić naprawdę oryginalny, primaaprilisowy żart dla turystów, którzy tego dnia postanowili odwiedzić ich obiekty. Udało się to znakomicie złotostockiej spółce Kopalnia Złota, udostępniającej do zwiedzania wyeksploatowaną kopalnię rud arsenu i złota. Kopalnia ta znana jest m.in. za sprawą legendy o rzekomym transporcie ciężarówek, który miał zostać ukryty w wyrobiskach kopalni pod koniec II wojny światowej. Kilkanaście lat temu, pewnego pierwszego kwietnia, przewodniczka oprowadzająca turystów udawała osobę niewidomą: miała czarne okulary, a w ręku trzymała białą laskę. Oto, co znaczy smak przygody polegającej na wejściu w ciemno…

Na koniec chciałbym solennie zapewnić Czytelników „Odkrywcy", że żaden z opisanych w tekście żartów primaaprilisowych nie został zmyślony. Każdy z nich rzeczywiście ukazał się we wskazanych gazetach lub czasopismach. Tego możecie być pewni.

Wybrane publikacje z dnia 1 kwietnia:

1. „Gazeta Robotnicza" (wyd. A) nr 77 (3026), 1.4.1958, s. 3
2. J. Rolicki, „Czy miasto zginie?", [w:] „Polityka" nr 13 (526), 1.4.1967, s. 1. 5
3. „Bursztynowa Komnata jednak pod Międzyrzeczem!", [w:] „Ziemia Gorzowska" nr 13 (681), 1.4.1993, s. 4
4. D. Brożek, „Podziemna zagadka: co kryją skrzynie odkryte w poniemieckich fortyfikacjach?", [w:] „Gazeta Lubuska" (wyd. DE) nr 78, 1.4.2004, s. 7 E

Tomasz Rzeczycki

Długoletni współpracownik „Odkrywcy". Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju.

REKLAMA

Kilka słów o antykomunistycznych napisach w toaletach służbowych i publicznych w I połowie lat 50. XX wieku (cz. 1)

Wróg się czai w toalecie...

BARTOSZ BIJAK

Napisy na murach o politycznym charakterze czy, mówiąc bardziej współcześnie, polityczne graffiti, swymi korzeniami sięgają, jak wiele zjawisk historycznych, do starożytności. Przykładem niech będą – wspominane w źródłach – antymacedońskie hasła na murach Aten, które pojawiły się po bitwie pod Cheroneą (2 sierpnia 338 r. p.n.e.). Z kolei w starożytnym Rzymie często powstawały napisy krytykujące ówczesnych polityków, a nawet władców.

W przypadku Polski trudno dać jednoznaczną odpowiedź na pytanie o początki tego fenomenu, choć wiadomo, że antyzaborcze treści na murach Warszawy jej mieszkańcy mogli czytać w latach 20. XIX wieku.[1] Następnie towarzyszyły one Polakom podczas kolejnych zrywów narodowo-wyzwoleńczych. Polityczne i zarazem wolnościowe hasła umieszczane w przestrzeni publicznej swój niewątpliwy, gwałtowny rozkwit przeżywały podczas okupacji niemieckiej, stając się jedną z form walki konspiracyjnej, określanej mianem małego sabotażu. W powojennych napisach można upatrywać swoistej kontynuacji tego zjawiska z lat 1939-1945. Niektóre hasła nawet do tego okresu nawiązywały, jak choćby: *„Przeżyliśmy okupację przeżyjemy i kurewską demokrację"*.

Graffiti o zabarwieniu polityczno-społecznym eksplodowało ponownie w latach 80. XX wieku w związku z działalnością opozycji politycznej (NSZZ „Solidarność", KPN, Solidarność Walcząca") oraz ruchu punkowo-anarchistycznego.

W swoim tekście chciałbym jednak zwrócić uwagę na zgoła inną przestrzeń. Dość specyficzną, rzec by można, intymną... Mam na myśli toalety. Przede wszystkim służbowe, w zakładach pracy, ale również te publiczne, np. na dworcach kolejowych. Tu rodzi się od razu pytanie: czy toaletowe napisy różniły się jakoś w wymowie od tych ulicznych. Jednoznacznie, bez poważnych badań porównawczych, odpowiedzieć na nie nie sposób, choć należy przypuszczać, że raczej nie, czasami nawet te najpopularniejsze typu: *„PPR – płatne pachołki Rosji"* (tak odczytywano na murach nazwę Polskiej Partii Robotniczej, utworzonej przez Stalina w 1942 r.) zapewne się powtarzały.

Pewne różnice widzę gdzie indziej. Pisanie w ubikacjach miało – jak sądzę – bardziej spontaniczny charakter niż to uliczne, wszak potrzebne do niego narzędzia (ołówek, kredka, coś ostre-

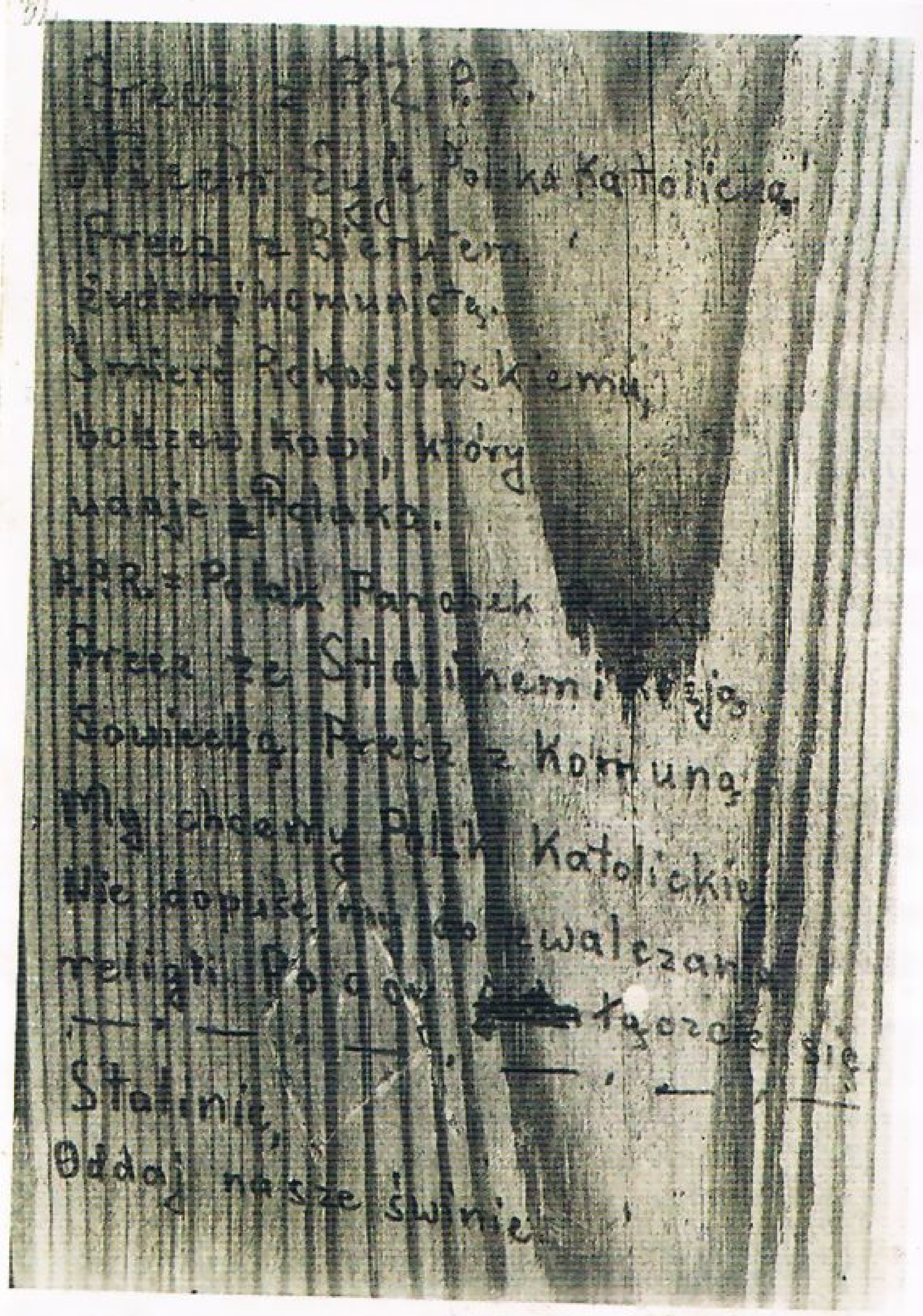

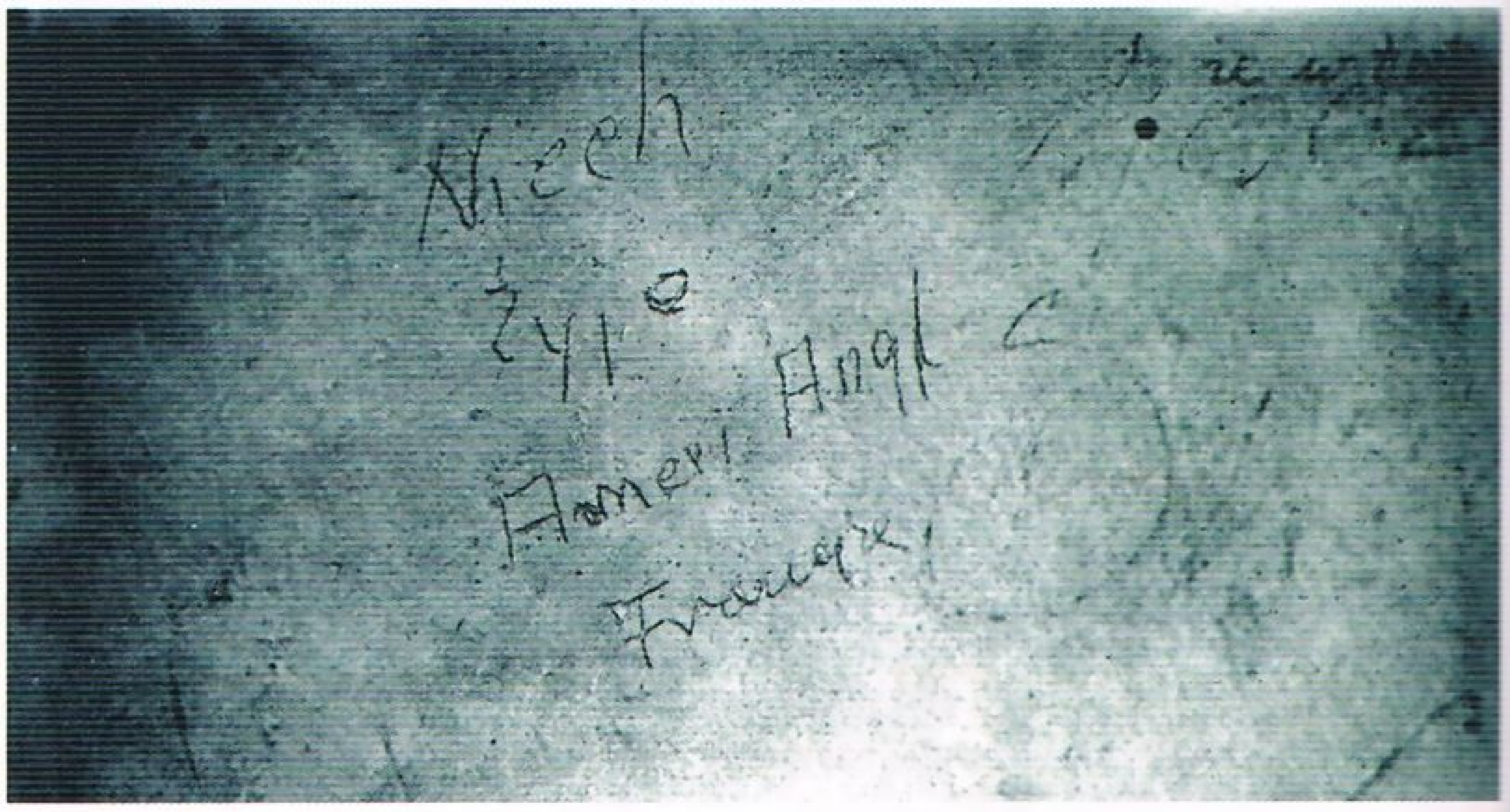

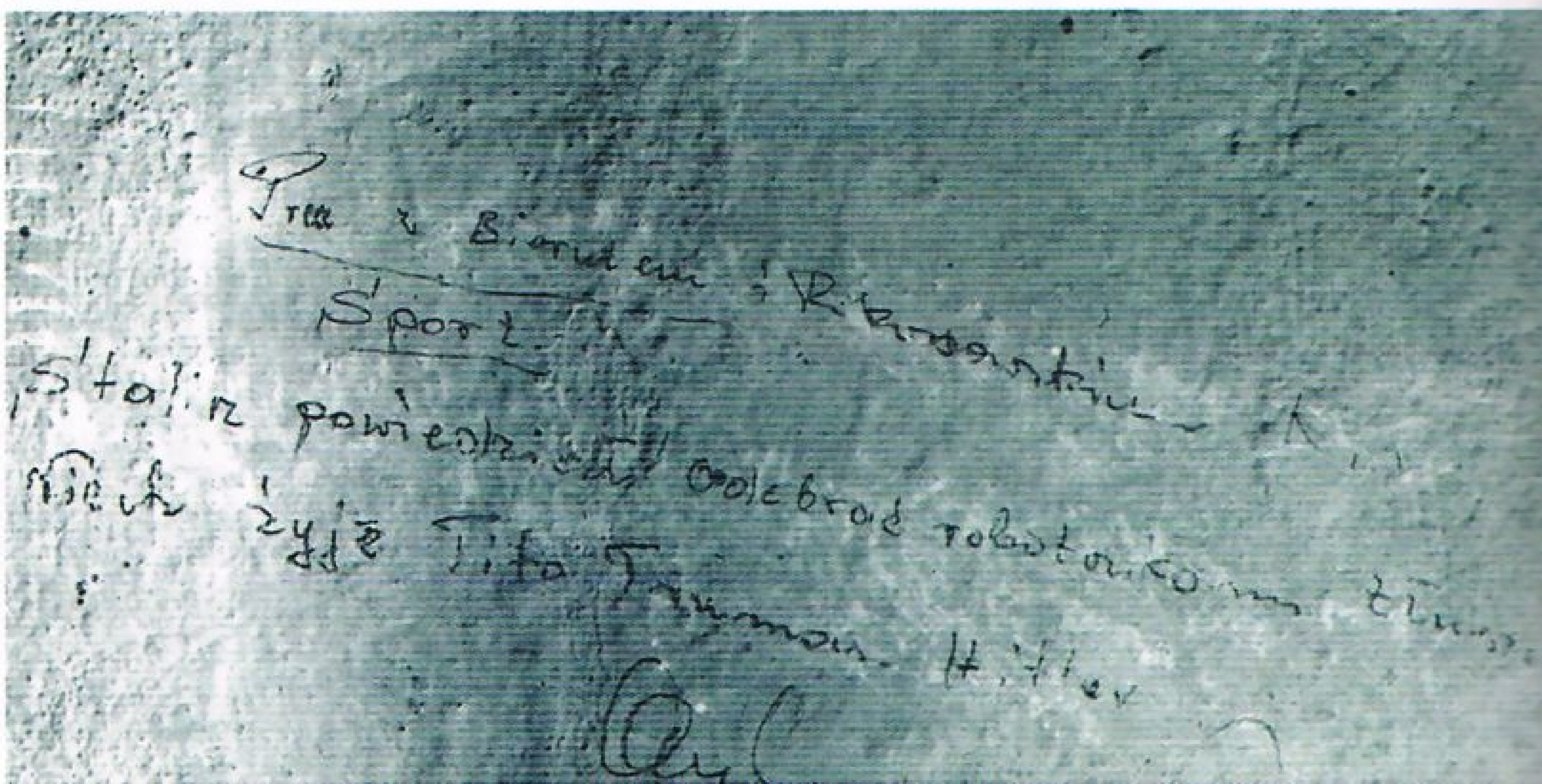

go mogącego posłużyć do drapania w ścianie) wielu pracowników miało zawsze przy sobie, czego nie można powiedzieć o pędzlu i puszce z farbą… Myślę również, że ów rodzaj buntu i oporu społecznego, czy po prostu zwyczajnej frustracji, nie przybierał najczęściej jakieś zorganizowanej formy w postaci działań organizacji konspiracyjnej, w przeciwieństwie do wspominanego już małego sabotażu z okresu okupacji niemieckiej, lecz był działaniem mocno zindywidualizowanym.

Tworzenie haseł w kabinach toaletowych było dużo bardziej bezpieczniejsze niż na ulicy, szybsze, i nie wymagało wtajemniczania dodatkowych osób, np. stojących na czatach. Nie ograniczało także piszących do nocnej pory, pozwalając działać również w dzień, w trakcie pracy. Do tego, wbrew pozorom, liczba jego odbiorców wcale nie musiała być mała, biorąc pod uwagę wielkość zatrudnienia w ówczesnych przedsiębiorstwach. Minusem – z punktu widzenia sprawcy – który ułatwiał pracę UB (rzadziej MO) był fakt, że tak specyficzne miejsce jego działania, jak fabryczna toaleta, zawężało liczbę podejrzanych do zatrudnionych w danym przedsiębiorstwie. W tym przypadku na korzyść „wrogich elementów" mogła znów zadziałać wielkość zatrudnienia. Należy jednak pamiętać o tym, że zakładowe placówki UB (referaty ochrony przemysłu działające w większych przedsiębiorstwach), tajni współpracownicy lokalnych placówek organów bezpieczeństwa, ormowcy i zakładowi aktywiści partyjni w dużym stopniu orientowali się, kto z robotników nie pała odpowiednio gorącą miłością do nowego ustroju. Dodatkowo, prowadzący poszukiwania sprawcy/sprawców zawsze mieli pełny wgląd w akta osobowe zatrudnionych, w których mogli szukać „podejrzanych" elementów w życiorysach, typu członkostwo w AK, NSZ, PSL itp., i w ten sposób zawężać krąg potencjalnych sprawców.

Na koniec tego wstępu jeszcze uwaga do tytułu.

Stwierdzenie o pierwszej poł. lat 50. nie wynika z jakiejś specjalnej periodyzacji zjawiska, ale z tego, że odnalezione przeze mnie w aktach przykłady, pochodzą głównie z tego czasu i nie chciałbym dokonywać zbyt pochopnych uogólnień, np. na cały okres stalinizmu w Polsce, bo być może byłyby one nieuprawnione.

Artykuł został podzielony na dwie części. W pierwszej chciałbym na kilkudziesięciu przykładach odnalezionych w aktach UB i MO pokazać, co pisali w toaletach ci, którym ustrój ówczesnej Polski – eufemistycznie pisząc – nie odpowiadał. W drugiej skupię się na przybliżeniu Czytelnikom działań władz bezpieczeństwa, jakie podejmowały one w celu wykrycia sprawców owej „wrogiej propagandy". Przytoczone przykłady nie wyczerpują rzecz jasna wszystkich wątków, motywów i tematów, jakie pojawiały się na ścianach, niemniej jednak myślę, że dobrze one ilustrują ogólną ich wymowę.

Napisy były wykonywane różnymi sposobami, najczęściej jednak ołówkiem kopiowym lub kredą. Umieszczano je głównie na ścianach i drzwiach, rzadziej, na innych elementach toalety. Ich długość była bardzo zróżnicowana. Najkrótszy, jaki udało mi się odnaleźć w aktach, to zaledwie trzy litery, skrót nazwy jednego z państw. Niby nic wielkiego, lecz wziąwszy pod uwagę czas i miejsce wykonania (w znaczeniu kraj komunistyczny), to napis *„USA"* nabiera charakteru wieloznacznej deklaracji politycznej. Z kolei najdłuższy tekst jaki czytałem, to kilkanaście wersów, właściwie samodzielnych sloganów. Przeciętnie były to jednakże kilkuwyrazowe hasła, których wymowę często podkreślano wykrzyknikami. Czasami tworzono kompilację tekstu i rysunku np. *„Komuniści na* [rysunek szubienicy]*"*.

Niektóre hasła nawiązują bezpośrednio do przeznaczenia toalety i obok polityczno-ironicznej wymowy, jak: *„Sraj Polaku sraj bo masz wolny kraj jeszcze tyle ci zostało, że się wysrać możesz śmiało"* czy *„Na siwe wąsy Lenina, na czarne wąsy Stalina nasrać możecie w klozecie"*, przemycają również zasady kultury i higieny osobistej – *„Sraj na trumnę Lenina, sraj na trumnę Stalina, sraj na wszystko na świecie, tylko nie sraj na deskę w klozecie"*.

Cała grupa napisów odnosi się do konkretnych wydarzeń społecznych, politycznych i gospodarczych. Nawiązania te mogły być mniej lub bardziej oczywiste dla ich ówczesnych odbiorców, zawsze jednak potrzebna jest znajomość kontekstu ich powstania i odpo-

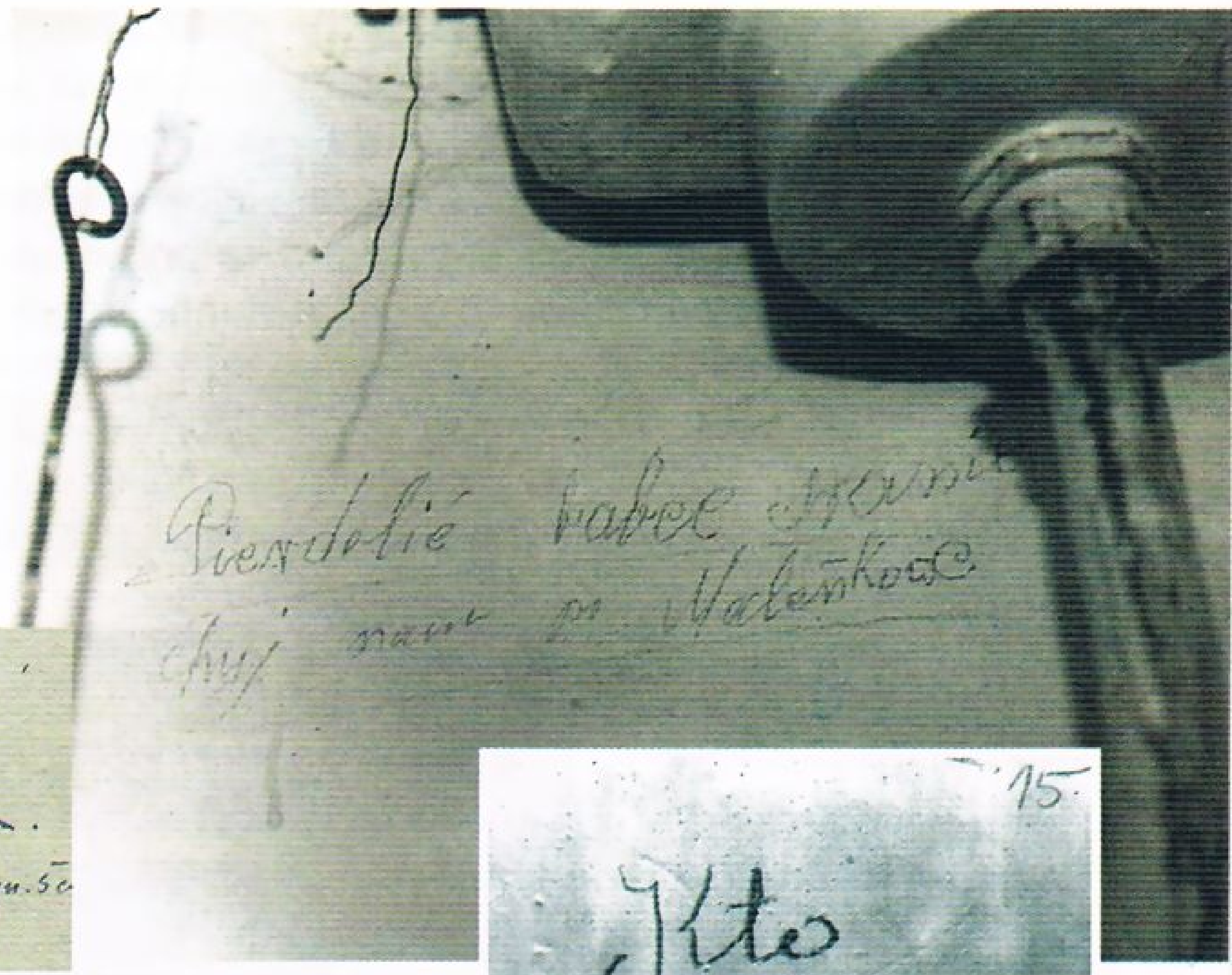

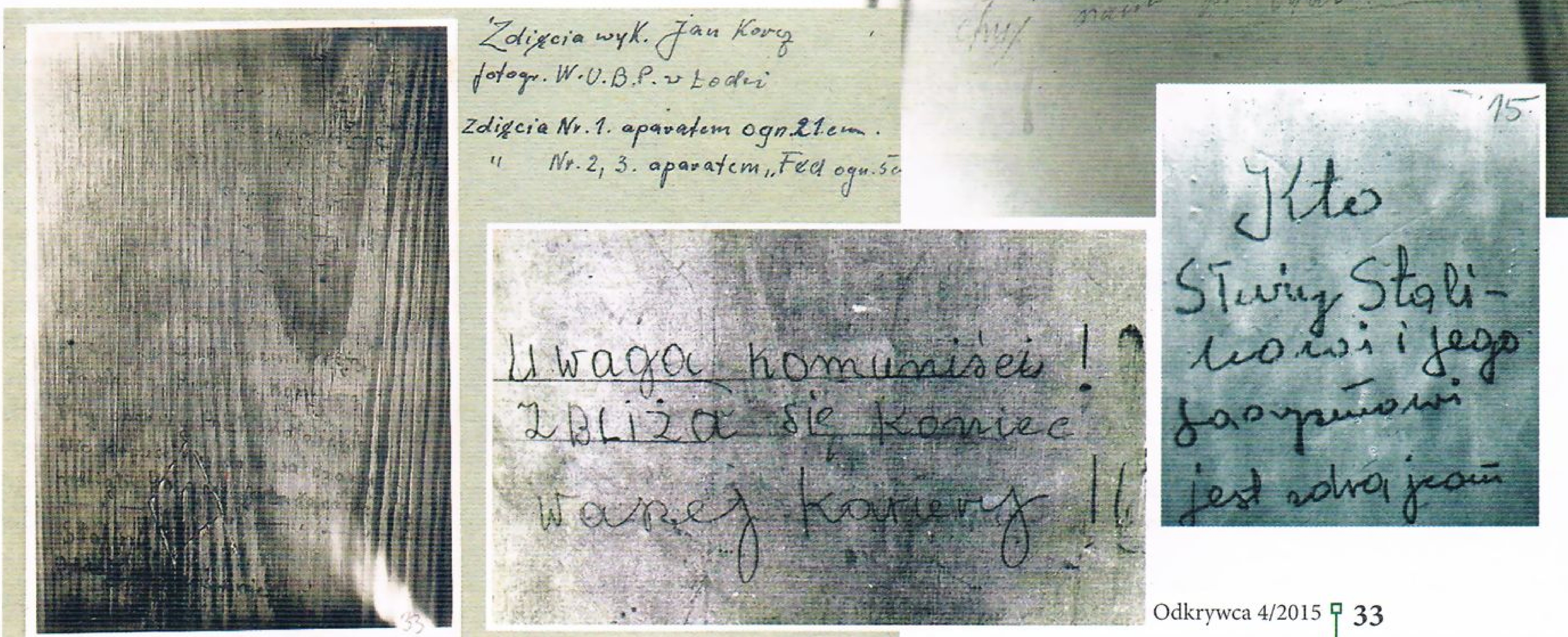

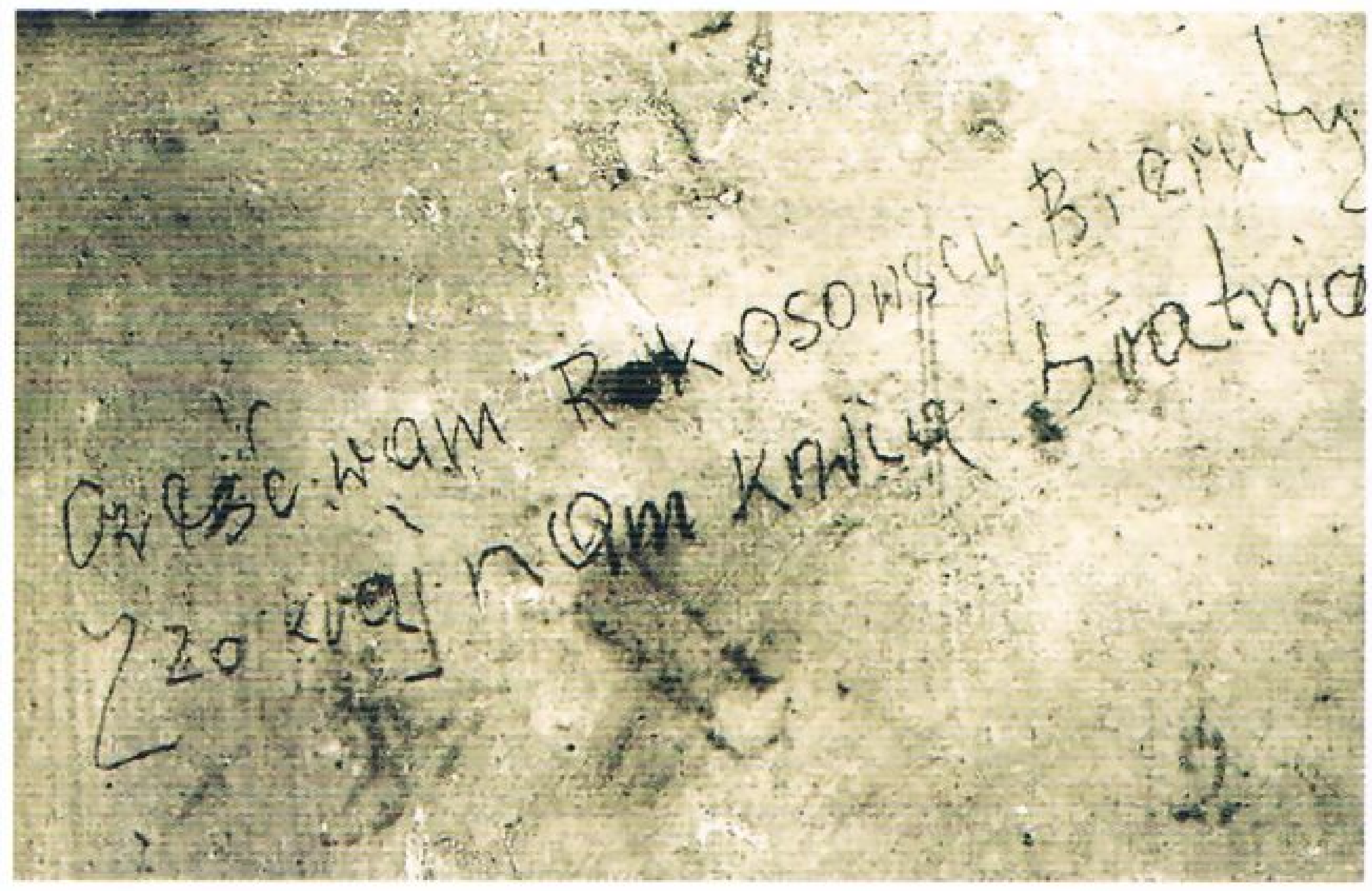

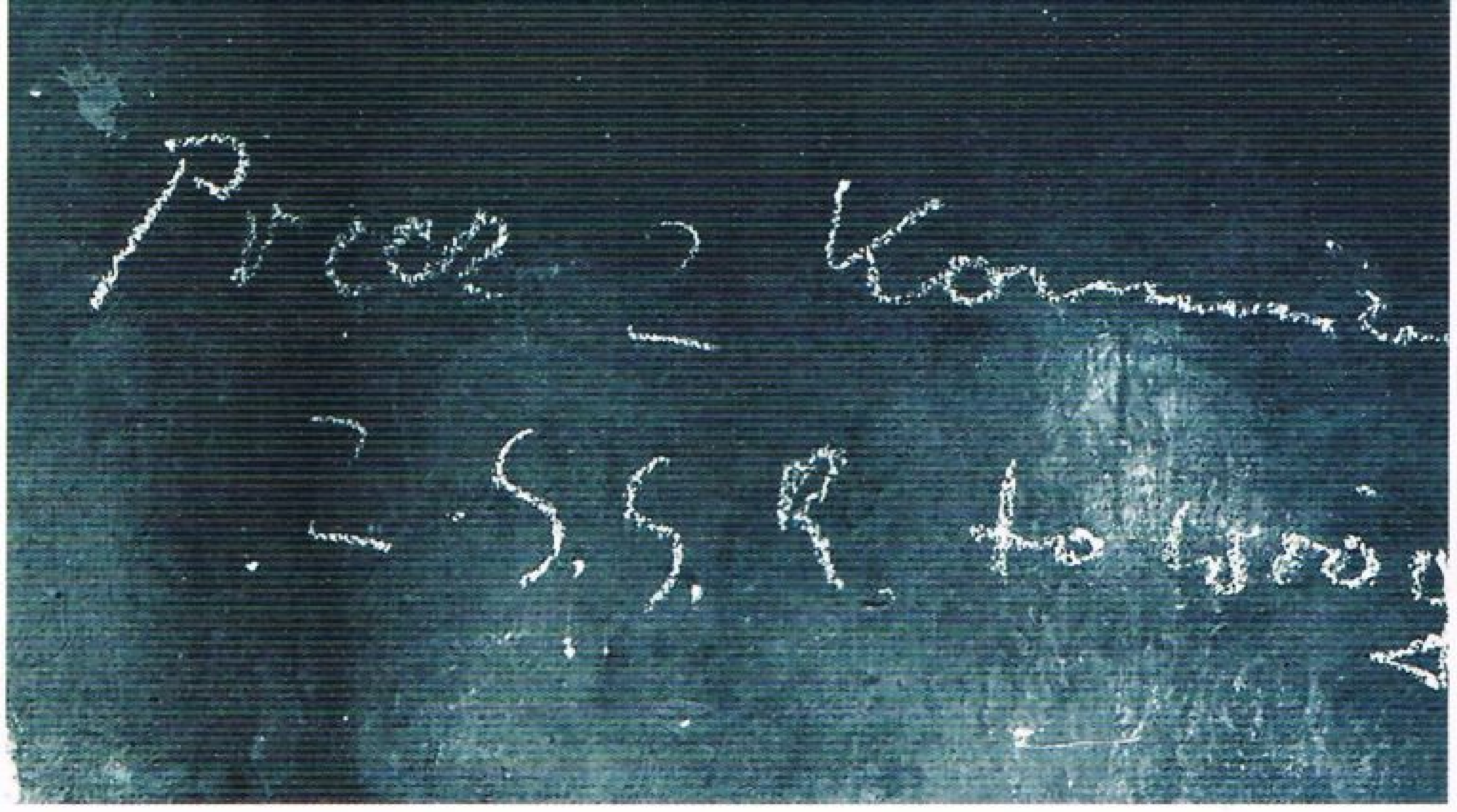

wiednia doza wiedzy – dziś powiemy historycznej – o życiu społeczno-politycznym Polski w tym okresie, do ich rozpoznania. Przyjrzyjmy się kilku przykładom, jak choćby: *„Niech żyje Józef Światło – jego polskość i bohaterskość”*; *„Niech żyje niezwyciężony Światło”*. Mamy tu do czynienia z nawiązaniem do postaci ppłk. Józefa Światły (wcześniej Izaak Fleischfarb, wicedyrektora Departamentu X MBP i jego słynnej ucieczki do Berlina Zachodniego w grudniu 1953 r. oraz audycji w Radiu Wolna Europa, w których demaskował kulisy działania władzy i bezpieki w Polsce. Jak widać autor napisu potraktował czyn Światły jako akt wielkiego patriotyzmu, choć nie jest on tak jednoznaczny, jak by się mogło wydawać.

Kolejny slogan zdaje się być tylko zabawną rymowanką, a faktycznie odnosi się do jednego z najważniejszych procesów społeczno-gospodarczych powojennej Polski, tj. do nacjonalizacji przemysłu, i brzmi: *„Nie myśl stary, że srasz smalcem, nie podcieraj dupy palcem, jak się Stalin o tym dowie, to ci dupę upaństwowi”*. Inny przykład z dziedziny gospodarki Polski Ludowej: *„Bumelant sra na 6 letni plan”*. W tym przypadku złośliwość sloganu nie wynika wcale z określenia „sra” lecz z użycia słowa „bumelant” – z lubością wykorzystywanego przez komunistyczną propagandę, co nadaje całości duży ładunek kpiny z socjalistycznej gospodarki.

Sytuację gospodarczą, i co za tym idzie ludzkie problemy, opisują np. takie hasła: *„Chcemy wolności, chleba i lepszych zarobków, by starczało na utrzymanie rodzin i ubranie”* czy *„Precz z wyzyskiem komunistycznym”*.

Trzęsienie ziemi w związku z wprowadzeniem w miejsce gospodarki wolnorynkowej modelu planowego, przeżył nie tylko znacjonalizowany przemysł, ale także rolnictwo. W 1949 r. rozpoczął się proces jego kolektywizacji, a od 1951 r. władze wprowadzały tzw. dostawy obowiązkowe[2] kolejnych grup produktów rolnych (zboże, ziemniaki, mięso itd.). Niechęć i oburzenie rolników wyrażało proste hasło: *„Stalinie oddaj nasze świnie”*. Jego autor jednocześnie trafnie ukazał zależność polskich władz od ZSRR i dlatego bezpośrednio zwrócił się do Stalina, zamiast do jego krajowych namiestników.

Przy okazji warto wspomnieć o możliwości interpretacji w kontekście tego, co dziś nazywamy legendami miejskimi. Otóż przez cały okres Polski Ludowej, z mniejszą lub większą siłą, krążyły po kraju opowieści o setkach wagonów kolejowych, którymi do ZSRR wywożone są polskie surowce mineralne, żywność i inne dobra. Być może takie było podłoże cytowanego sloganu. Niezmiernie istotnym i rzutującym na życie społeczne Polaków procesem, była walka o „rząd dusz” z Kościołem rzymskokatolickim, jaką nowe władze rozpoczęły kilka lat po zakończeniu wojny. By krótko i hasłowo przypomnieć to skomplikowane zagadnienie, należy choćby wymienić: zerwanie konkordatu, propagandowe procesy księży oskarżanych np. o szpiegostwo, usunięcie lekcji religii ze szkół, likwidację szkolnictwa kościelnego, likwidację Caritas, tworzenie „opozycji kościelnej” (np. tzw. ruch księży patriotów), zamknięcie wydziałów teologicznych na wyższych uczelniach czy wreszcie internowanie prymasa Stefana Wyszyńskiego. Pierwsza połowa lat 50. to okres najsilniejszej ofensywy komunistów, więc trudno się dziwić, że głosy sprzeciwu trafiały m.in. na ściany zakładowych toalet. W „prostych żołnierskich słowach” pisał nieznany autor: *„Nich żyje Polska Katolicka, My chcemy Polski Katolickiej. Nie dopuścimy do zwalczania religii”*. Osoby wyrażające swoje niezadowolenie i sprzeciw wobec zaistniałej w Polsce sytuacji polityczno-społecznej, nie miały złudzeń, co do nowego ustroju. Propagandowe zakłamanie, brak wolności słowa, brak swobód obywatelskich i inne nieodłączne cechy totalitarnego państwa, pobrzmiewają w analizowanych tekstach. Oto kilka przykładów: *„Precz z kłamstwem komunistycznym”*, *„Przecz z niewolą”*, *„Sraj Polaku sraj bo masz wolny kraj, jeszcze tyle ci zostało, że się wysrać możesz śmiało”*.

Uzależnienie polskich władz od ZSRR również nie uchodziło uwadze piszących, co pokazują wspomniane już napisy: *„Stalinie oddaj nasze świnie”*, *„(…) jak się Stalin o tym dowie to ci dupę upaństwowi”* czy *„PPR – Polak Parobek Ruski”*[3], *„Dosyć mamy przyjaźni polsko-sowieckiej”* lub *„Śmierć Rokossowskiemu, bolszewikowi, który udaje Polaka”*. Ten ostatni przykład ukazuje jeszcze inne zjawisko, a mianowicie doradców

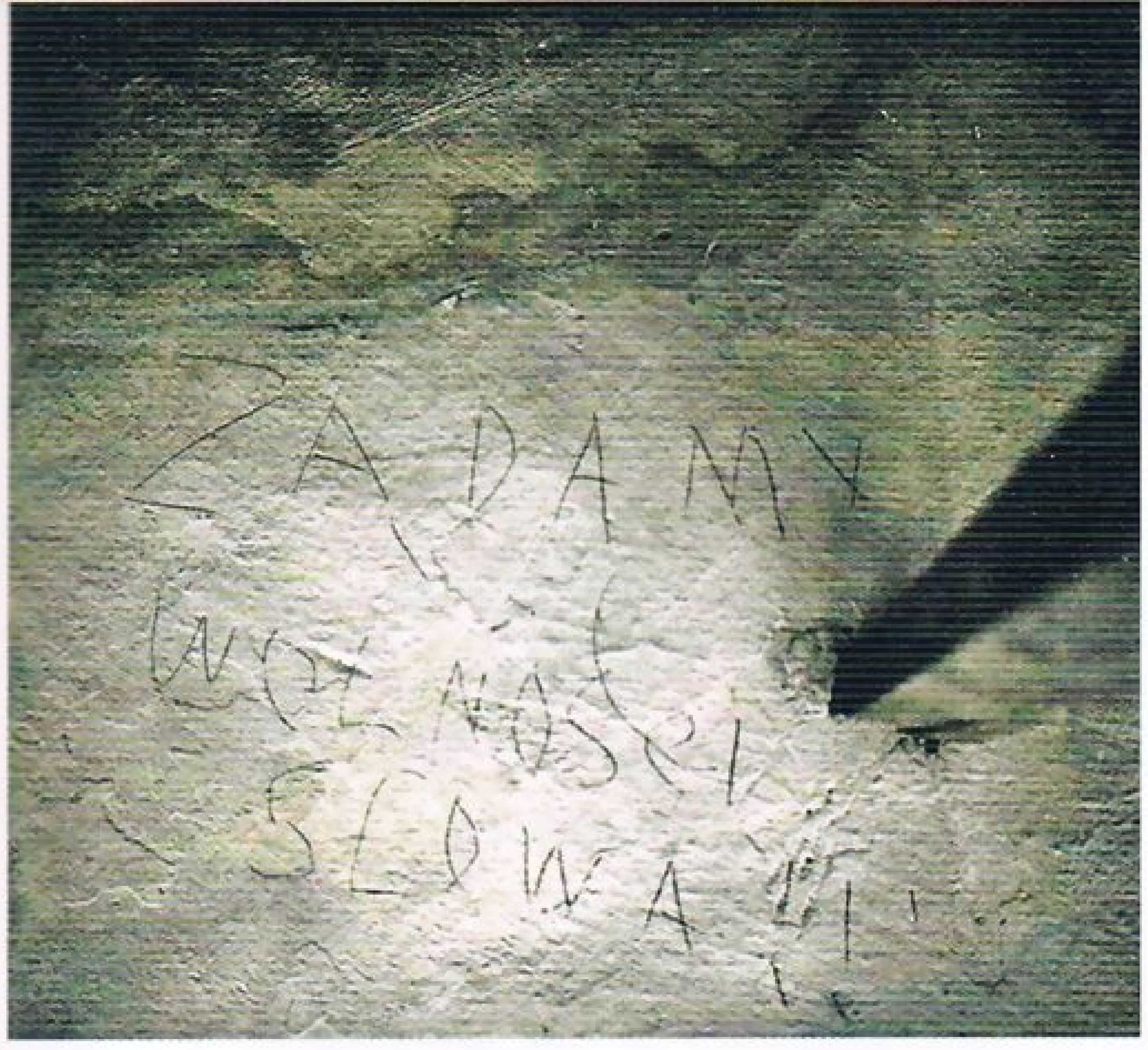

radzieckich ulokowanych w aparacie bezpieczeństwa i wojsku, mniej lub bardziej oficjalnie, na kierowniczych stanowiskach. Dla wielu z nich, w oficjalnej propagandzie, władze fabrykowały polskie pochodzenie, stąd doczekali się oni pogardliwego określenia – POP czyli pełniący obowiązki Polaka.

Hasła, slogany, napisy na ścianach toalet powstawały nie tylko w odniesieniu do spraw i procesów długofalowych. Zdarzenia nagłe, niewyjaśnione i generujące masę plotek oraz domysłów, również tam trafiały. Dobrym przykładem może być tajemnicza i nieoczekiwana śmierć Bolesława Bieruta w Moskwie, gdzie pojechał na słynny XX Zjazd KPZR: *„Bierut nie żyje, został otruty przez komunistów – Chruszczowa”.*

Zdecydowana większość odnalezionych przeze mnie w aktach haseł ma charakter negatywny, a ich autorzy jasno definiują wroga Polski, upatrując go w ZSRR/Rosji, komunizmie czy Józefie Stalinie. Ich przesłanie było proste i jednoznaczne: *„Precz z komunizmem”, „Precz z komuną”, „Precz z Sowietami”, „Precz z ZSRR”, „Precz z kacapami”, „Śmierć komunistom”, „Precz ze Stalinem i Rosją Sowiecką”, „Precz z Bierutem żydokomunistom”, „ZSSR to wróg”.* Wskazywanie wroga przybierało czasem formy bardziej wyszukane, jak w haśle: *„Niech żyje Front Antyludowy”*, które nawiązywało do tzw. frontów ludowych z lat 1935-1938, czyli sterowanych przez ZSRR koalicji partii lewicowych i komunistycznych w kilku krajach Europy. Ustrój komunistyczny zestawiany bywał często z faszyzmem: *„Kto służy Stalinowi i jego faszyzmowi, jest zdrajcą narodu”.*[4]

Z rzadziej spotykanych sloganów o charakterze pozytywnym, przebijała nadzieja na przetrwanie nowej władzy, chwilowość przyniesionego na sowieckich bagnetach ustroju, jego koniec i nastanie prawdziwej wolności. Takie uczucia wyrażały chociażby napisy przytaczane już wyżej, lub *„Uwaga komuniści, zbliża się koniec waszej kariery”, „Aktywisto czeka cię marny los – twoja praca idzie na marne”, „Za rok będzie Polska nowa”.*

Manifestowano także sympatię do wolnego świata: *„Niech żyje Ameryka, Anglia, Francja”.*

Ten krótki tekst w żaden sposób nie wyczerpuje nawet nie tyle tematu, co wątków i motywów pojawiających się wśród toaletowych napisów. Jednak nawet ta garstka odnalezionych przykładów dobrze – jak myślę – ilustruje istotę tego zjawiska. Mój artykuł to ledwie sygnalizacja pewnego problemu badawczego, którym starałem się zainteresować Czytelników „Odkrywcy”. Jednakże oprócz pewnej dawki wiedzy historycznej, którą chciałem Wam przekazać, przyświecała mi jeszcze jedna idea. Pamiętajcie zawsze o kontekście historyczno-społecznym i realiach ówczesnej Polski, bo to, co może nam się wydawać zabawną rymowanką czy głupawym wierszykiem, może być wyrazem ludzkiej tragedii, bezsilności wobec zbrodniczego systemu lub krzykiem rozpaczy bezradnego człowieka.

Przypisy:

[1] Wikipedia – hasło „Graffiti" (http://pl.wikipedia.org/wiki/Graffiti ; dostęp 19.09.2014 r.)

[2] Obowiązek sprzedaży państwu płodów rolnych, za które płacono dużo poniżej kosztów produkcji.

[3] Chyba najbardziej popularną opozycyjną wersją rozwinięcia tego skrótu było „PPR – płatne pachołki Rosji".

[4] Dziś, w czasach politycznej poprawności, takie porównania obu totalitaryzmów budzą w niektórych środowiskach oburzenie. Jestem innego zdania.

Źródła:

Materiały archiwalne: IPN Ld 424/2, IPN Ki 015/271, 015/128, 015/129, 015/195, 015/224, 015/245, 015/251

Bartosz Bijak

Z wykształcenia etnolog i historyk, na co dzień archiwista w łódzkim oddziale IPN, a przede wszystkim ojciec. Miłośnik archeologii krajobrazu i pieszych wędrówek z dala od uczęszczanych szlaków. Optymista (stara się zawsze widzieć szklankę do połowy pełną).

„Ściśle-tajne".

Źródło inf. „Zielony", dnia: 4 XI 1953r.

Fragment doniesienia (pisownia oryginalna).

„Nadmienia się co do danego mi zadania poruszyłem tematy co do wpisów w ubikacji to pracownicy twierdzą, że nie wiedzą kto mógł pisać w tem ja nażucałem i myśl, że to z tych chłopców którzy przychodzą na praktykę to każdy mówi o panie to nie chłopcy tylko to pisał ktoś starszy bo jeszcze chłopców nie było a dawno te napisy były. Natomiast codo tego chłopca co tam był napisany na tych drzwiach to Ob. (…) który się ni opiekuje i szkoli sprawdzał w czterech listach i takiego nazwiska nie było tak, że to nazwisko było napisane lipne".

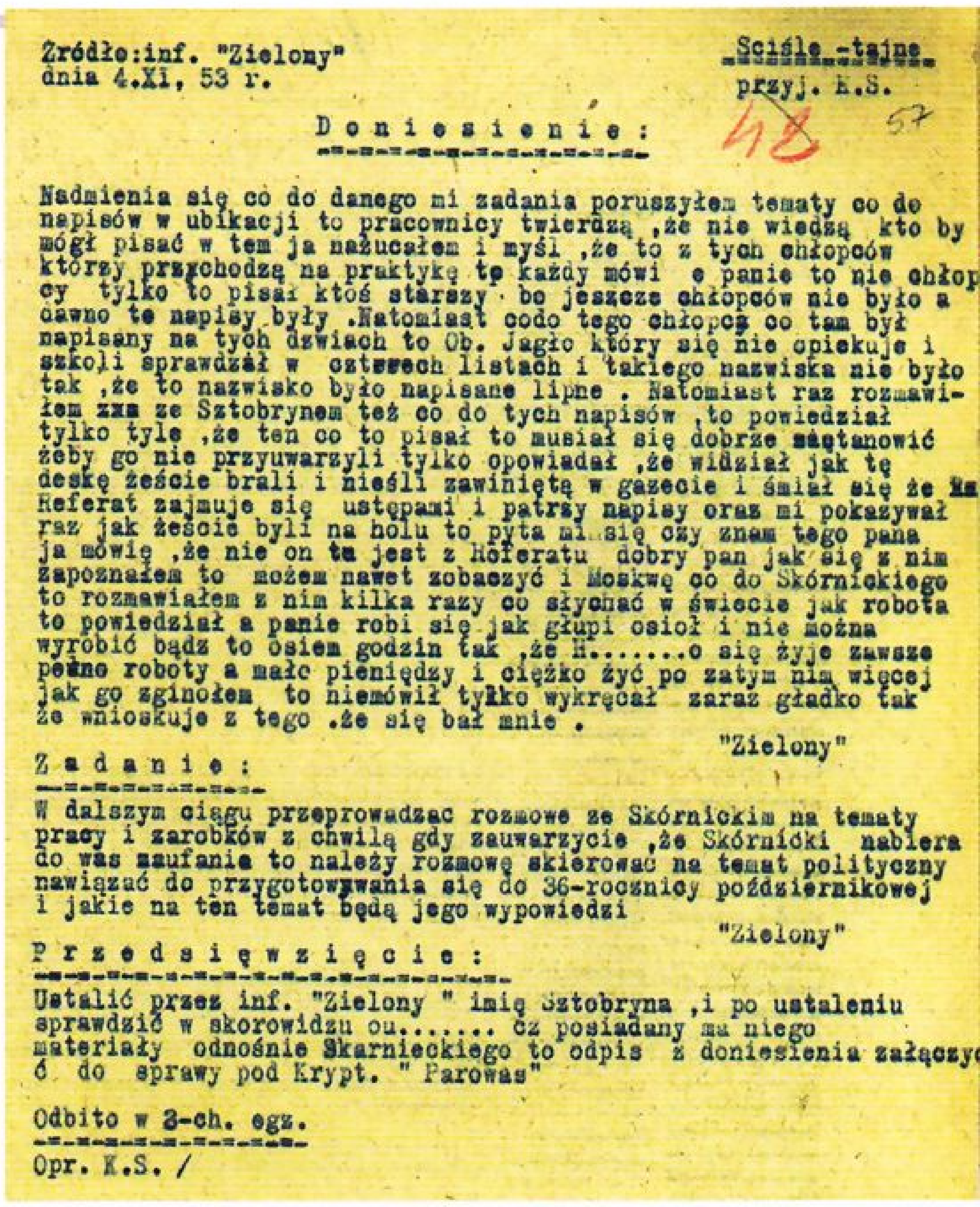

Źródło:inf. "Zielony"
dnia 4.XI, 53 r.

Ściśle -tajne
przyj. K.S.

48 57

D o n i e s i e n i e :

Nadmienia się co do danego mi zadania poruszyłem tematy co do napisów w ubikacji to pracownicy twierdzą ,że nie wiedzą kto by mógł pisać w tem ja nażucałem i myśl ,że to z tych chłopców którzy przychodzą na praktykę to każdy mówi o panie to nie chłopcy tylko to pisał ktoś starszy bo jeszcze chłopców nie było a dawno te napisy były .Natomiast codo tego chłopca co tam był napisany na tych dżwiach to Ob. Jagło który się nie opiekuje i szkoli sprawdzał w cztewech listach i takiego nazwiska nie było tak ,że to nazwisko było napisane lipne . Natomiast raz rozmawiłem zxx ze Sztobrynem też co do tych napisów ,to powiedział tylko tyle ,że ten co to pisał to musiał się dobrze sągtanowić żeby go nie przyuwarzyli tylko opowiadał ,że widział jak tę deskę żeście brali i nieśli zawiniętą w gazecie i śmiał się że Referat zajmuje się ustępami i patrzy napisy oraz mi pokazywał raz jak żeście byli na holu to pyta mi się czy znam tego pana ja mówię ,że nie on ta jest z Referatu dobry pan jak się z nim zapoznałem to możem nawet zobaczyć i Moskwę co do Skórnickiego to rozmawiałem z nim kilka razy co słychać w świecie jak robota to powiedział a panie robi się jak głupi osioł i nie można wyrobić bądz to osiem godzin tak ,że H.......o się żyje zawsze pełno roboty a mało pieniędzy i ciężko żyć po zatym nim więcej jak go zginołem to niemówił tylko wykręcał zaraz gładko tak że wnioskuje z tego .że się bał mnie .

"Zielony"

Z a d a n i e :

W dalszym ciągu przeprowadzac rozmowe ze Skórnickim na tematy pracy i zarobków z chwilą gdy zauwarzycie ,że Skórnicki nabiera do was zaufania to należy rozmowę skierować na temat polityczny nawiązać do przygotowywania się do 36-rocznicy poździernikowej i jakie na ten temat będą jego wypowiedzi

"Zielony"

P r z e d s i ę w z i ę c i e :

Ustalić przez inf. "Zielony " imię Sztobryna ,i po ustaleniu sprawdzić w skorowidzu ou....... cz posiadany na niego materiały odnośnie Skarnieckiego to odpis z doniesienia załączyć do sprawy pod Krypt. " Parowas"

Odbito w 2-ch. egz.

Opr. K.S. /

Grażyna Nowak (z d. Szendzielarz) przy pomniku „Łupaszki". Fot Józef Wieczorek.

1 marca, Park H. Jordana w Krakowie. Fot. G. Nowak.

„Wyklęte" nazwisko

JANUSZ SKOWROŃSKI

1. marca wśród miast, w których obchodzono Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych znalazł się Kraków. Główne uroczystości odbyły się w Parku Jordana, gdzie w Galerii Wielkich Polaków XX wieku odsłonięto dwa kolejne popiersia zasłużonych Polaków – Łukasza Cieplińskiego „Pługa", prezesa IV Komendy Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość i Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki", legendarnego dowódcę 5. Wileńskiej Brygady AK. O odsłonięcie pomnika majora poproszono jego krewną, panią Grażynę Nowak, z domu Szendzielarz.

Kiedy poszła do szkoły średniej zmieniono jej końcówkę nazwiska. Odtąd stała się Grażyną Szendzielasz, z „sz" na końcu. Dlaczego w całej rodzinie tylko ja nazywam się inaczej? – zastanawiała się. Rodzice odpowiedzieli jej na to pytanie kilka lat później, kiedy została wylegitymowana na krakowskiej ulicy, niedaleko domu, podczas zamieszek studenckich 68 roku. Milicjant wziął jej legitymację, przeczytał nazwisko i długo z nią nie wracał. Coś mu się nie zgadzało. Kiedy oddał, dostała profilaktycznie parę razy pałą po plecach. Ale nie zatrzymano. Z płaczem wróciła do domu. Wtedy postawiła się twardo, po raz pierwszy w życiu. – *Tato, o co tu chodzi? Dlaczego biją mnie za nazwisko? I dlaczego mam inne niż wy?* – pytania 17-latce cisnęły się same. Po pierwszej rozmowie z rodzicami zrozumiała, że to „sz" na końcu nazwiska prawdopodobnie uchroniło ją od czegoś gorszego. Wystarczyło, że jej ojciec, Karol, pomimo dwóch fakultetów, bo inżynier leśnik i inżynier budownictwa, nie mógł znaleźć pracy. Trudnił się chałupniczym wyrobem ozdób choinkowych, koralików a nawet pinezek.

Braci było pięciu. Marian, Franciszek, Józef, Jan i najmłodszy Zygmunt, późniejszy „Łupaszko". Jan był dziadkiem Grażyny. Babcia Janina miała siostrę, która mieszkała w Krakowie, na Jagiellońskiej. I duże mieszkanie. Tu po wojnie ściągnęła ze Lwowa Jana i Jadwigę. Później zamieszkali w nim jej rodzice, Karol i Wanda. Grażyna urodziła się i wychowała w Krakowie. Nawet kiedy wychodziła za mąż, chciała zachować pierwszy człon nazwiska. Rodzice ostatecznie przekonali ją, że nowe, „tylko Nowak", jest znacznie bezpieczniejsze. Na początku lat 90. pani Grażyna opuściła Kraków i przeniosła się na Dolny Śląsk.

Od wiosny 1947 r. „Łupaszko" ukrywał się. Mieszkał m.in. w Zakopanem. Do Grażyny docierały później zaledwie szczątkowe opowieści rodzinne. Im mniej wiedziała, tym lepiej. Spotkań Jana i Zygmunta było kilka lub kilkanaście. Kiedy raz pojawił się w Krakowie, odwiedził brata Jana, wcześniej zapowiadając swój przyjazd. Już wtedy musiał być śledzony. W Krakowie został aresztowany na Szewskiej, co potwierdził mamie pani Grażyny jeden z sąsiadów w kamienicy na Jagiellońskiej. W rodzinie Szendzielarzów krąży inny przekaz, że aresztowany „Łupaszko" uciekł wcześniej z konwoju, kiedy poprosił o zatrzymanie samochodu, by załatwić potrzebę fizjologiczną. Bliższych szczegółów tego wydarzenia pani Grażyna nie zna. Ostatecznie major „Łupaszko" został aresztowany 30 czerwca 1948 r. w Osielcu na Podhalu przez funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Po długotrwałym śledztwie 30 listopada 1950 r. został skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na 18-krotną karę śmierci. Nikt nigdy w Polsce nie otrzymał aż tylu kar śmierci podczas jednego procesu. Prezydent Bierut nie skorzystał z prawa łaski. „Łupaszkę" zamordowano 8 lutego 1951 r. w więzieniu przy ul. Ra-

kowieckiej w Warszawie. Ekshumowane szczątki potwierdziły, że zginął „metodą katyńską", strzałem w tył głowy.[1]

– *Barbara Szyndzielarzówna, córka Zygmunta, przyjeżdżając do Krakowa, zaglądała do nas. Była kuzynką mojego ojca, i taka wiedza musiała mi wystarczyć* – mówi pani Nowak. – *Basia nie odwiedzała nas często, ale zawsze wtedy, gdy było gorąco. Kilka razy byliśmy nawet na wspólnych wakacjach. A naszym domu UB często urządzało „kocioł".*

O tym, że ciotka Basia jest córką wyklętego „Łupaszki", Grażynie nie mówiono. Po śmierci Barbary w 2012 r., pani Grażyna napisała do IPN-u. Wiedziała, że na „Łączce" trwają prace ekshumacyjne i szukają „wyklętych". Później przesłała swój materiał genetyczny do badań porównawczych. Niebawem nadeszła informacja zwrotna, że jest spokrewniona z Zygmuntem. Pani Grażyna podejrzewa, że to, co wysłała, musiało posłużyć jako ostateczne potwierdzenie, że na „Łączce" trafiono na majora. Wiadomo, że tuż po śmierci Barbary pobrano od niej materiał genetyczny.

22 sierpnia 2013 r. wśród kolejnych zidentyfikowanych dziewięciu ofiar terroru komunistycznego znalazł się major Zygmunt Szendzielarz. – *Szkoda, że Basia tego nie doczekała* – podkreśla na każdym kroku pani Grażyna. *„Szczątki Zygmunta Szendzielarza odnaleziono wiosną 2013 r. w pobliżu kwatery »Ł« Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie"* – brzmiał lakoniczny komunikat IPN-u. Tak naprawdę, majora odnaleziono pod asfaltową aleją cmentarną między kwaterami „Łączki".

Dr Krzysztof Szwagrzyk, pełnomocnik IPN-u ds. poszukiwań ofiar terroru komunistycznego, posiada zdjęcia wykonane rok wcześniej z uroczystości na „Łączce" z udziałem władz i kamer. Wówczas nikt nie wiedział, że w ziemi poniżej leżą szczątki majora Szendzielarza. Barbara, jeszcze za życia, wykupiła na Powązkach stosowne miejsce. Jest tam symboliczny grób majora Szendzielarza. Po śmierci spoczęła w nim córka „Łupaszki". On sam nie jest do tej pory pochowany, pomimo że od odnalezienia i zidentyfikowania szczątków, upłynęło już trochę czasu. Ostatnie zawirowania wokół projektu panteonu-mauzoleum ofiar zbrodni komunistycznych, który ma powstać na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, nie napawają optymizmem. Projektowi zarzucono plagiat nekropolii w Sztokholmie, stworzonej przez duńską pracownię BIG. Takich rodzin, czekających na ostateczny pochówek zidentyfikowanych ofiar zbrodni komunistycznych, jest więcej. – *Jak długo jeszcze mamy czekać?* – tego krewna majora nie wie, bo rodzin nikt nie informuje.

Władze Towarzystwa im. H. Jordana już planują ustawienie kolejnych postaci w krakowskim parku. Na przyszły rok zaplanowano odsłonięcie popiersi Hieronima Dekutowskiego „Zapory" i Józefa Franczaka „Lalka", ostatniego z „wyklętych". W parku są już ustawione m. in. trzy popiersia innych żołnierzy niezłomnych: gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila", ks. Władysława Gurgacza i Danuty Siedzikówny „Inki".

– *Żołnierze niezłomni, wyklęci przez komunistów, budzą się teraz w naszej pamięci. Budzą się m. in. za przyczyną patriotycznie nastawionej młodzieży. To cieszy, bo najwyższy czas, by czcić bohaterów, tak jak na to zasługują* – powiedział podczas uroczystości prof. Kazimierz Cholewa, prezes Towarzystwa im. Henryka Jordana.

Przypis:
[1] Por. wywiad J. Skowrońskiego z dr. Krzysztofem Szwagrzykiem: „Łączka – przywracanie tożsamości", „Odkrywca" nr 10/2013.

Janusz Skowroński
Wieloletni współpracownik „Odkrywcy", autor książek o tajemnicach II wojny światowej na Dolnym Śląsku i polsko-niemieckich relacjach w następstwie wojny.
Kontakt: loginfo@go2.pl

REKLAMA

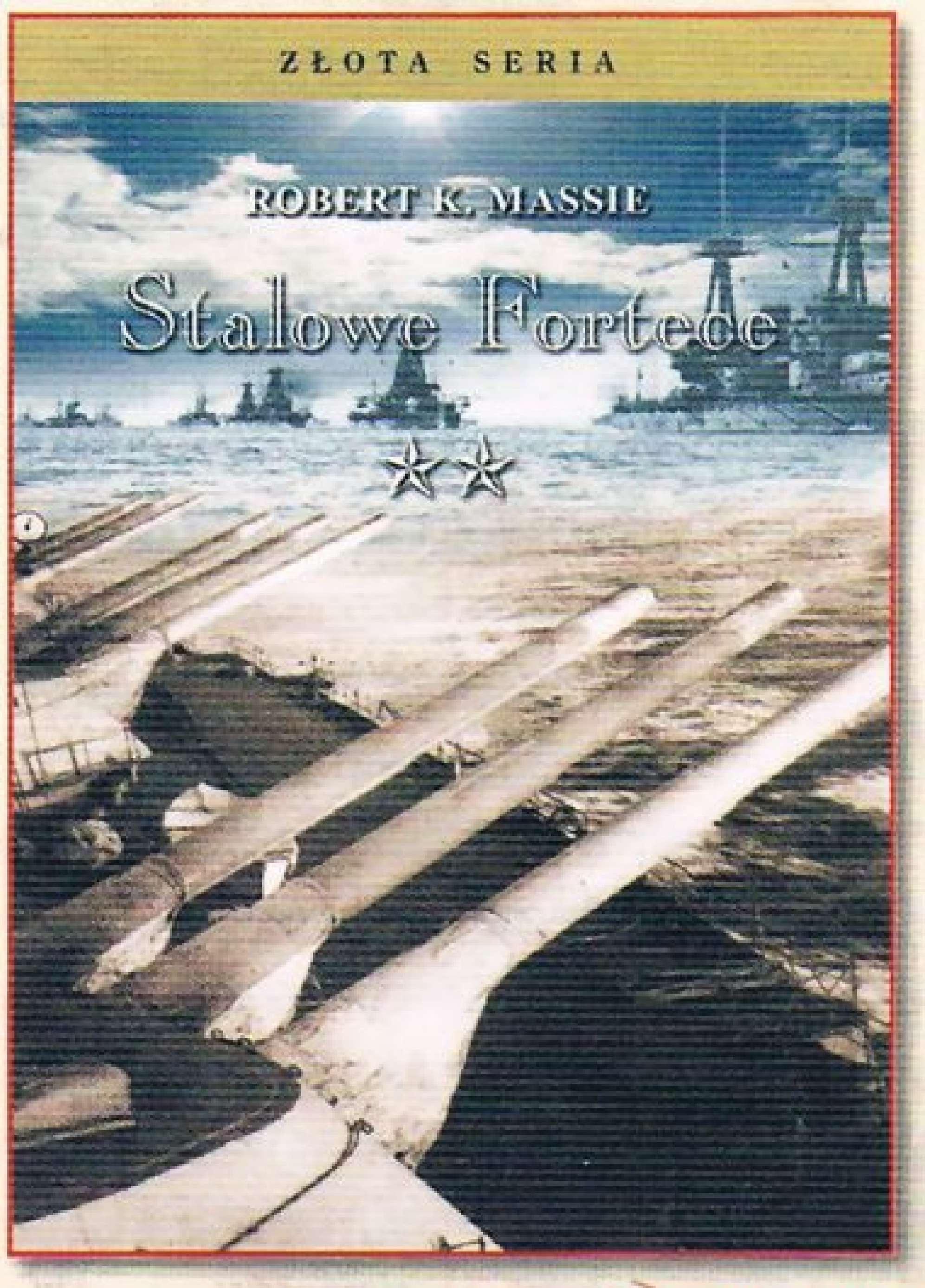

Massie jest mistrzem historycznej opowieści, imponuje niesamowitym literackim rzemiosłem...
Max Boot, *The New York Times Book Review*
Przedstawił każdą postać z artystyczną wizją pisarza... napisana z pasją opowieść o ludziach z epoki pierwszej wojny światowej...
The Waszyngton Post Book World
Żywy opis postaci i wydarzeń... mistrz gawędziarstwa... w tym rodzaju historycznego pisarstwa wątpię, by Massie miał sobie równego.
Paul Kennedy, *Los Angeles Time Book Review*
Wspaniałe, niewyobrażalne osiągnięcie... Książka napisana lekkim, świetnie się czytającym stylem oparta na benedyktyńskiej pracy historyka...
Milwaukee Journal Sentinel

ROBERT K. MASSIE, *STALOWE FORTECE tom 2*

ODKRYWCA MILITARIA TVP HISTORIA II WOJNA ŚWIATOWA OFICYNA WYDAWNICZA FINNA MORZE empik konflikty.pl HISTORIA.ORG.PL

sprzedaż w sieci empik

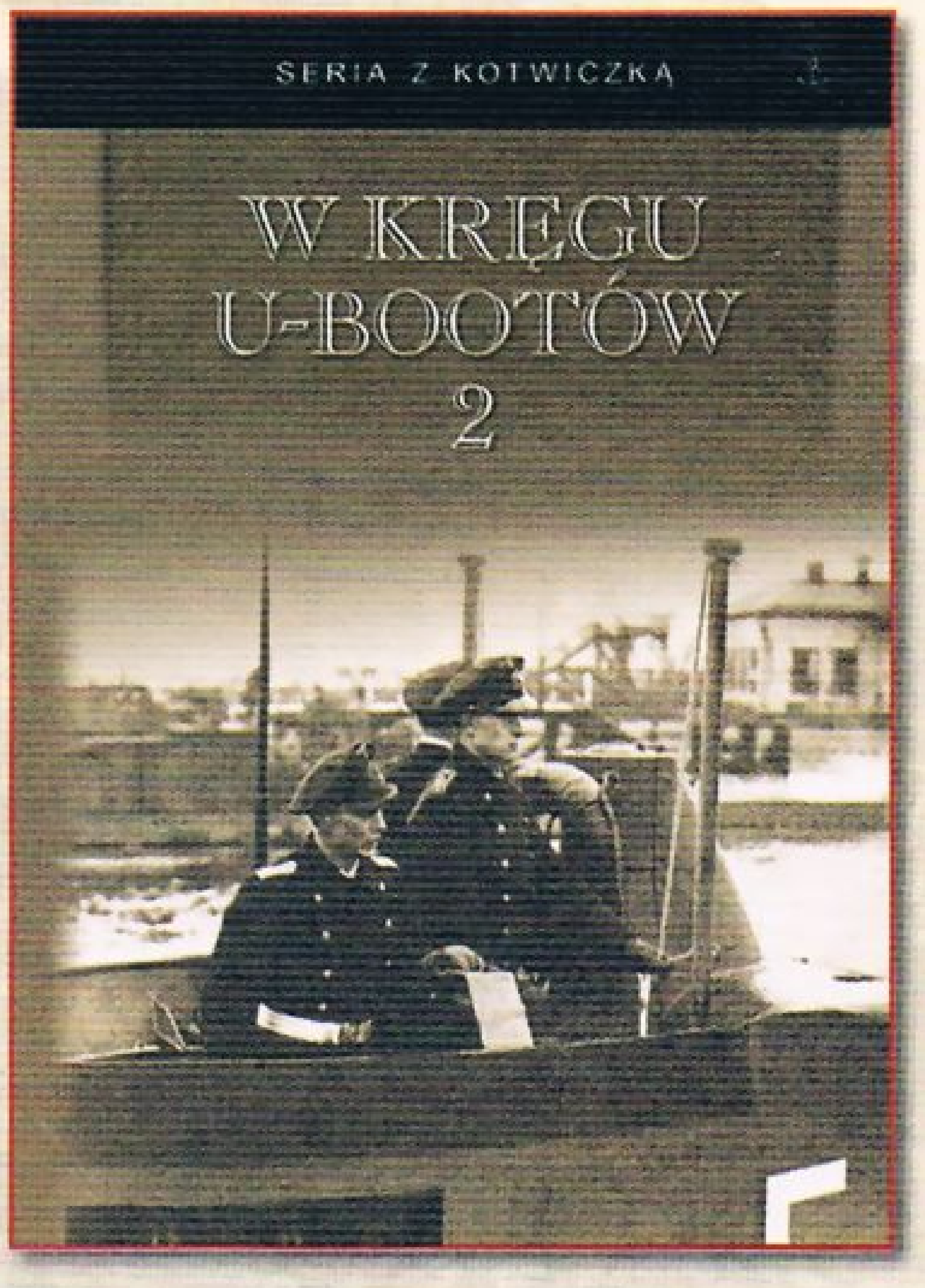

Dlaczego Karl Dönitz udawał psychicznie chorego? Dramatyczne wspomnienia dowódcy U-boota w pierwszej wojnie światowej, późniejszego dowódcy Kriegsmarine i następcy Hitlera.

Wspomnienia wojenne Otto Schulze, dowódcy okrętu podwodnego w pierwszej wojnie światowej, późniejszego admirała w Kriegsmarine, ojca Heinza-Otto Schulze, który zginął na U-boocie w drugiej wojnie światowej.

Trzy gwiazdy U-bootwaffe (Hartmann, Prien i Suhren) na pokładzie jednego U-boota! Barwne wspomnienia wojenne Wernera Hartmanna, dowódcy *U-37* i *U-168*, który podczas drugiej wojny światowej zatopił ponad 100 000 tonażu alianckich statków.

W KRĘGU U-BOOTÓW 2

Począwszy od numeru styczniowego „Odkrywcy" opowiadałem Wam o wyjątkowych miejscach, obiektach i niezwykłych losach ich mieszkańców. O Giszowcu i Nikiszowcu – osiedlach-zabytkach. W bieżącym numerze kończę swoje wędrówki po górnośląskich osiedlach opowieścią o Nikiszowcu. Pisałem tyle, ile udało mi się dowiedzieć.
Są jednak ludzie, którzy darzą te miejsca szczególnym sentymentem i starają się o nich dowiedzieć, jak najwięcej. Zapraszam więc na spotkanie z p. Joanną Tofilską, kustoszem, kierownikiem Działu Historii Muzeum Historii Katowic, autorką m.in. publikacji „Katowice Nikiszowiec. Miejsce, ludzie, historia", osobą, która odnalazła rodzinę Zillmannów...

Giszowiec i Nikiszowiec

– śląskie Małe Ojczyzny

Dariusz Pietrucha: Jest Pani autorką wielu publikacji i wystaw poświęconych historii Giszowca i Nikiszowca. Szczególne miejsce zajmują w nich Emil i Georg Zillmannowie, ulubieni architekci górnośląskich przemysłowców. Twórcy m.in. unikatowych osiedli górniczych Giszowca i Nikiszowca wybudowanych przez koncern Georg von Giesche's Erben. Skąd wziął się ten emocjonalny stosunek do tych tematów?

Joanna Tofilska: Bo w Giszowcu się wychowałam, a na Nikiszowcu mieszkam w tej chwili. Posiadam giszowieckie korzenie od momentu założenia tego osiedla.

Jak zatem zapamiętała Pani Giszowiec z czasów swojego dzieciństwa...

Wychowałam się na Giszowcu. Dzieciństwo zazwyczaj kojarzy się ludziom pozytywnie. Ja też mam dobre wspomnienia. Niestety, wychowałam się na blokowisku, które wyrosły obok starego Giszowca. Myślę, że Giszowiec jest nadal bardzo przyjaznym miejscem do życia. Zachowana stara część tego historycznego osiedla, nadaje temu miejscu specyficzny klimat.

Chciałabym zobaczyć Giszowiec takim, jakim był przed wyburzeniem. Marzę również o tym, aby w szczególności mieszkańcy Giszowca nie niszczyli tego, co pozostało.
Nikiszowiec miał więcej szczęścia i zachował się w całości. Jego zaletą jest to, że w swoim założeniu tworzy zwarte miasto, jednocześnie nie jest to typowe, śląskie osiedle familoków. Można codziennie chodzić ulicami Nikiszowca i się nimi nie znudzić...

Ilu, Pani zdaniem, autochtonicznych mieszkańców Giszowca pozostało tam po wojnie?

Oczywiście pamiętam takie osoby, ale procentowo jest to chyba trudne do określenia. Giszowiec i Nikiszowiec różnią się między sobą. Pierwsze osiedle zostało wyburzone w dwóch trzecich – wybudowano bloki mieszkalne i otworzono nową kopalnię, więc tam przyjezdnych było o wiele więcej. Natomiast Nikiszowiec ocalał w całości.

Niewątpliwie po wojnie również pojawili się tam przyjezdni, jednakże było ich o wiele mniej, niż na Giszowcu. Część mojej rodziny mieszka na Giszowcu od początków tego osiedla. Jest tam więcej takich rodzin. Jednakże spora część powojennych mieszkańców była przyjezdna. Pamiętam z mojego dzieciństwa, że większość dzieci z Giszowca wyjeżdżało na wakacje do babci na wieś, a ja im wtedy zazdrościłam...

Wydaje mi się, że rodziny mieszkające od pokoleń na Giszowcu czy Nikiszowcu, są bardzo związane z tymi miejscami. Czy tak jest?

Tak, to prawda. To kiedyś była zwarta społeczność, która w przypadku Giszowca została celowo rozbita. Władze komunistyczne uznały, że pora raz na zawsze zerwać z tym, co stare...

Gdyby przyszło Pani oceniać oba osiedla pod względem estetyki, któremu z nich przyznałaby Pani palmę pierwszeństwa?

Cokolwiek teraz powiem, to strzelę sobie w stopę. Ja nie traktuję tych miejsc oddzielnie. To są dla mnie dwa uzupełniające się osiedla. Nierozerwalnie ze sobą związane. Wielkim sentymentem darzę również ich twórców – Zillmannów i Anthona Utheman-

Pałac Antona Uthemanna w Załężu. Neoklasycystyczny dworek, któremu przywrócono dawny blask, otoczony jest zabytkowym parkiem, przedzielonym obecnie ulicą Gliwicką. Pałacyk zlokalizowany jest w jego północnej części, południowa część, to obecnie plac Józefa Londzina, popularnie zwany Gruszka placem. Fot. D. Pietrucha.

na (dyrektor koncernu Georg von Giesche's Erben – przyp. D.P.). Giszowiec po prostu jest zniszczony. Gdyby był zachowany w całości, byłby fantastycznym miejscem. A gdyby jeszcze jeździł Balkan…

Nikiszowiec miał więcej szczęścia i zachował się w całości. Swoim pełnym założeniem urbanistycznym robi większe wrażenie. Tego w Giszowcu już nie ma. Zaletą Nikiszowca jest to, że w swoim założeniu tworzy zwarte miasto. Nie jest to jednocześnie typowe, śląskie osiedle familoków. Sama estetyka nikiszowieckich domów wielorodzinnych jest inna, ciekawsza. Można codziennie chodzić ulicami Nikiszowca i się nimi nie znudzić.

W 1969 r. zapadła decyzja o wyburzeniu zabytkowego Giszowca, w jego miejscu miały stanąć wielokondygnacyjne bloki. Wyburzenia przerwano po decyzjach wojewódzkiego konserwatora zabytków Adama Kudły, wspieranego przez generalnego konserwatora zabytków prof. Wiktora Zina. W 1978 r. Giszowiec został wpisany do rejestru zabytków woj. katowickiego. Jednak uchroniło to przed zniszczeniem zaledwie jedną trzecią zabytkowego osiedla. Jak Pani ocenia decyzję o wyburzeniu części Giszowca? Podobno zadecydował o tym Zdzisław Grudzień…

Nie mam całkowitej pewności, że faktycznie była to jego decyzja. Nigdy nie znalazłam informacji, potwierdzających ten fakt. Co prawda wpisuje się to w klimat jego działalności, a on sam przeciwko temu nie protestował, ale decyzja o wyburzeniu Giszowca zapadła wcześniej, zanim Grudzień został sekretarzem wojewódzkim PZPR. To chyba nie był jego pomysł. Grudzień ma wiele na sumieniu, nic też nie zrobił w sprawie ratowania Giszowca, ale decyzja nie wyszła od niego.

Wyrok na Giszowiec zapadł jednak w miejscowych kręgach PZPR. Jaka, Pani zdaniem, była tego przyczyna?

Szukałam informacji na ten temat. Wygląda jednak na to, że powody były bardzo prozaiczne. Zadecydowała ekonomia i pieniądze. Powstała nowa kopalnia („Staszic" – przyp. D. P.), więc trzeba było wybudować nowe mieszkania dla pracujących tam ludzi. Rotacja pracowników tej kopalni była ogromna, więc szukano sposobu, aby zatrzymać pracowników na miejscu. Trzeba było dać im mieszkania i w ten sposób związać ich z miejscem pracy. Ciągle narzekano na stałą wymianę kadry i pracowników. Taniej i prościej było wyburzyć część Giszowca i postawić tam bloki mieszkalne, niż tworzyć coś od początku. Zadecydowały więc względy ekonomiczne. A to, że ideologicznie pasowało to lokalnym kręgom PZPR, to fakt.

Faktem jest też, że na Górnym Śląsku jest wiele założeń mieszkalnych, może nie takich samych jak Giszowiec, ale o podobnym charakterze. Gdyby polityka PZPR zmierzała w kierunku niszczenia takich miejsc, nie tylko Giszowiec padłby ich ofiarą…

Niewykluczone… Jednakże dzisiaj staramy się myśleć naszymi kategoriami, odnosząc je do tamtych czasów. Po pierwsze, wtedy nie wszyscy byli przekonani o wartości architektonicznej Giszowca. Mieszkańcy byli przywiązani do osiedla, które jednak było trochę zaniedbane. W domkach nie było łazienek. Ludzie „budowali" je we własnym zakresie. Była również niewielka grupa mieszkańców, która była zadowolona z faktu, że mogli się przeprowadzić do nowoczesnych mieszkań z centralnym ogrzewaniem. Kto miał bronić Giszowca?

No ale przecież są „Paciorki jednego różańca" – film Kazimierza Kutza z 1980 r. – opowieść o człowieku, który nie zamierzał rezygnować ze swojego domu, w którym spędził całe życie, i postanowił o niego walczyć…

No właśnie. Dopiero na fali „Solidarności" ludzie przestali się bać i zaczęli głośno mówić o wartości estetycznej Giszowca. Tymczasem decydenci partyjni oraz działacze z zarządu kopalni nadal nie mieli świadomości wartości tego miejsca. Na szczęście udało się zahamować wyburzanie osiedla, bo przecież miało zniknąć całkowicie…

W części starego Giszowca, który wyburzono, stanęły nowe bloki. Są jednak miejsca, w których po zniszczonych obiektach nic nowego nie powstało. Chociażby w miejscu wyburzonego budynku dawnego urzędu obszaru dworskiego. Ale była dobra cegła…

Skwer Emila i Georga Zillmannów w Nikiszowcu. Twórców m.in. zabytkowej kolonii robotniczej Nikiszowiec i wielu innych obiektów przemysłowych na terenie Górnego Śląska. Fot. arch.: www.giszowiec.pl; fot. współczesne: D. Pietrucha.

Kolejny relikt przeszłości – Balkan Express. Jak silnie był zakorzeniony w świadomości mieszkańców?

Ludzie byli niezadowoleni nie tylko w momencie likwidacji Balkanu, ale jeszcze długo, długo później. Ale podobnie jak z decyzją o wyburzeniu Giszowca, nie mieli na to żadnego wpływu.

Obiekty, które zniknęły, na szczęście nie odeszły bezpowrotnie. Nie ma ich co prawda w krajobrazie Giszowca, ale żyją w pa-

mięci, odtwarzane w publikacjach, na zdjęciach, czy wystawach. Cześć budowli jednak przetrwała; tylko co z tego, skoro wokół nich nic się nie robi. Stoją i niszczeją... Na przykład giszowiecka wieża ciśnień. Czy widzi Pani dla niej jakieś wykorzystanie?

Na pewno projektowali ją Zillmannowie. Nie wiem, czy da się ją w jakiś sposób wykorzystać. Nie wiem też, jaki jest jej obecny stan. Nigdy nie byłam w jej wnętrzu, ale byłoby fajnie, gdyby została w jakiś sposób wykorzystana.

Czy w trakcie przygotowywania publikacji lub wystaw poświęconych m.in. historii tych osiedli, natknęła się Pani na jakieś materiały źródłowe dotyczące amerykańskich mieszkańców Giszowca?

Na pewno są jakieś dokumenty w katowickim Archiwum Państwowym. Tylko że zasób archiwalny spółki „Giesche SA" liczy ponad 7 tysięcy jednostek, stąd poszukiwania są trudne. Najczęściej odnajduje się coś przypadkowo. Ja sama miałam w ręku akta dotyczące amerykańskiej szkoły na osiedlu. Szkoła to może za dużo powiedziane... bo była to jedna nauczycielka, która te dzieci uczyła.

Znana jest lokalizacja tego miejsca?

Tak, w budynku przy Gasthausie, w budynku kręgielni. Istniejącym do dzisiaj. Brooks, najpierw wynajął nauczycielkę dla swoich dzieci, która później uczyła inne. Odnośnie pana artykułu o amerykańskim osiedlu na Giszowcu (publikowanym w „Odkrywcy" nr 2/2015 – przyp. red.), gdzie wymienił pan nazwiska amerykańskich mieszkańców, wydaje mi się, że oni nie mieszkali tam w jednym czasie, ale w różnych okresach. Musieli się przez te wszystkie lata wymieniać. Miałam w ręku listy amerykańskich dzieci, które uczyły się na Giszowcu, a później, gdzie indziej, np. w amerykańskich gimnazjach. Wygląda więc na to, że nie chodziły do giszowieckiej szkoły w jednym czasie. Zasób archiwalny kopalni „Giesche" liczy 3 tysiące teczek. Poszukiwania informacji na temat amerykańskiego osiedla są więc bardzo trudne.

Czy może wśród tych materiałów znalazły się np. opracowania Sadie Barbary Walsh?

Widziałam tylko jakieś dokumenty z jej podpisem, dotyczące ochronek funkcjonujących na terenie Giszowca, czy przedszkoli. Nic więcej nie udało mi się odnaleźć.

Czy jest jakiś kontakt z potomkami tych ludzi?

Oprócz wizyty Ellen Rosenzweig nie kojarzę nikogo innego.

Być może w amerykańskim osiedlu urodziły się jakieś dzieci? Byłaby to niecodzienna sytuacja...

Tego nie wiem. Na pewno w Załężu, dzisiejszej dzielnicy Katowic, urodziły się dzieci Antona Uthemanna, bo to jest odnotowane. Uthemann mieszkał w tamtejszym dworze, który istnieje do dzisiaj. Kiedy przyjechał na Śląsk, specjalnie dla niego dwór na Załężu został wyremontowany. Najpierw mieszkał w Katowicach, w hotelu „Monopol". Dwór był w bardzo złym stanie, więc Uthemann zatrudnił Zillmannów, aby zajęli się jego przebudową i remontem. Budynek jest bardzo duży, a poza Uthemannem pracowało tam zaledwie kilka osób, więc biura dyrekcji nie zajmowały dużo miejsca. Reszta była do dyspozycji Uthemanna. On sam napisał w swoich wspomnieniach, że tylko w czasie lata, gdy zapach zanieczyszczonej już wówczas rzeki Rawy za bardzo dawał się we znaki, wyprowadzał się na Giszowiec, gdzie mieszkał w budynku urzędu obszaru dworskiego. Na piętrze przygotował sobie mieszkanie, które w późniejszym okresie było wykorzystywane jako miejsce zakwaterowania urzędników przyjeżdżających z wrocławskiej centrali firmy.

W jednym ze swoich artykułów dotyczących historii Giszowca, pisałem o dziwnej budowli, a właściwie jej resztkach, które odnalazłem w okolicy amerykańskiego osiedla. Czy nie wie Pani, co to takiego?

Wydaje mi się, że jest to pozostałość po polu golfowym. W tym miejscu zaczynało się pole i był tam jakiś budynek. Ale co do tego nie mam pewności, bo przecież wszystko porosło lasem.

Odnośnie willi Brachta na Giszowcu. Na terenie ogrodu znajdował się mały, kamienny obelisk z polskim napisem (czterowierszem), pochodzący spod „zameczku" Mieroszewskich, który w 1912 r. przeniesiono z Janowa do Giszowca. Bracht kazał go zniszczyć. Jakie były jego dalsze losy?

Obelisk zaraz po wojnie został wykopany z ogródka za willą i przeniesiony w pierwotne miejsce, na tzw. Planty w Janowie. Ale z powodu zaniedbania tej okolicy przeniesiono go na teren szpitala górniczego w Janowie. Obelisk ma kształt wazonu ogrodowego, z inskrypcją w j. polskim autorstwa Mieroszewskiego. To ciekawa rzecz, bo jest to najstarsza polska inskrypcja z terenu Katowic. Po konserwacji przeniesiono go na teren Nikiszowca, gdzie stoi na Skwerze Zillmannów. Kiedyś w Janowie był dworek myśliwski, który istnieje do dzisiaj, ale jest mocno przebudowany i znacznie odbiega od pierwowzoru. Wokół niego Mieroszewski założył park w stylu angielskim, w którym umieścił ów obelisk. Jednakże owe założenie już nie istnieje, dlatego obelisk trafił do Nikiszowca. Na teren giszowieckiej willi przeniesiono go jeszcze w czasach Uthemanna.

Dziwna postać ten Bracht. Zbrodniarz wojenny i jednocześnie człowiek, który cieszył się opinią jednego z najlepszych gauleiterów...

Tak. Właściwie nie kojarzę z dzieciństwa, aby na Giszowcu ktoś inaczej mówił o willi, jak „willa Brachta". Starsze pokolenie wiedziało, kim on był. Młodsze już tego nie wie, a nazwa willi pozostała jako własna nazwa budynku.

Przez lata nikt w Polsce nie potrafił odnaleźć potomków słynnych na Śląsku niemieckich kuzynów – architektów Emila i Georga Zillmannów. Historycy sądzili, że zmarli oni bezpotomnie po II wojnie światowej. W końcu Pani się to udało – za pośrednictwem internetu... Doszło do symbolicznego spotkania Pani z wnukiem Emila Zillmanna.

Wnuk Emila Zillmanna mieszka w Berlinie, w tym samym domu, w którym mieszkał Emil. Był już dwa razy w Katowicach. Pierwszy raz w 2008 r., na 100-lecie Nikiszowca, kiedy w nikiszowieckim kościele odsłonięto tablicę poświęconą Zillmannom. Drugi raz przyjechał ze swoimi dorosłymi dziećmi. Georg Zillmann był bezdzietny. Miał brata, którego potomkowie jeszcze żyją. Rodzeństwo, dwóch starszych panów z żonami, przyjechali do Katowic. Jeden z nich chyba jest architektem. W rodzinie Emila nie ma żadnego architekta. Mam dobry kontakt z wnukiem Emila. On wiedział, że jego dziadek był architektem, ale nie zda-

wał sobie sprawy ze skali jego dokonań. Gdy był tu pierwszy raz, był zszokowany wielkością obiektów, które zaprojektował jego dziadek. Od tego momentu zaczął odkrywać swojego dziadka, którego nigdy nie poznał, bo urodził się w Berlinie już po jego śmierci. Wiedział, że Emil wraz z Georgiem projektowali obiekty na Śląsku. Wiedział również, że zarobione pieniądze stracili podczas Wielkiego Kryzysu. Pozostały im jedynie domy, w których mieszkali. Wnuk Emila zapamiętał jeszcze Georga, który zmarł po wojnie, ale ich rodziny nie były już ze sobą tak blisko.

Lista obiektów, które zaprojektowali na Śląsku Zillmannowie, jest imponująca... Wiemy, że ich najwspanialszymi projektami były katowickie osiedla: Giszowiec i Nikiszowiec. Co jeszcze po sobie pozostawili?

Elektrociepłownię w Bytomiu-Szombierkach – uchodząca za światowej klasy zabytek przemysłowy, budynek obecnego Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach, zabudowania dawnej kopalni „Gliwice", nieistniejący już budynek przy kopalni „Ferdynand", hutę „Uthemann" w Szopienicach – najprawdopodobniej z wieżą ciśnień (pozostała tylko wieża i budynek administracyjny), budynki szybów kopalni „Giesche", budynek w Katowicach na ul. Kilińskiego (dawna dyrekcja policji), sporą część budynków na Załężu budowanych dla kopalni „Kleofas", budynek w Zabrzu-Rokitnicy, obecnie użytkowany przez Akademię Medyczną, budynek szpitala w Katowicach-Szopienicach. To wszystko ich dzieło. Wkład Zillmannów w kształtowanie industrialnego krajobrazu Górnego Śląska jest ogromny.

Wiadomo, co działo się w styczniu 1945 r. w Giszowcu i Nikiszowcu?

Musiały być jakieś bombardowania Nikiszowca, bo częściowo była zniszczona tamtejsza elektrociepłownia, a w kościele zostały uszkodzone witraże. Zachowały się opisy dokumentujące działania załogi elektrociepłowni, która nie została unieruchomiona. Udało się ją utrzymać w ruchu. Kopalnia też cały czas pracowała. Spotkałam się również z informacjami o walkach prowadzonych w okolicach Giszowca, w lesie na Wesołej. Intryguje mnie kwestia grobu sowieckich żołnierzy w Giszowcu, który został później zlikwidowany. Prawdopodobnie szczątki sowieckich żołnierzy przeniesiono gdzie indziej. Podobno za obecnym ogrodzeniem cmentarza był również grób niemieckich żołnierzy, prawdopodobnie członków Volkssturmu, ale nic więcej o nim nie wiadomo. Wiem to tylko ze wspomnień mieszkańców.

Jaka jest świadomość mieszkańców Śląska na temat Giszowca czy Nikiszowca?

Ja myślę, że mocno pracujemy nad tym, żeby było lepiej. Wydaje mi się, że w świadomości mieszkańców Śląska sam Śląsk słabo funkcjonował. To chyba w dużej mierze jest „zasługa" PRL-u i braku edukacji regionalnej. Na pewno w promocji Giszowca i Nikiszowca, także wśród Ślązaków, mocno pomogła książka pani Małgorzaty Szejnert „Czarny Ogród", a także Szlak Zabytków Techniki i związane z nim wydarzenia, jak również inicjatywy lokalne.

Jak wiele błędów funkcjonuje w świadomości społecznej dotyczących Giszowca czy Nikiszowca?

Willa Brachta, którą mylnie określa się willą Uthemanna, jest dla mnie sprawą najbardziej rażącą. Pokrewieństwo Zillmannów to druga sprawa. Ja sama najpierw nie wiedziałam, że to nie byli bracia. Być może jeszcze o czymś nie wiemy, że jest błędem. Okaże się po czasie.

Jakie ma Pani marzenia związane z Giszowcem i Nikiszowcem?

To takie marzenie, które się nigdy nie spełni. Chciałabym zobaczyć Giszowiec takim, jakim był przed wyburzeniem. Marzę również o tym, aby w szczególności mieszkańcy Giszowca nie niszczyli tego, co pozostało.

Dziękuję Pani bardzo za interesującą rozmowę.

PS. Jeszcze coś ode mnie. W dzielnicy Katowic zwanej Załężem znajduje się neoklasycystyczny pałac, który został wybudowany w latach 1886-1887. Wcześniej w tym samym miejscu istniał drewniany dwór, który najprawdopodobniej zburzono. Gdy na Śląsku pojawił się Uthemann, stał się użytkownikiem majątku na Załężu (majątek należał do koncernu „Giesches Erben"). Na jego życzenie Zillmannowie przebudowali ów pałac, co miało miejsce w 1905 r. Niestety, nie dotrwał on do obecnych czasów w tej formie, gdyż w latach 1924, 1925 i 1933 ulegał kolejnym przebudowom. W pałacu od 1886 r. funkcjonowała dyrekcja generalna koncernu „Giesches Erben" (do 1945 r.). Od 1877 r. mieszkał w nim Friedrich Bernhardi (1838-1904), dolnośląski przemysłowiec, który w latach 1873-1916 był dyrektorem generalnym „Giesches Erben". Później zastąpił go Uthemann. W pałacu na Załężu urodziły się jego dzieci. Po zakończeniu wojny w obiekcie ulokował się Górniczy Zakład Lecznictwa Ambulatoryjnego, a później przedszkole. W 2009 r. pałac sprzedano i obecnie funkcjonuje w nim prywatny szpital. Ozdobą jego wnętrz jest reprezentacyjna klatka schodowa oraz pochodzący z czasów Uthemanna żyrandol. Ze względu na gęste powiązania komunikacyjne, okolica pałacu jest jednym z najbardziej ruchliwych miejsc na Górnym Śląsku. Każdego dnia tysiące ludzi przejeżdża nieopodal, rzucając leniwie okiem na jego bryłę. Kto z nich wie, jaką pałac ma historię? Nawet ci, którzy słyszeli o Zillmannach, o Giszowcu i Nikiszowcu, raczej nie kojarzą go z tymi postaciami i miejscami. Tak to jest ze śląską historią...

REKLAMA

NIKISZOWIEC – ceglana perła Górnego Śląska

DARIUSZ PIETRUCHA

Leży w Katowicach niedaleko Giszowca, o którym już Wam opowiadałem. Jednak różnią się całkowicie. Giszowiec był powrotem do śląskiej tradycji. Nikiszowiec – symbolem ówczesnej nowoczesności. Obydwa powstały jako osiedla robotniczo-urzędnicze. Zaprojektowali je ci sami ludzie. Łączyła je ta sama kopalnia „Giesche". Ale przede wszystkim wspólne, często tragiczne losy Górnego Śląska.

Nikiszowiec z lotu ptaka przypomina sylwetkę szybowca. Źródło: www.katowice.eu

Nikiszowiec znalazł się obecnie po drugiej stronie autostrady A4 (E40). Najlepiej dojechać do niego dojeżdżając najpierw do Giszowca, który przy okazji warto zwiedzić, a później, wyjeżdżając z niego ulicą Szopienicką, dotrzecie bezpośrednio do Nikiszowca. Oba osiedla dzieli odległość ok. 1,5-2 km. Po drodze trzeba tylko jeszcze przeciąć A-czwórkę, i gdy po lewej stronie zauważycie zabudowania kopalni „Wieczorek" (dawnej kopalni „Giesche"), oznacza to, że po prawej stronie macie już Nikiszowiec. Zresztą nie da się go ominąć, gdyż budynki rzucają się w oczy. Są na swój sposób niecodzienne w śląskim krajobrazie. Dlatego traficie tam na pewno.

Mieszkalny szyb „Nickischa"

Kiedy w latach 1907-1910 w płd.-wsch. części obecnych Katowic wybudowano miasto-ogród, czyli Giszowiec, dość szybko okazało się, że potrzeby mieszkaniowe pracowników powstałej w 1883 r. kopalni „Giesche", są o wiele większe. Geneza powstania Nikiszowca jest prawie identyczna jak Giszowca. Obydwa osiedla stanęły na leśnych terenach gminy Janów, w 1907 r. wyodrębnionych z obszaru dworskiego Mysłowice-Zamek i przekształconych w samodzielny obszar dworski o nazwie „Lasy Giesche" (niem. Gieschewald). W latach 1908-1920 zarządzał nimi nadleśniczy Otto Lehnhoff[1], którego urząd znajdował się na Giszowcu. Miejscem, gdzie miało powstać nowe osiedle, był teren położony w okolicach dwóch szybów kopalni „Giesche" – szybu „Carmer" (późniejszy „Pułaski") i szybu „Nickisch"[2] (późniejszy „Poniatowski"). Teren był własnością koncernu „Spadkobiercy Georga von Giesche" (niem. „Georg von Giesches Erben"). Wybrano obszar liczący ok. 20 ha, który z jednej strony był ograniczony przebiegiem obecnej ul. Szopienickiej (wtedy Margaretenweg), a z drugiej torami kolejowymi. Liczono, że Nikiszowiec w tysiącu mieszkań pomieści ok. 5 tys. ludzi, co powinno całkowicie zaspokoić ówczesne potrzeby mieszkaniowe pracowników kopalni „Giesche".

Decyzja o jego budowie zapadła na posiedzeniu Wydziału Powiatowego w Katowicach w dniu 16.12.1908 r. Na „Giesches Erben" spadło wiele obowiązków, m.in. wybudowanie nowego kościoła dla mieszkańców Janowa, Giszowca i Nikiszowca, budowa i utrzymanie szkół, zaopatrzenie osiedla w wodę pitną, założenie systemu kanalizacyjnego, budowa publicznych dróg i placów, a także zainstalowanie urządzeń przeciwpożarowych i postawienie baraku dla zakaźnie chorych (prowizorycznego szpitala). Koncern musiał owe warunki spełnić.

Twórcami Nikiszowca, podobnie jak Giszowca, byli kuzyni Georg i Emil Zillmannowie, którzy pracowali na zlecenie ówczesnego dyrektora „Giesches Erben", Antona Uthemanna. Projektując Nikiszowiec architekci trzymali się wytycznych ustawy z 1904 r., która dokładnie określała standardy nowo budowanych budynków mieszkalnych. Gotowy projekt Nikiszowca Zillmannowie mieli już w roku 1908. Tym razem, w odróżnieniu od Giszowca (który powstał w miejscu wykarczowanego lasu), obszar nowego osiedla znajdował się na obrzeżu lasów janowskich. Zillmannowie nie chcieli powtórki Giszowca. Chcieli czegoś całkowicie odmiennego. Podobnie jak Uthemann. Zawarli więc z koncernem „Giesches Erben" układ; w przypadku budynków mieszkalnych honorarium Zillmannów miało wynosić 2 proc. ogólnych kosztów budowy, a w przypadku budynków użyteczności publicznej – 3 proc. Postanowiono, że nowe osiedle będzie nosiło nazwę „Nikischschacht".

Ceglany-ogród w pasy

Tym razem od podstaw miała to być typowo miejska zabudowa robotnicza, opierająca się na dwóch prostokątnych, przecinających się siatkach ulic, nieco wzorująca się na zespole bloków mieszkalnych stworzonych przez Alfreda Messela w Berlinie (kompleks mieszkań socjalnych). Całkowite przeciwieństwo Giszowca. Podstawą projektu były duże, trzykondygnacyjne budynki tej samej wysokości, które ze względu na układ ulic, skupione miały być w dziewięciu grupach, a właściwie, zamknięte w układzie pierścieniowo-blokowym (6 czwo-

robocznych bloków tworzących układ podkowy). Mówiąc najprościej, każda z grup budynków stanowiła zamknięty pierścień zabudowy (poza blokiem II, który nie został zamknięty). Plan Nikiszowca przypomina sylwetkę szybowca wciśniętego pomiędzy drogę przelotową (ob. ul. Szopienicka) i bocznicę kolejową. Każdy budynek jest wielomieszkaniowy. Swoim wyglądem nawiązuje do popularnych na Górnym Śląsku „familoków", czyli typowych budynków robotniczych. Wewnątrz poszczególnych, zamkniętych bloków, usytuowano duże podwórka, które zabudowano chlewikami oraz piecami do wypieku chleba (tzw. piekarniokami). Prowadzą do nich otwory (bramy), których ceglane obramowania często noszą cechy neobarokowe. Dzisiaj nie ma już chlewików ani piekarnioków, a podwórka wykorzystano jako oazy wewnętrznej zieleni, a także stanowiska parkingowe. Cechami charakterystycznymi Nikiszowca (przynajmniej dla mnie) są dwie rzeczy. Pierwsza, to pokrycie wszystkich fasad budynków cegłą licówką (w czerwonym kolorze z zielonymi wstawkami), co upodobnia wszystkie budynki do siebie, ale tylko na pozór. Druga, to wygląd ulic, a właściwie jej wylot, każda jest ozdobiona charakterystyczną ceglaną przewieszką, która nie tylko łączy przeciwległe budynki, ale jednocześnie stapia całe osiedle w jedną, wydawałoby się monolityczną bryłę. Dla mnie owe przewieszki będą zawsze znakiem rozpoznawczym Nikiszowca.

Budynki Nikiszowca wydają się być jednakowe. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Uwierzcie mi, trudno znaleźć dwa takie same. Właściwie to znak szczególny Zillmannów, gdyż na Giszowcu mamy podobną sytuację. Każdy z budynków na Nikiszowcu różni się rozmiarem, a także kształtem wykuszów. Jednak to, co odróżnia je najbardziej, to wszelkiego rodzaju detale architektoniczne. Zauważycie je bardzo szybko. Na szczególną uwagę zasługują pasy cegły ozdabiające wykusze, układające się w różne, geometryczne wzory, każdy inny. Osiedlowe mieszkania były podobne do siebie. Robotnicze, to dwa pokoje z kuchnią, łącznie ok. 63 m kw. Na każdym piętrze budynku było ich cztery. Ubikacje znajdowały się na korytarzu, po dwie na każde piętro. W mieszkaniach robotniczych nie było łazienek. Pranie noszono do specjalnych budynków na osiedlu, przeznaczonych do tych funkcji. Woda została doprowadzona do zlewów w kuchniach i toalet na półpiętrach. Na parterze znajdowały się jednopokojowe lokale z komorą i kuchnią, liczące ok. 53 m kw. One również nie miały łazienek. W blokach były także bardziej komfortowe mieszkania urzędników, o pow. ok. 89-93 m kw., które składały się z 3-4 pokoi, kuchni i łazienki.

„Niech się mury pną do góry..."

O ile osiem pierścieniowych bloków Nikiszowca jest do siebie podobnych, to zupełnie odmienny jest niezamknięty blok II. Pewnie dlatego, że zaprojektowano go jako infrastrukturę szybu „Nickisch" oraz ciąg budynków użyteczności publicznej. Znajdziemy tam dawną cechownię, łaźnię i kotłownię oraz siedzibę zarządu kopalni; także ciąg sklepowy, umieszczony w budynku z charakterystycznymi podcieniami, pralnię wraz z suszarnią, dom noclegowy (przeznaczony dla samotnych górników i posiadający ok. 1000 miejsc – jego długoletnim zarządcą był Karol Knosalla) oraz pocztę połączoną bezpośrednio z budynkami kopalni. W sąsiednim bloku III ulokowano gospodę i salę widowiskową. Odrębne budowle Nikiszowca to: kościół, dwa budynki szkolne, wieża wodna oraz wybudowany już za torami, w pewnej odległości od osiedla, barak dla zakaźnie chorych. Nikiszowiec został od razu zelektryfikowany. Prąd dostarczała kopalnia „Giesche", a właściwie elektrownia św. Jerzego, ulokowana w pobliżu szybu „Carmer". Teren osiedla został skanalizowany i zaopatrzony we własną oczyszczalnię ścieków. Nikiszowiec podłączono do powiatowego wodociągu, a woda była dostępna w każdym z mieszkań. Rolę osiedlowej straży pożarnej pełniła straż kopalniana.

Charakterystyczne przewieszki upiększające wyloty nikiszowskich ulic.

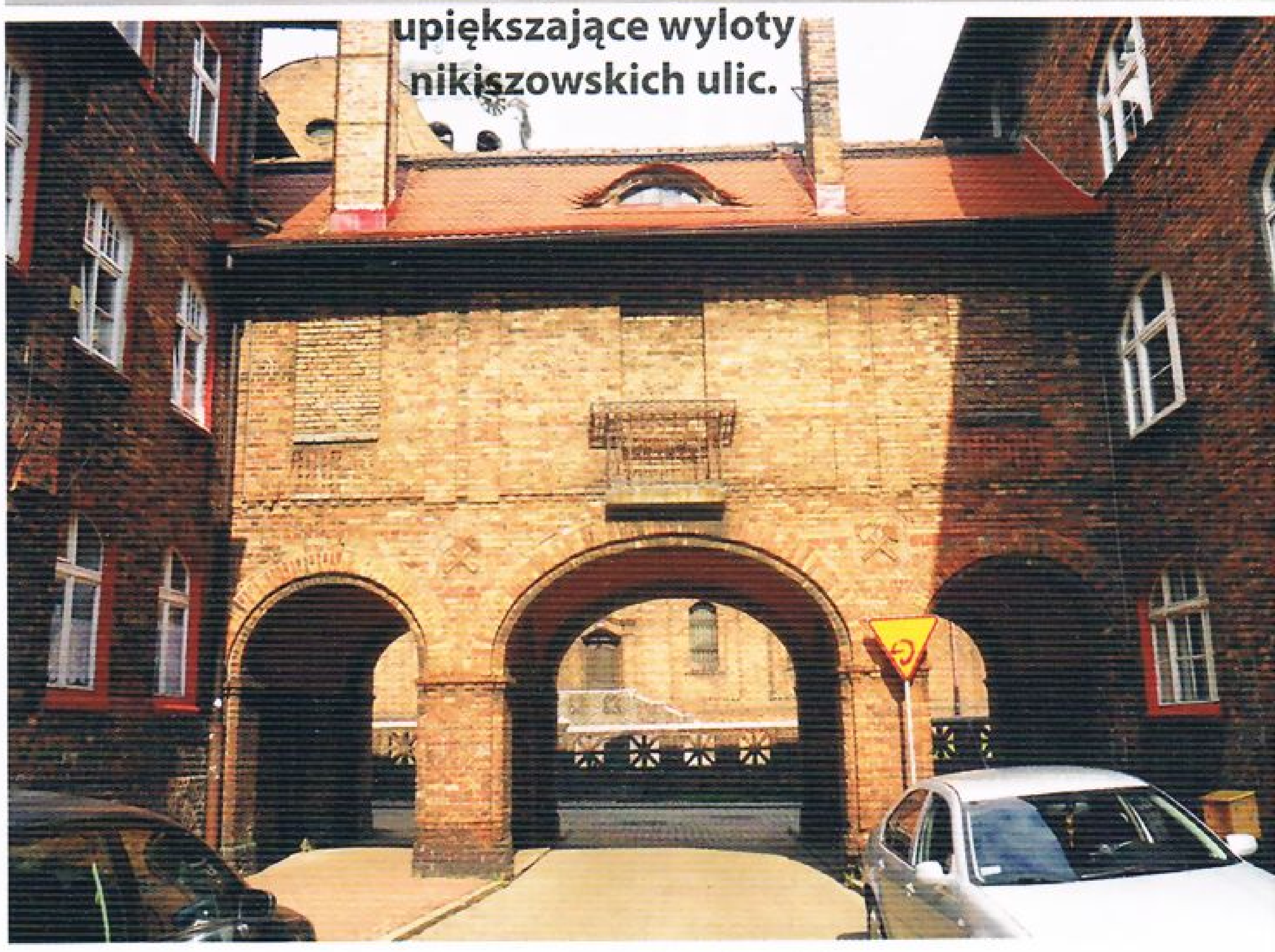

Pierwsze budynki Nikiszowca oddano do zasiedlenia w 1911 r., ale do zakończenia prac było jeszcze bardzo daleko. Budowy doglądał sam Uthemann. Nadzorował nawet sadzenie zieleni, nie pozwalając na jej obecność na ulicach, ale wyrażając zgodę na obsadzenie wewnętrznych podwórek. Owe podwórka stanowiły jedyny element krajobrazu wiejskiego, który zaplanowano na Nikiszowcu. Ulice były dalekie od wiejskiej zabudowy.

Sporym problemem dla mieszkańców Nikiszowca był fakt, że administracja znajdowała się na Giszowcu. Był nią urząd nadleśniczego, który tam mieszkał i przyjmował petentów. Chcąc załatwić choćby najdrobniejszą sprawę, trzeba było maszerować do Giszowca ok. pół godziny. W 1919 r. zwrócili się więc z prośbą, aby na Nikiszowcu otworzyć biura urzędu. Nie udało się. Sporym ułatwieniem było uruchomienie kolejki wąskotorowej, nazywanej popularnie „Balkanem" – o której już Wam opowiadałem.

W 1911 r. na Nikiszowcu oddano do użytku pierwszy budynek szkolny – 16 klas lekcyjnych, 2 pokoje służbowe i wiele pomieszczeń gospodarczych. W pierwszym roku szkolnym

Jeden z rodzajów wykuszów na budynku mieszkalnym…

naukę pobierało 217 dzieci. Oczywiście nauczano w j. niemieckim. Z roku na rok uczniów zaczęło przybywać. W roku szkolnym 1919-1920 do nikiszowieckiej szkoły uczęszczało ponad 1400 dzieci. Szkoła była przepełniona. To zadecydowało o budowie drugiego budynku szkolnego, którą rozpoczęto już w 1913 r. Pomyślano również o młodszych dzieciach. W 1918 r. zawarto umowę ze Zgromadzeniem Sióstr św. Jadwigi we Wrocławiu, które

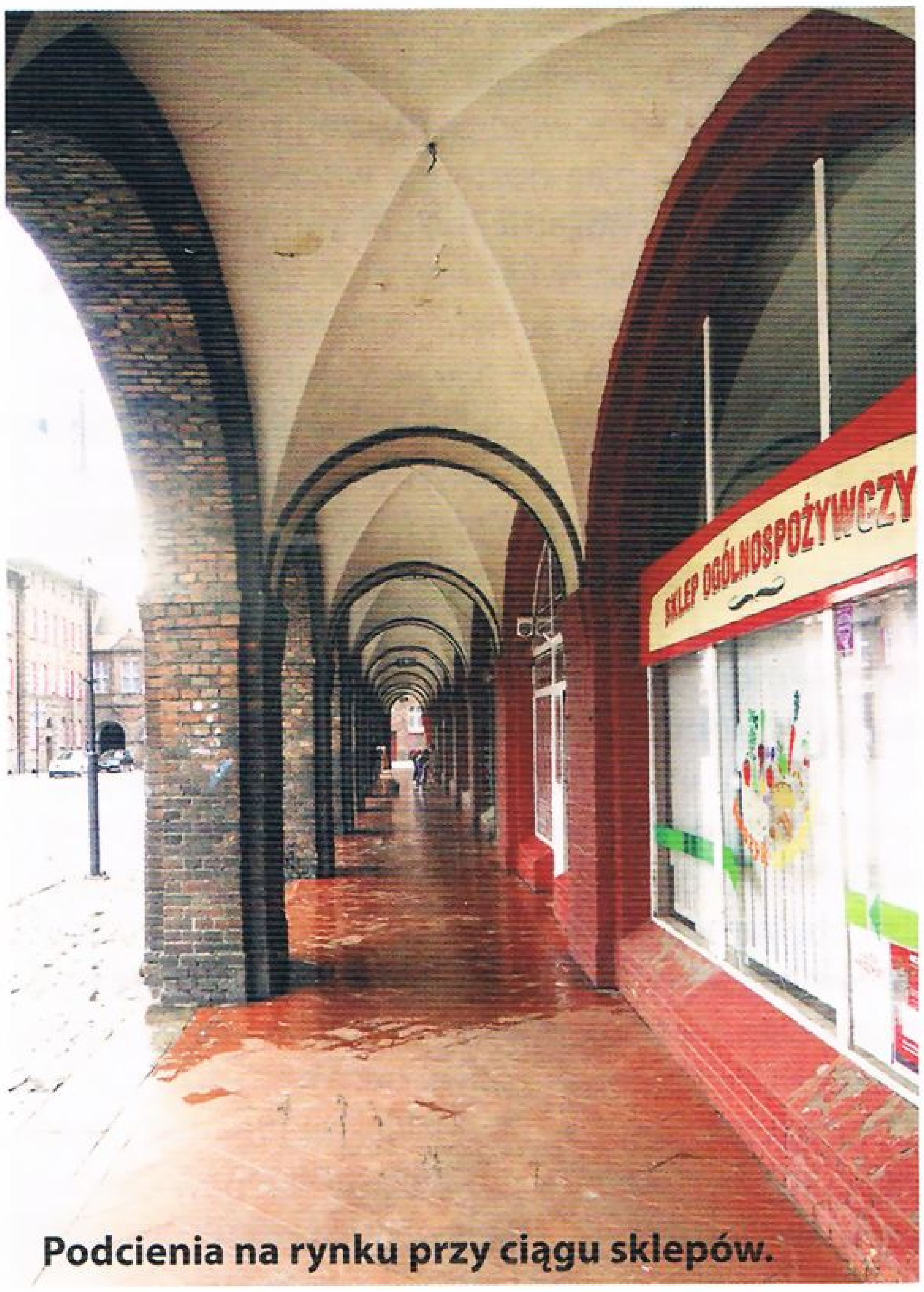

Podcienia na rynku przy ciągu sklepów.

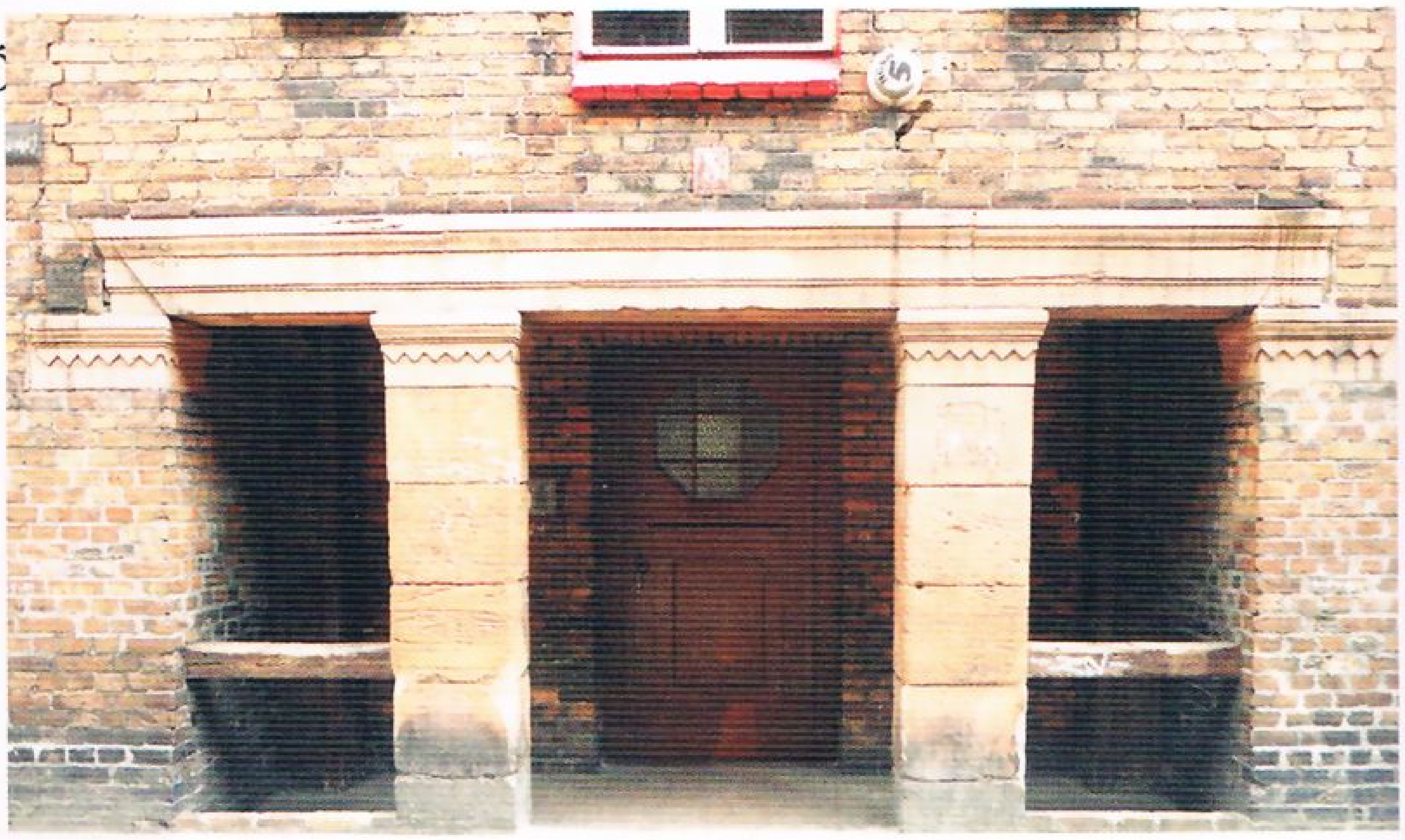

… oraz specyficzne, jedno z wielu, wejść do budynków.

uruchomiły na Nikiszowcu ochronkę dla dzieci i tzw. kuchnię mleczną. Na potrzeby tej działalności oddano im w użytkowanie dom z ogrodem, który nadal pozostał własnością „Giesches Erben" (obecnie znajduje się w nim przedszkole). Od tego momentu Siostry św. Jadwigi stały się nieodłączną częścią krajobrazu Nikiszowca, a ich działalność finansował koncern „Giesches Erben".[3] Od 1912 r. opiekę medyczną nad mieszkańcami Nikiszowca sprawował dr Carl Möschler, mieszkaniec Giszowca. Sprowadzało się to głównie do pracy w baraku dla zakaźnie chorych, znajdującym się za torami kolejowymi.[4] W 1919 r. właściwie zakończono budowę osiedla, choć pewna jego rozbudowa trwała jeszcze w latach 1920-1924. W 1919 r. pracownik kopalni „Giesche", Augustyn Niesporek, założył na Nikiszowcu swój zakład fotograficzny, który do dzisiaj funkcjonuje w tym samym miejscu. Właściwie nie brakowało niczego… No może nie do końca.

Świątynia pięciu dzwonów

Mieszkańcy Giszowca nie mieli własnego kościoła. Początkowo podobnie było z Nikiszowcem. Najpierw zamierzano wybudować wspólny kościół na terenie Janowa, ostatecznie jednak postanowiono, że stanie on na Nikiszowcu. „Giesches Erben" przeznaczył na ten cel 60 tys. marek. Ponownie zatrudniono Zillmannów[5], którzy mieli zaprojektować świątynię. Warunek był jeden: miała pasować do wyglądu całego osiedla. Projekt powstał w 1912, a w 1913 r. podpisano z nimi umowę, w której zagwarantowano im honorarium wynoszące 5 proc. kosztów budowy kościoła. Oblicze świątyni, to wspólne dzieło Zillmannów i Uthemanna. Razem doszli do wniosku, że najlepiej będzie wybudować kościół neobarokowy, gdyż ten styl będzie doskonale pasował do Nikiszowca. Nie pomylili się. W tym duchu zaprojektowali świątynię, której plany zaakceptowano na początku 1914 r. Uthemann chciał, aby cały kościół był biały. Ostatecznie wyszło inaczej. Zillmannowie zaprojektowali trójnawową bazylikę z transeptem, dwoma wieżami zwieńczonymi neobarokowymi hełmami i kopułę na skrzyżowaniu naw. Do budowy kościoła użyto licowanej cegły, więc jego wygląd doskonale komponował się z otaczającymi go zabudowaniami Nikiszowca. Do czasu powstania świątyni rolę tymczasowego kościoła pełnił budynek kotłowni przy szybie „Albert". Prace murarskie prowadził budowniczy Krafczyk z Mysłowic. Pierwszymi duchownymi pracującymi na Nikiszowcu byli: ks. Paweł Dudek oraz ks. Walther Jaesche. 5.07.1914 r. położono kamień węgielny pod budowę kościoła na Nikiszowcu, wkrótce budowa stanęła. Wybuchła I wojna światowa.

W 1918 r. powrócono do prac budowlanych, które niestety ponownie trzeba było przerwać – ze względu na powstania śląskie. Kościół ukończono dopiero w roku 1927. Świątynia św. Anny została odpowiednio wyposażona.[6] W ołtarzu głównym umieszczono relikwie świętych męczenników Placyda i Klemensji. Ponadto uzyskał pięć dzwonów (Paweł – 2666 kg, Maria – 1474 kg, Józef – 1025 kg, Barbara – 667 kg i Anna – 581 kg).

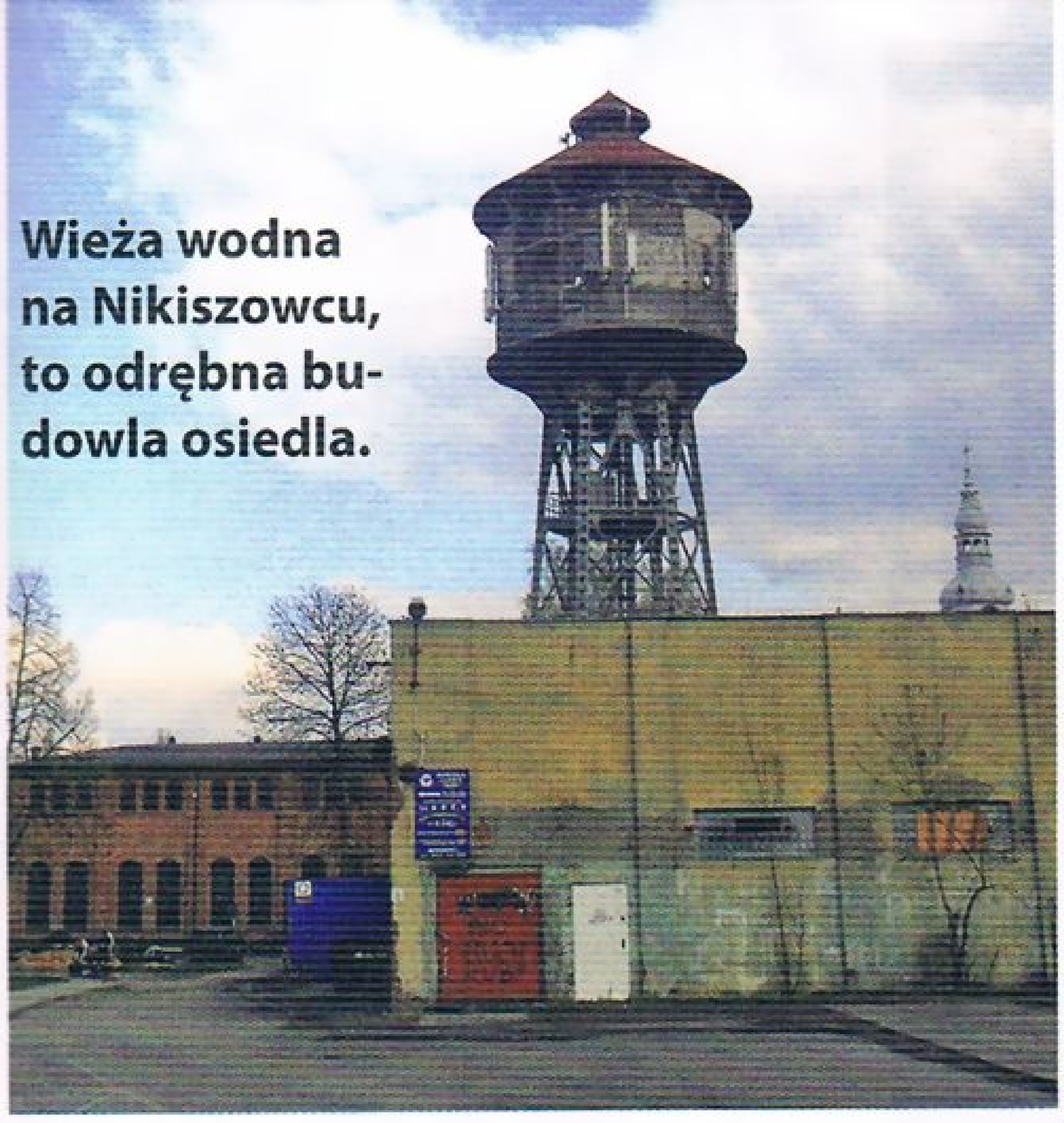
Wieża wodna na Nikiszowcu, to odrębna budowla osiedla.

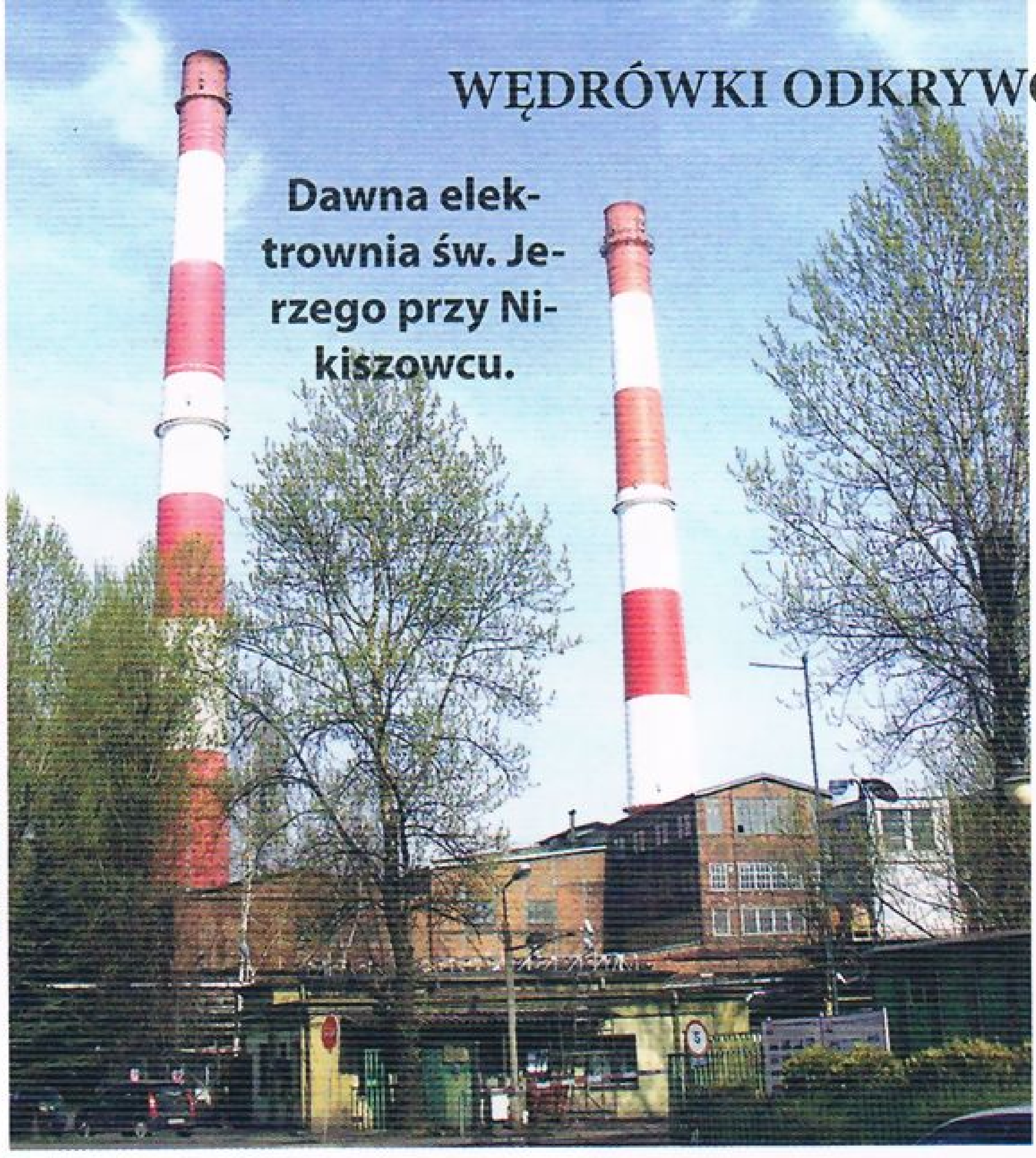
Dawna elektrownia św. Jerzego przy Nikiszowcu.

Cztery z nich w 1943 Niemcy zarekwirowali na cele wojenne. Pozostawiono jedynie najmniejszą Annę.

Wielka Wojna

Mieszkańcy Nikiszowca dowiedzieli się o wojnie od razu. Właściwie ją usłyszeli, gdy Rosjanie wysadzili w powietrze mosty kolejowe na rzece Brynicy i urządzenia przemysłowe w pobliskim Sosnowcu (wówczas Sosnowiec znajdował się na terenie Kongresówki – zaboru rosyjskiego). Wkrótce ruszyła niemiecka ofensywa, w efekcie której opanowano Będzin i Sosnowiec. W wyniku powszechnej mobilizacji większość mężczyzn w wieku 20-45 lat trafiła do wojska. Wśród nich mieszkańcy Nikiszowca. Część z nich zgłaszała się na ochotnika. Mobilizacja sporej części górników mocno sparaliżowała działalność kopalni „Giesche" – wydobycie węgla kamiennego spadło o 30 proc. Rozwiązania problemu szukano w zatrudnianiu kobiet i młodocianych, a także jeńców wojennych i robotników przymusowych, którzy w 1917 r. stanowili 33 proc. załogi kopalni „Giesche". Coraz częściej zaczęły pojawiać się także poważne problemy aprowizacyjne. Tak jak w przypadku mieszkańców Giszowca, i tym razem zarząd kopalni „Giesche" skupował towary żywnościowe i po niskich cenach rozprowadzał je wśród mieszkańców Nikiszowca. To nie rozwiązało jednak problemu głodu. Coraz częściej więc wybuchały w kopalni strajki – w 1916 i 1918 roku. W nikiszowieckim baraku dla zakaźnie chorych urządzono szpital wojskowy – głównie dla żołnierzy chorych na tyfus i dyzenterię z frontu wschodniego. Jednakże mieszkańcy Nikiszowca i Giszowca (ok. 10 tys. ludzi) pozbawieni byli opieki lekarskiej, gdyż dr Möschler został powołany do armii. Zarząd kopalni „Giesche" starał się o jego zwolnienie, ale bezskutecznie. Na efekty tej sytuacji nie trzeba było długo czekać. W 1919 r. na Nikiszowcu wybuchła epidemia tyfusu.

Walka o tożsamość

Zakończenie I wojny światowej nie przyniosło oczekiwanego spokoju. Większość mieszkańców Nikiszowca oczekiwała na przyłączenie Górnego Śląska do Polski. O przynależności państwowej tych ziem zadecydować miał plebiscyt.

W 1919 r. na Nikiszowcu powstała komórka POW Górnego Śląska, na czele której stanął Feliks Marszalski ze Świętochłowic. Jego zastępcą był Teodor Chrószcz.[7] W VIII.1919 r. w kopalni „Giesche" wybuchł strajk, który stał się impulsem do zaatakowania domu noclegowego na Nikiszowcu, w którym stacjonowała kompania Grenzschutzu. Słabo uzbrojonym oddziałem powstańczym dowodził Chrószcz. Do dzisiaj na budynkach Nikiszowca widać ślady tych walk. Powstańcy nie zdobyli noclegowni, ale zmusili Niemców do wycofania się. Przejęli ich broń, przecięli połączenia telefoniczne, aresztowali asesora górniczego Ehrensteina, niemieckich żandarmów, nauczycieli, policjantów i urzędników. Odprowadzono ich na stronę polską. Jednak po kilku dniach Niemcy wrócili. Chcąc odbić osiedle zaatakowali od strony Zawodzia. Zostali odparci ogniem zdobytych przez powstańców karabinów maszynowych. W kolejnych dniach Niemcy próbowali zaatakować Nikiszowiec z powietrza, co nie przyniosło większych efektów, oraz przy wsparciu artylerii, zmuszając powstańców do opuszczenia Nikiszowca i ucieczki na polską stronę, do Sosnowca.

Charakterystyczna zabudowa przy rynku. W środku zakład fotograficzny założony przez Augustyna Niesporka, niegdyś pracownika kopalni „Giesche". Zakład funkcjonuje tu od 1919 roku.

W II powstaniu śląskim (19-25 VIII 1920) powstańcy z Nikiszowca brali udział w walkach o Mysłowice.[8] Podczas plebiscytu za stroną polską głosowało ponad 73 proc. mieszkańców Nikiszowca. W trakcie III powstania (już po plebiscycie 2 V–5 VII 1921) zdołano opanować Nikiszowiec. Później nikiszowieccy powstańcy weszli w skład 7. kompanii katowickiego pułku powstańczego, która brała udział w walkach na Gó-

Budynek szkoły.

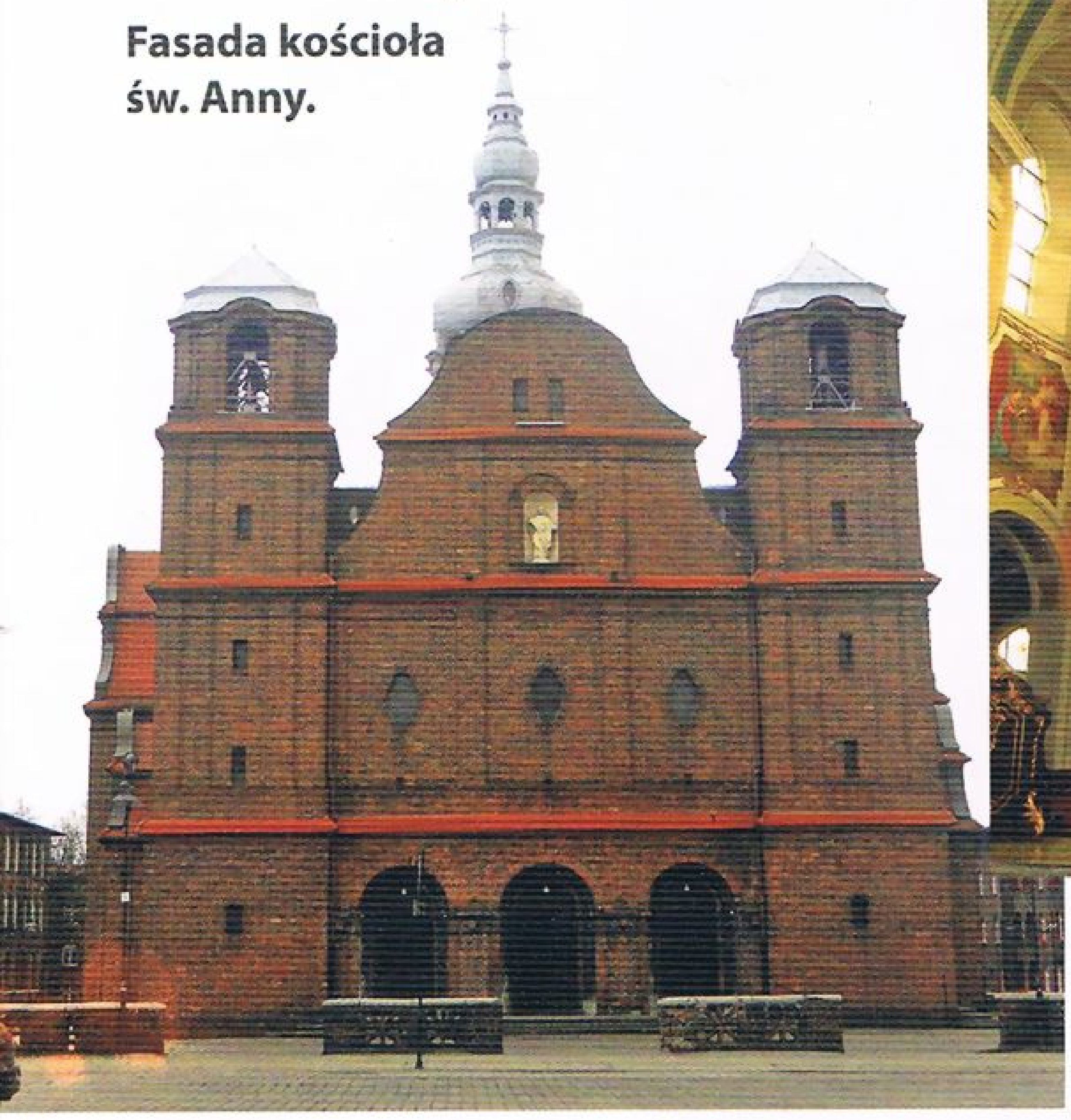

Fasada kościoła św. Anny.

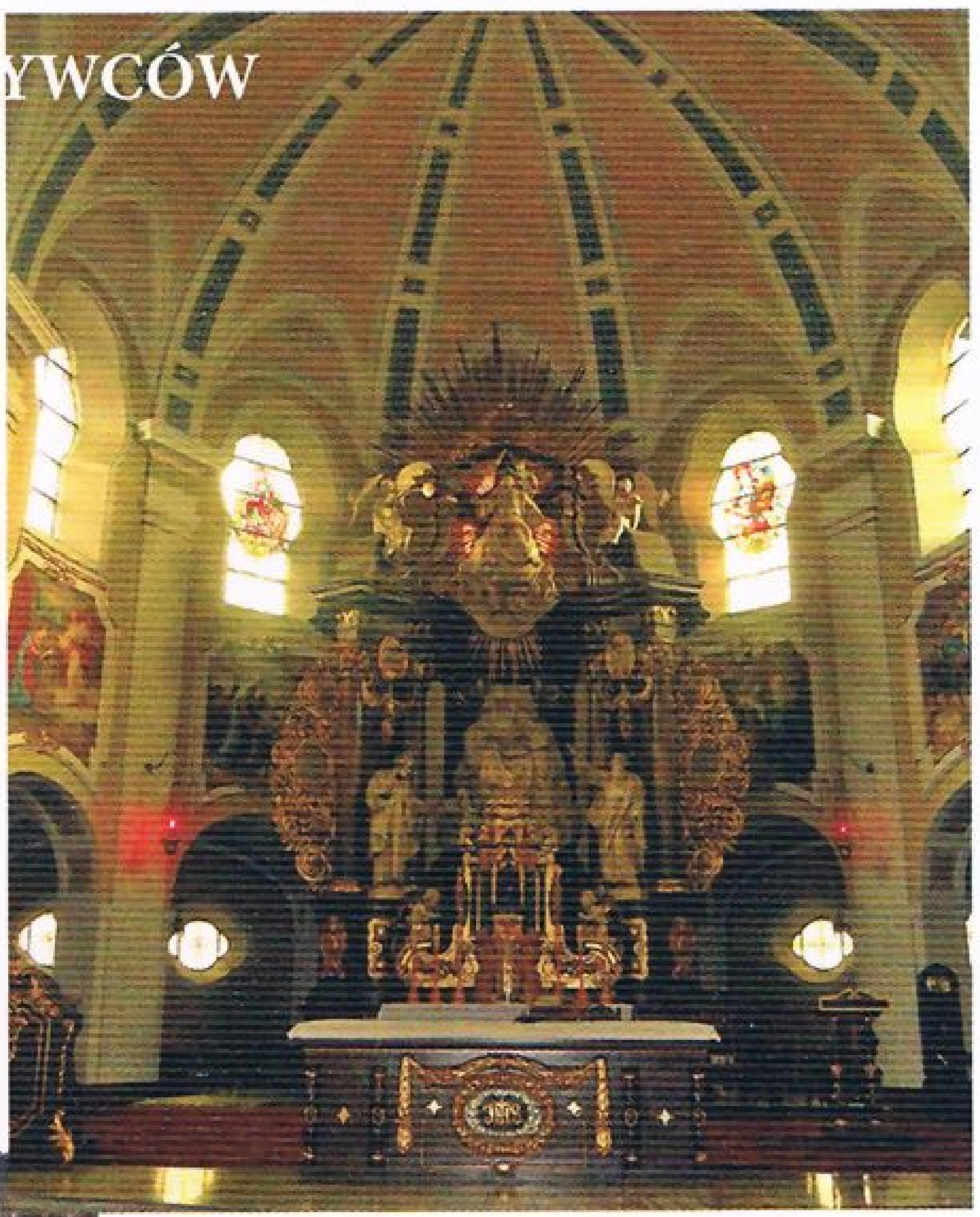

Wewnątrz przebogaty ołtarz główny autorstwa Georga Schneidera z Ratyzbony.

Kościół św. Anny na zdjęciu archiwalnym. Źródło: www.fotopolska.eu

Wywózka 4. kościelnych dzwonów: Pawła, Marii, Józefa, Barbary – zarekwirowanych w 1943 r. na cele wojenne. Źródło: www.katowice.eu

rze św. Anny. Ostatecznie Nikiszowiec znalazł się po stronie polskiej.

Zmiany, zmiany... Witojcie na Nikiszowcu

Gdyby państwo polskie otuliło Śląsk swoimi opiekuńczymi ramionami, wszystko potoczyłoby się inaczej. Oczywiście – dokonano licznych zmian. W czerwcu 1920 r. nazwę „Nikischschacht" zamieniono na Nikiszowiec. W 1921 r. wprowadzono polskie nazwy ulic. Jednej z nich nadano nazwę Wojciecha Korfantego, a inną nazwano Sosnowiecką – na pamiątkę niedawnych, tragicznych wydarzeń. Osiedlową szkołę podzielono na: żeńską (kierownik Franz Psziuk) i męską (kierownik Rudolf Glatter). W obydwu uczono w j. polskim. W 1923 r. w części pomieszczeń szkoły męskiej uruchomiono szkołę niemiecką. Nikiszowiec, podobnie jak Giszowiec, nadal podlegał administracyjnie władzom obszaru dworskiego Gieschewald. W 1924 r. Śląska Rada Wojewódzka podjęła decyzję o likwidacji obszarów dworskich, a Giszowiec i Nikiszowiec weszły w skład gminy Janów.

Komisarycznym naczelnikiem gminy Janów został dr Oskar Krupa, a od 1925 r. Józef Szeja/. Od 1931 r. siedziba władz gminy znajdowała się na Nikiszowcu, w budynku naprzeciwko kopalni „Giesche". Wkrótce umieszczono w nim Posterunek Oficerski Policji Województwa Śląskiego. Zreorganizowano pocztę, a w 1924 osiedle otrzymało własną placówkę pocztową. Pojawiła się również apteka, która w 1922 r. znalazła się w rękach Władysława Buschsa i pozostała w nich aż do wybuchu kolejnej wojny.

Gmina Janów odkupiła od spółki „Giesche" teren pomiędzy torami kolejowymi a kościołem i zamieniła go na osiedlowy zieleniec. Zmiany dotknęły także koncern „Giesches Erben". Gdy przekształcił się on w spółkę „Giesche SA", nie bardzo było wiadomo, kto ma teraz płacić za utrzymanie kanalizacji, wodociągów, dostaw prądu, a także za drogi i funkcjonowanie szkół. W 1926 r. zawarto porozumienie, że koszty będą dzielone po połowie i opłacane wspólnie przez gminę Janów i „Giesche SA". To nie rozwiązało jednak wszystkich problemów. Spółka „Giesche" chciała nieodpłatnie przekazać gminie Janów budynki publiczne i przerzucić na nią wszystkie koszty ich utrzymania, ale ta wolała tego uniknąć. Tak to bywa ze wspólną własnością.

W latach 20. Nikiszowiec połączono z Katowicami linią autobusową. „Balkan" przestał być jedyną możliwością podróżowania. Wkrótce autobusem można było dojechać do Tych i Mysłowic. Gmina przejęła budynki szkolne i zajęła się opieką nad oświatą. Szkoła żeńska stała się Szkołą nr 3, męska – Szkołą nr 4, a niemiecka – Szkołą nr 5. Wszystkie podlegały okręgowi szkolnemu w Katowicach. Funkcjonowały również trzy przedszkola, w tym dwa publiczne polskie i jedno niemieckie – mniejszościowe. W 1930 r. na osiedlu zaczęła funkcjonować Dokształcająca Szkoła Wiejska. W 1935 r. zmieniono nazwy szybów – szyb „Nic-

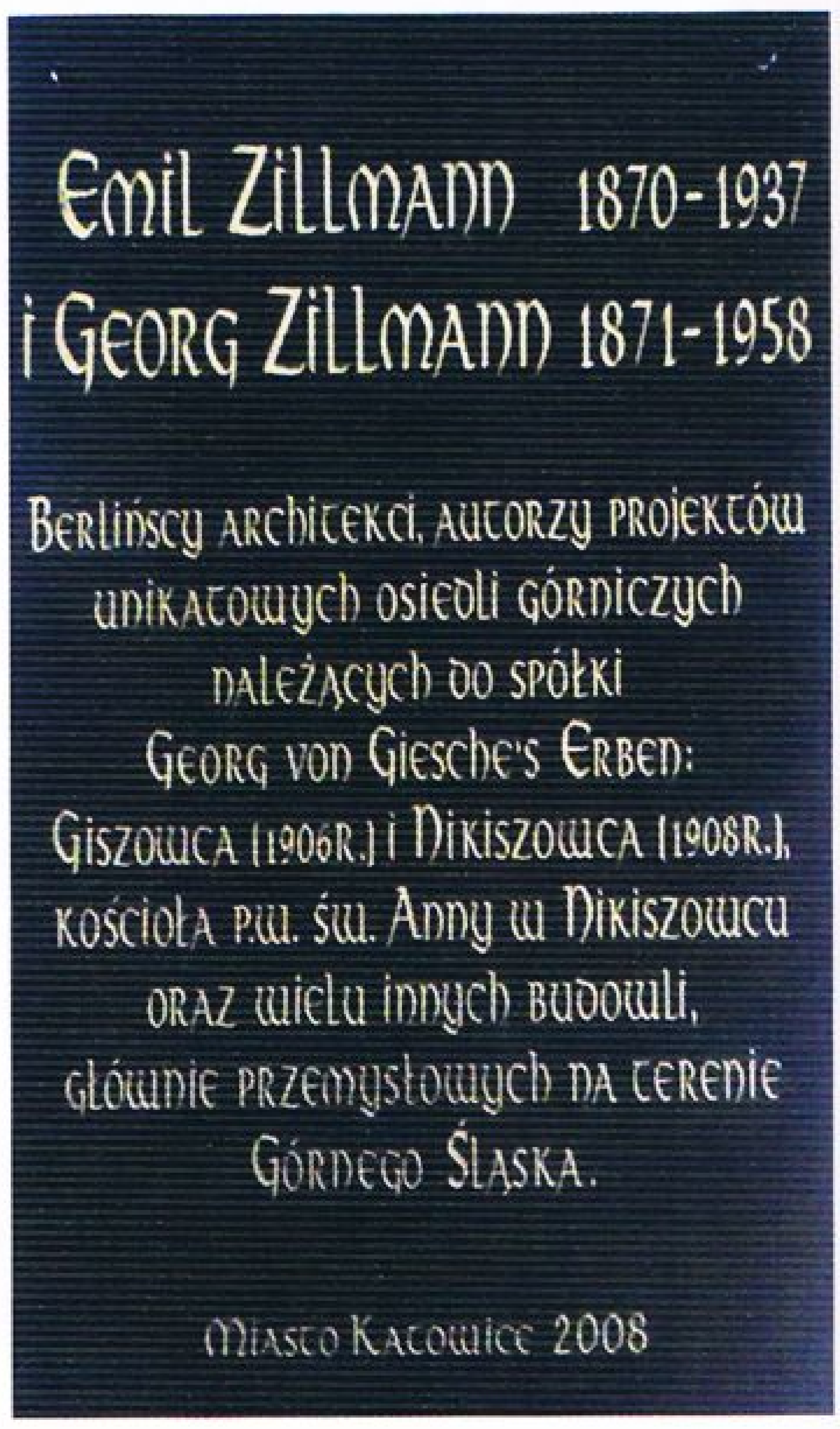

Tablica pamiątkowa poświęcona twórcom Nikiszowca i Giszowca – Zillmannom – wisząca w kościele.

Budynek gminy na zdjęciu archiwalnym. Źródło: www.fotopolska.eu

Budynek gminy obecnie.

Gospoda dawniej... Źródło: www.bytom.webd.pl

... i dzisiaj. Wzrok przyciąga mozaika w róże – symbol śląskiego stroju.

kisch" przemianowano na „Poniatowski", a „Carmer" na „Pułaski". W 1937 r. spółka „Giesche" wybudowała na Nikiszowcu pierwszy w woj. śląskim pełnowymiarowy basen kryty.

Mimo zmian, Nikiszowiec nie uciekł od problemów, które trapiły nie tylko Górny Śląsk, ale i całą Polskę, Europę, i świat. Pierwszy akord smutnej, śląskiej melodii zabrzmiał w 1925 r., gdy wybuchła „wojna celna" z Niemcami. Wydobycie w kopalni „Giesche" spadło o 39 proc. Nie pomógł fakt, że „Giesche SA" odsprzedała większość swoich akcji amerykańskiej firmie SACO. Powszechnym zjawiskiem stało się bezrobocie i idące za nim jak cień bieda i nędza. Później przyszedł Wielki Kryzys. Coraz więcej górników traciło pracę lub wysyłano ich na przymusowe, bezpłatne urlopy. Ludzie cierpieli głód. W szkołach organizowano akcję dożywiania. Dzieciom dostarczano także ciepłą odzież na zimę. W Szkole nr 3 uruchomiono kuchnię dla bezrobotnych. Ludzie ratowali się „dzikim wydobyciem" węgla, czyli tzw. biedaszybami, które pociągały za sobą wiele śmiertelnych ofiar. W tym okresie w kopalni „Giesche" wybuchało wiele strajków. Ich głównym organizatorem był miejscowy komunista Józef Wieczorek, górnik z „Giesche". W 1937 r. podczas kolejnego strajku na Nikiszowcu doszło do starć z policją. Na osiedlu działała komórka PPS-u, NPR-u, a także Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" i ZHP.[9] Ogółem w 1937 r. funkcjonowało tam ok. 110 różnych polskich organizacji. Działały również niemieckie organizacje mniejszościowe.

Na karuzeli historii

Gdy wybuchła II wojna światowa, część mieszkańców Nikiszowca ewakuowała się na wschód. Niemcy zajęli osiedle 4.09.1939 roku. 15 września niemieckim, komisarycznym burmistrzem gminy Janów został, pochodzący ze Zdzieszowic (niem. Oderthal), Gabor. Na Nikiszowcu pojawili się niemieccy urzędnicy. Wśród mieszkańców osiedla (szczególnie wśród mniejszości niemieckiej) nie zabrakło ludzi, którzy przeszli na stronę nowych władz. Część z nich stała się funkcjonariuszami niemieckiej policji ochronnej (niem. Schutzpolizei – SchuPo), której posterunek ulokowano w nikiszowieckim budynku urzędu gminy. Kontrolę nad życiem obywateli Nikiszowca przejęła grupa miejscowa NSDAP. Na osiedlu zlikwidowano pomnik powstańców śląskich. Wszystkie napisy polskie wymieniono na niemieckie. Obecna ul. Szopienicka została przemianowana na Adolf Hitler Strasse. W 1942 r. nazwę gminy Janów zmieniono na Gieschewald, a Nikiszowiec przemianowano na Gieschewald Mitte. Wielu polskich działaczy znalazło się w obozach koncentracyjnych. Część mieszkańców Nikiszowca wywieziono na roboty przymusowe. Nowym dzierżawcą gospody na Nikiszowcu został Ernest Fritsch. Zamknięto polskie szkoły. Funkcjonowała tylko niemiecka. W XII.1939 r. w kościele św. Anny zawieszono nabożeństwa w j. polskim. Na początku 1940 r. z nikiszowieckiego przedszkola usunięto Siostry Jadwiżanki i umieszczono tam placówkę Narodowosocjalistycznej Opieki Społecznej (NSV). W 1943 r. skonfiskowano cztery kościele dzwony. W pobliskim Giszowcu ulokował się gauleiter Górnego Śląska Fritz Bracht. Najgorszym jednak był fakt, że po wprowadzeniu Volkslisty zaczęły się wcielenia do Wehrmachtu. Większość mieszkańców Nikiszowca podała swoją narodowość jako „śląską", co dla Niemców oznaczało, że mają do czynienia z Niem-

„Mur pamięci", na którym upamiętniono nazwiska górników i mieszkańców Nikiszowca, którzy zginęli, głównie w wypadkach w kopalni.

cami. Pierwszych mężczyzn powołano do niemieckiej armii już w połowie 1940 r. Mężczyźni z Nikiszowca byli wcielani aż do końca wojny. Część z nich zginęła na różnych frontach II wojny światowej, część doczekała w niemieckim mundurze końca wojny, a część zdezerterowała i przeszła na stronę aliantów. Na samym osiedlu nie czekano z rękoma w kieszeni. Działały tu konspiracyjne komórki ZWZ-AK, PPS i ruchu komunistycznego. Na kopalni „Giesche" zatrudniono jeńców (głównie sowieckich), których obóz znajdował się przy obecnej ul. Transportowców. Wielu mieszkańców Nikiszowca pomagało rosyjskim więźniom (także w ucieczkach), narażając się na represje ze strony władz niemieckich.

25.01.1945 r. Niemcy opuścili Nikiszowiec, a dwa dni później zajęły go wojska sowieckie. Przewodniczącym Tymczasowej Rady Gminnej został Józef Żymła z Giszowca. 23.05.1945 r. z parafii św. Anny usunięto ks. proboszcza Pawła Dudka (z przyczyn politycznych został skierowany do wysiedlenia – zamieszkał w Zabrzu u swojej rodziny), jednakże władze kościelne nie pozbawiły go tytułu proboszcza – wyznaczyły jedynie administratora, którym został ks. Alfons Tomaszewski, a po nim ks. Lucjan Pitlok. Siostry Jadwiżanki powróciły do nikiszowieckiego przedszkola, ale w 1952 r. odebrano im możliwość jego prowadzenia. Pozwolono im jedynie pozostać w przedszkolnym budynku. Nazwy i napisy niemieckie znowu wymieniono na polskie. W lutym 1945 r. wznowiono wydobycie na kopalni „Giesche" (później „Janów" i „Wieczorek"). Z powodu braku rąk do pracy zatrudniono tam kilkuset więźniów z Centralnego Obozu Pracy w Jaworznie. Umieszczono ich na terenie byłego obozu sowieckich jeńców. Braki kadrowe uzupełniano również żołnierzami z Jednostki Wojskowej 5892 (służba zastępcza dla osób uznanych za „niepewnych politycznie" – zatrudniono ich ok. 1000-1600). Począwszy od lat 60. zaczęto ściągać pracowników z całej Polski (rozbudowano dla nich dom noclegowy i przekształcono go w Dom Górnika nr 1). Trudno powiedzieć dlaczego, ale w tym samym czasie wrogość komunistycznych władz zwróciła się przeciwko kolejce „Balkan", którą próbowano zlikwidować. Nie udało się, więc w zamian zniszczono wszystkie budynki gospodarcze na podwórkach osiedla w Nikiszowcu. W 1951 r. Janów, Giszowiec i Nikiszowiec przyłączono do Szopienic. Pomiędzy Giszowcem a Nikiszowcem wybudowano nowe osiedle, zwane przez miejscowych „Koreą" (od wojny koreańskiej). W nikiszowieckim budynku urzędu gminy ulokowano szpital miejski, gdyż Nikiszowiec nie miał już własnych władz. W 1960 r. Szopienice weszły w skład Katowic. Tak jest do dzisiaj. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Centralną częścią Nikiszowca jest Plac Wyzwolenia, który jest sercem tego osiedla. Znajduje się przy nim kościół św. Anny wraz z probostwem, a także budynek pralni z suszarnią i maglem (naprzeciw kościoła), w którym obecnie umieszczono galerię obrazów (filia Muzeum Historii Katowic). Co ciekawe, kobiety z nikiszowieckiego osiedla mogły korzystać z darmowej pralni aż do 1990 r. Na uwagę zasługują również charakterystyczne krużganki z podcieniami, które nadają temu miejscu specyficznego uroku. Pod podcieniami umieszczono lokale sklepowe. Spacerując po placu na pewno zwrócicie uwagę na budynku dawnej gospody, charakterystyczną mozaikę przedstawiającą róże, która jest odwołaniem do śląskiego stroju. Rozejrzyjcie się wokół dokładnie. Wszystkie ulice Nikiszowca zbiegają się właśnie pod kościołem. Takie było założenie architektoniczne Zillmannów. Wybierzcie jedną z nich i zacznijcie swój spacer po osiedlu. Dokładnie przypatrzcie się poszczególnym budynkom, gdyż w każdym z nich zauważycie odmienne detale architektoniczne. To naprawdę zadziwiające, że jest ich aż tak dużo. Różnorodność obramowań okiennych, odmienność rodzajów zastosowanych wykuszy, a także przepiękne i różne od siebie balkoniki nadają każdemu z budynków niepowtarzalny charakter. Po Nikiszowcu można spacerować cały dzień. Nie znudzi Wam się, gwarantuję. Co prawda stan niektórych budynków pozostawia wiele do życzenia. Drażnią też opisane sprayem ściany. Ale to niechlubny symbol dzisiejszych czasów, z którym wszyscy nie mogą sobie poradzić. Szkoda, bo chciałoby się, aby osiedle wyglądało inaczej. Czysto, schludnie i zadbanie, jak przystało na niecodzienny pomnik śląskiej architektury. Jak na razie pobożne to życzenia…

zdarzyło się…

28 IV 1920 r.

65 lat temu została skazany na śmierć, w tzw. „procesie kiblowym", Stanisław Skalski. Najlepszy polski pilot myśliwski okresu II wojny światowej, as lotnictwa mający na swym koncie największą ilość zestrzeleń, uzyskanych podczas wojny obronnej 1939 r. oraz najważniejszych kampanii prowadzonych na wielu frontach. Po zakończeniu wojny, odrzucając liczne propozycje pozostania w Wielkiej Brytanii, postanowił w 1947 r., mimo ryzyka represji ze strony władz komunistycznych, wrócić do kraju. Początkowo nic nie zapowiadało tragedii – w ludowym Wojsku Polskim został inspektorem ds. techniki pilotażu, jednak wkrótce został aresztowany przez bezpiekę pod zarzutem szpiegostwa. Po 2 latach brutalnego, wypełnionego torturami śledztwa, podczas błyskawicznej rozprawy w celi więziennej otrzymał z rąk stalinowskich oprawców najwyższy wymiar kary. Na jej wykonanie oczekiwał przez rok. Jednak w styczniu 1951 r., wydany wcześniej wyrok został zmieniony na dożywocie. Ostatecznie uwolniony od wszelkich zarzutów, wyszedł na wolność po kolejnych 5 latach. Była to cena powrotu do ojczyzny, jaką poniosło wielu podobnych mu bohaterów…

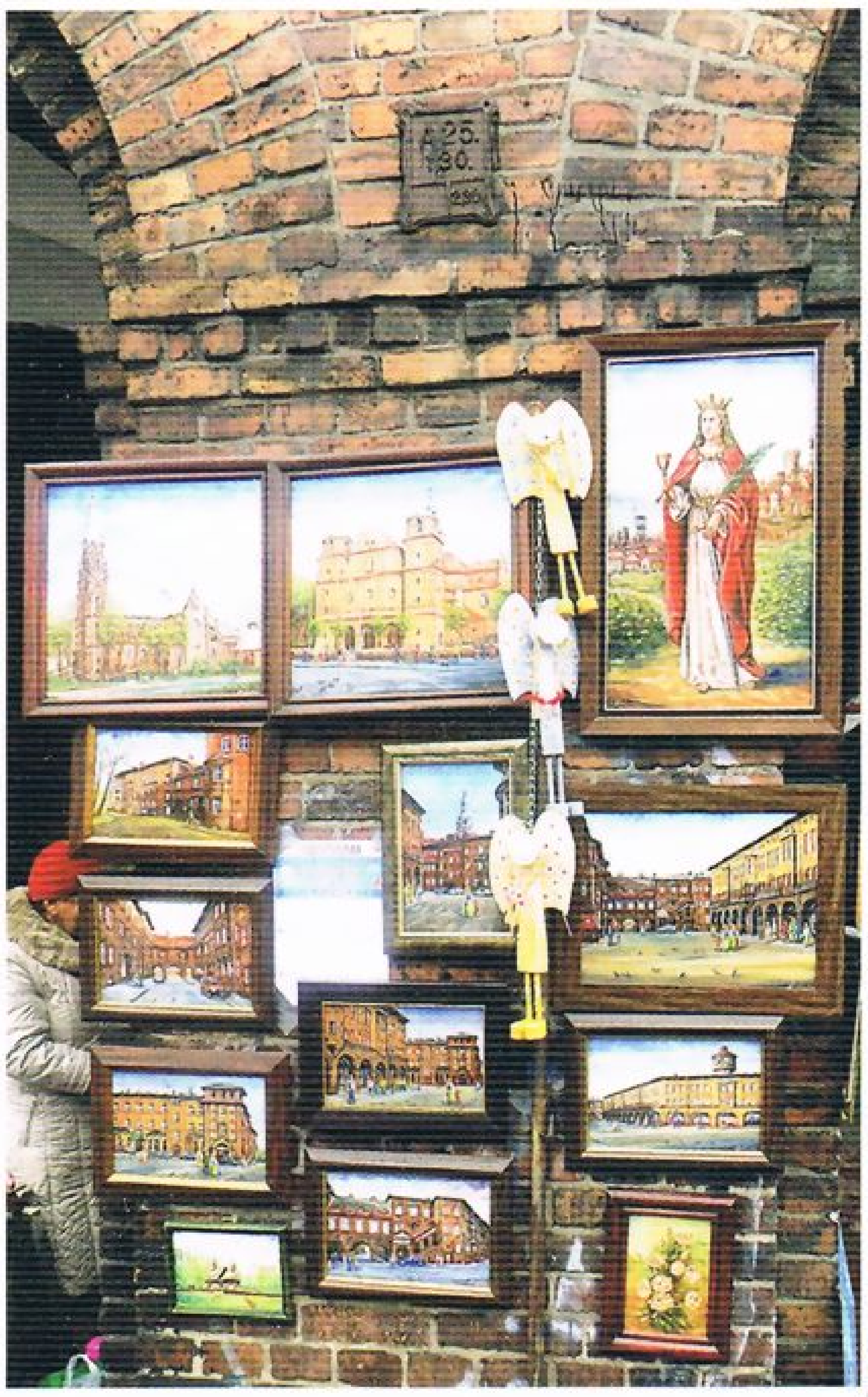

Jarmark bożonarodzeniowy – obrazki z widokami Nikiszowca.

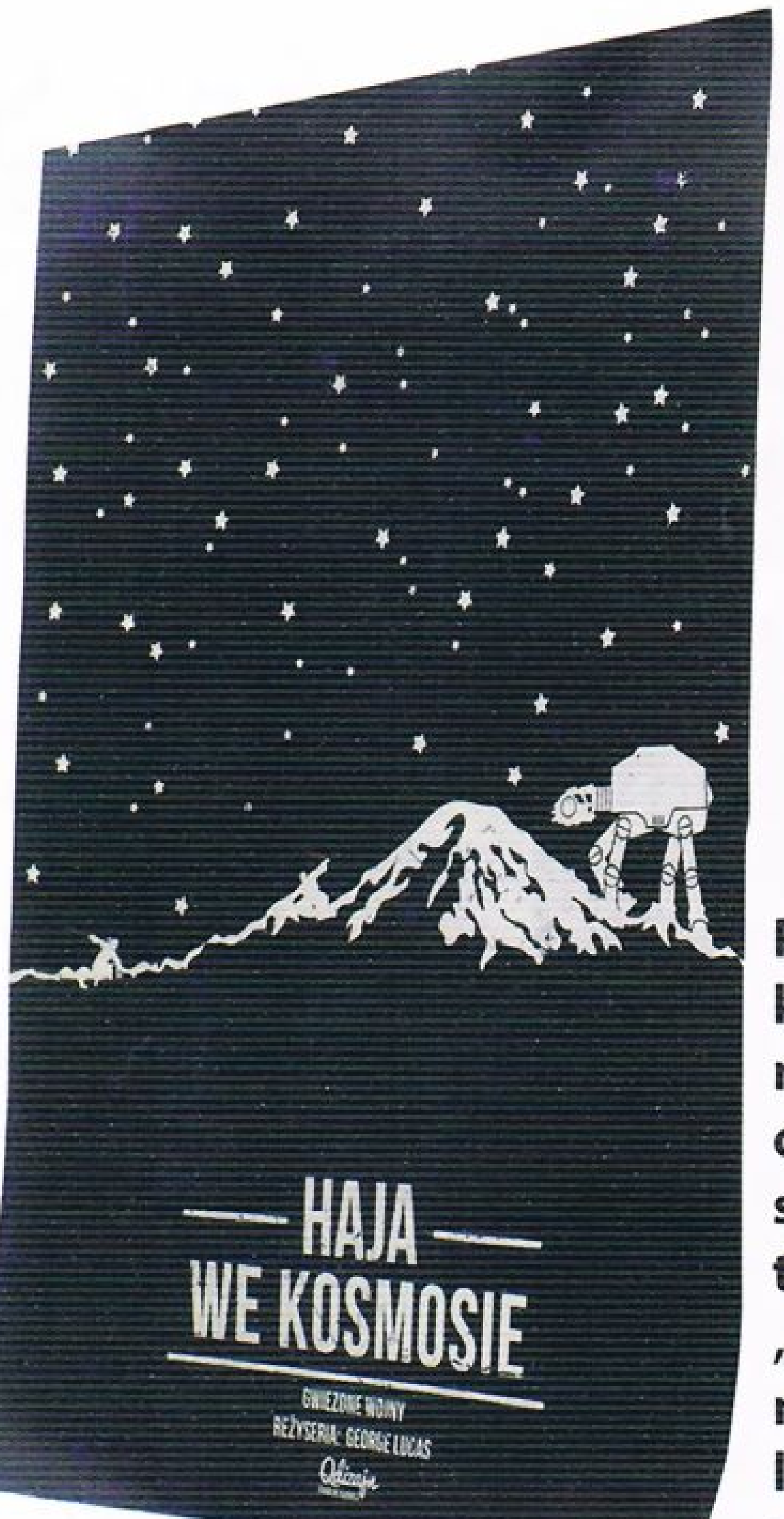

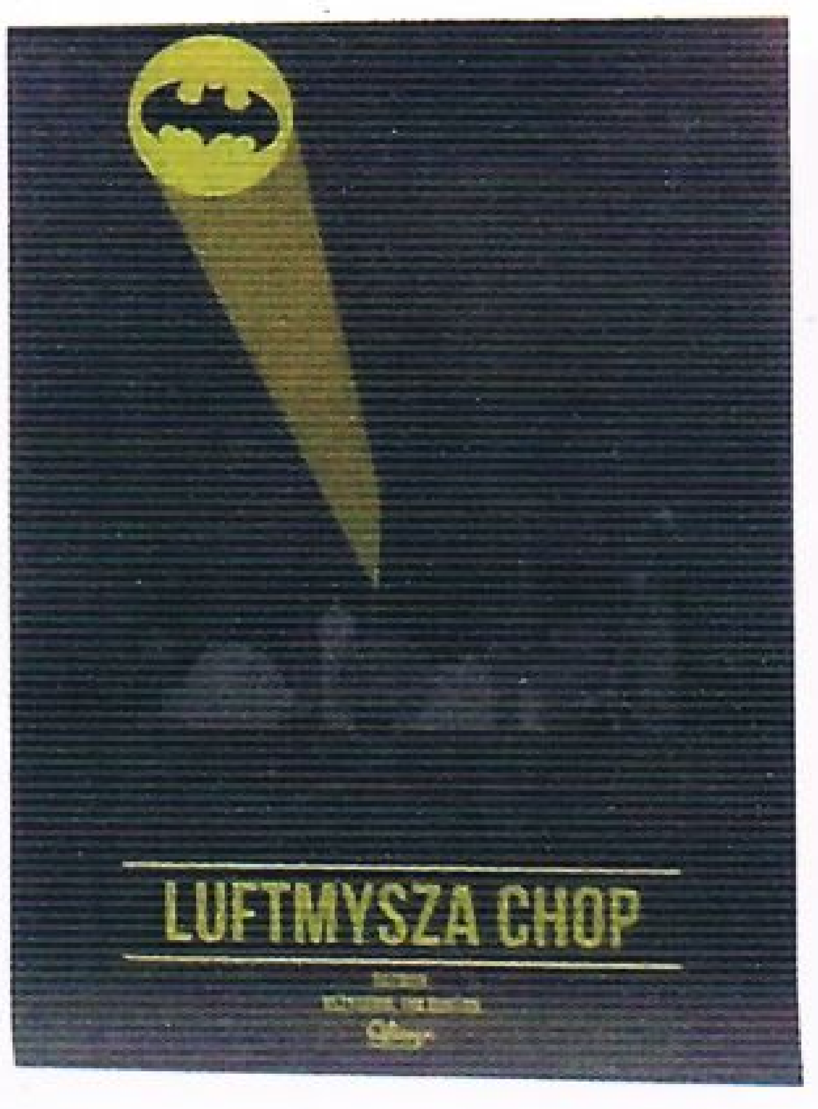

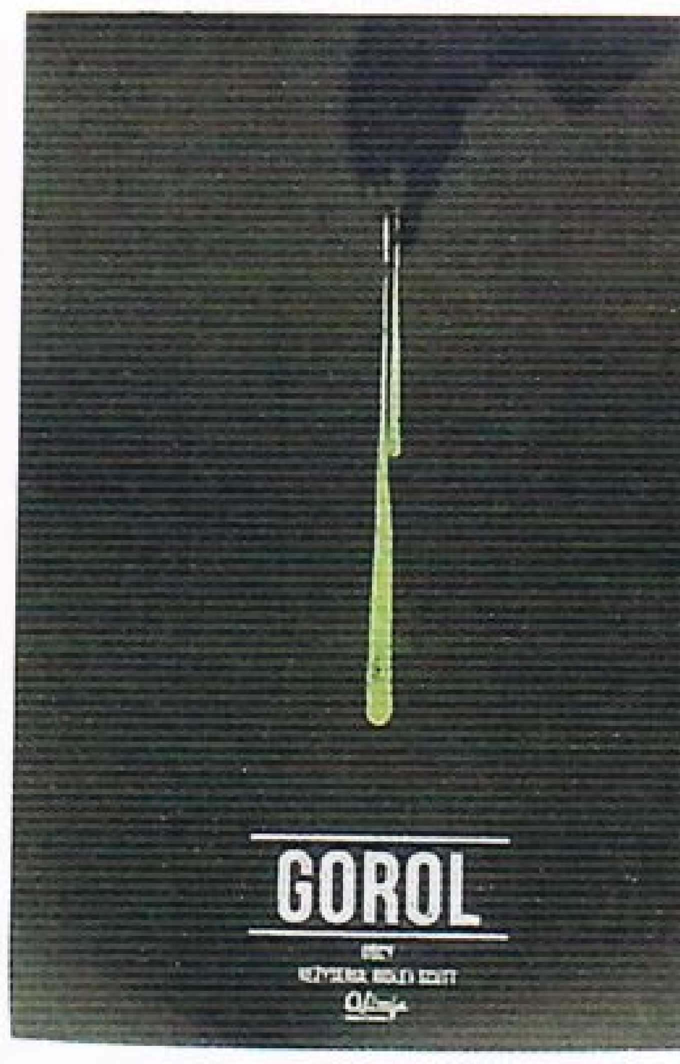

Projektantką i pomysłodawczynią plakatów reklamowych popularnych filmów z rewelacyjnymi śląskimi tytułami jest Monika Kudełko. Więcej na ten temat, na stronie: www.qdizajn.pl/slaskie-plakaty-filmowe. Te sfotografował Autor na jarmarku bożonarodzeniowym.
„Haja we Kosmosie", czyli „Gwiezdne wojny" w reżyserii George'a Lucasa; „Gorol", czyli „Obcy", w reżyserii Ridleya Scotta; a „Luftmysza chop", to przecież... „Batman" Tima Bartona.

Nikiszowiec jest perłą Górnego Śląska. Dla mnie to jasne. By może inni widzą w nim tylko nieciekawe, ceglane budynki o mocno przemysłowym charakterze, ale widać, nie chcą zauważyć jego piękna. 19.08.1978 r. wpisano go do rejestru zabytków. Co prawda budynków nie remontowano, ale przynajmniej nie wyburzano. Nikiszowiec nie podzielił smutnego losu pobliskiego Giszowca. Zaletą Nikiszowca jest to, że właściwie nie zmienił swojej pierwotnej formy architektonicznej. W owych budynkach, w ich nadszarpniętych zębem czasu cegłach, zapisany jest kawał historii Górnego Śląska. Jej ślady nawet widać na ścianach. W Barbórkę ulicami osiedla nadal chodzi górnicza orkiestra – rzadko już spotykany obrazek na Górnym Śląsku. Na Nikiszowcu co roku organizuje się również piękny jarmark bożonarodzeniowy. Niepowtarzalny – sprzedawanymi wyrobami rękodzieła i swoim nastrojem. Wokół Kościoła rozciąga się „mur pamięci", na którym upamiętniono nazwiska górników i mieszkańców Nikiszowca, którzy zginęli (głównie w kopalni). Wiem, Nikiszowiec mógłby wyglądać o wiele lepiej. Budynki można odczyścić, wyremontować i podświetlić, co podkreśli ich przepiękne detale architektoniczne i uczyni bardziej przyjemnymi dla oka. Pewnie warto. Nawet na pewno warto. Życzę tego Nikiszowcowi. Z całego swojego śląskiego serca.

WSPÓŁCZESNE ZDJĘCIA NIKISZOWCA: DARIUSZ PIETRUCHA

P.S. Widzieliście kiedyś, jak na Śląsku wyglądają plakaty reklamujące przeboje filmowe? No to popatrzcie...

Przypisy:

[1] W III 1920 r. ze względu na I powstanie śląskie i popowstaniowe represje poprosił o zwolnienie go z tej funkcji; zastąpił go dyrektor kopalni „Giesche" Johannes Fischer, który zamieszkał w giszowieckiej willi nadleśniczego.

[2] Nazwa tego szybu pochodziła od barona Nickisch von Rosenegk, przedstawiciela spółki „Georg von Giesches Erben".

[3] Jako pierwsze do Nikiszowca przyjechały S.M. Ambrozja Skrzypczak, S.M. Edyta Kosak, S.M. Eduarda Blaut i S.M. Florentyna Kostyrok.

[4] W 1923 r. przeciętny parafianin z Giszowca i Nikiszowca żył 17 lat. Ta przerażająca statystyka wiąże się z ogromną śmiertelnością wśród dzieci.

[5] Początkowo planowano zlecić zaprojektowanie kościoła arch. Ludwikowi Schneiderowi, znanemu projektantowi wielu świątyń na Śląsku, ale Uthemann uparł się i przekonywał mieszkańców parafii, że powinni zrobić to Zillmannowie. Wiedział, że Zillmannnowie doskonale wkomponują go w bryłę istniejącego osiedla.

[6] Żyrandole i kinkiety zaprojektowali Zillmannowie; Georg Schneider z Ratyzbony wykonał ołtarz główny, ambonę, kratę, projekty witraży, prospekt organowy i chór; stacje Drogi Krzyżowej namalował Kowalewski, artysta z Katowic; neobarokowe ławki wykonał Ludwik Rolka; organy – bracia Rieger z Karniowa; 5 dzwonów wykonała firma Schilings Sohne z Appoldy w Austrii.

[7] Takiej osoby nie ma w spisie powstańców śląskich, zweryfikowanych przez Związek Powstańców Śląskich w latach 1936-1939. Być może nie miał na imię Teodor.

[8] Jednym z powstańców z Nikiszowca był Paweł Habryka. Takie samo nazwisko nosił bohater filmu K. Kutza „Paciorki jednego różańca".

[9] I Żeńska Drużyna Harcerska im. Marii Konopnickiej i I Drużyna Harcerzy im. Orląt Lwowskich.

Literatura:

1. L. Jabłoński (red.), „Giszowiec, Nikiszowiec, Szopienice. Przewodnik po dzielnicach Katowic", praca zbiorowa, Katowice 2008
2. J. Bahlcke, D. Gawrecki, R. Kaczmarek (red.), „Historia Górnego Śląska. Polityka, gospodarka i kultura europejskiego regionu", praca zbiorowa, Gliwice 2011
3. E. Chojecka (red.), „Sztuka Górnego Śląska", praca zbiorowa, Katowice 2004
4. I. Kozina, „Chaos i uporządkowanie. Dylematy architektoniczne na przemysłowym Górnym Śląsku w latach 1763-1955", Katowice 2005
5. J. Popanda, M. Więcki, „W okupowanym mieście. Topografia Katowic w latach 1939-1945", Katowice 2013
6. M. Szejnert, „Czarny ogród", Kraków 2007
7. J. Tofilska, „Katowice Nikiszowiec. Miejsce, ludzie, historia", Katowice 2007

Dariusz Pietrucha
Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium".

Tajemnice Wzgórz Strzelińskich

PAWEŁ KUKUROWSKI

Historia ta zaczęła się dla mnie 17 lat temu – dokładnie 25 kwietnia 1998 roku. I musiało upłynąć prawie 17 lat, nim doczekała się kontynuacji, a nawet finału. Pojawiają się w niej „tajemnicze podziemia", kościół, który wyleciał w powietrze, dawne lotnisko oraz radiostacja niemieckiej Luftwaffe – a to wszystko oczywiście w drugowojennym sosie i z cieniem swastyki w tle. Do tego dochodzi malownicza sceneria położonych 40 km na południe od Wrocławia – Wzgórz Strzelińskich.

Zaczęło się, jak to często bywa, od przypadku. Dowiedziałem się od znajomej, że w sobotę jedzie na tanią wycieczkę. Opłata wynosiła 1 czy też 2 zł (ubezpieczenie). Byłem wówczas uczniem szkoły podstawowej, którego ciekawość świata wypychała prawie co weekend z domu. Udało mi się zapisać na tę wycieczkę. Wiedziałem tylko, że jej celem jest Strzelin i jego okolice, a tam nigdy wcześniej nie byłem, co stanowiło dla mnie wystarczający powód, by się w tamte strony wybrać.

25 kwietnia 1998 r. na miejscu – w Strzelinie – dowiedziałem się, że biorę udział w III Rajdzie Ekologicznym, zorganizowanym z okazji Dnia Ziemi (święto obchodzone od 1970 r. w dniu 22 kwietnia). Każdy uczestnik otrzymał folder i pamiątkowy znaczek. W folderze było wyszczególnionych pięć tras, którymi mieli podążać uczestnicy imprezy. Uczniowie z mojej szkoły trafili na trasę nr 4. Ciąg dalszy wydarzeń tego dnia, zupełnie nie należy już do tej opowieści. Należy do niej za to opis trasy nr 1, na którą nie poszedłem. W lakonicznej notatce (patrz załączona fotografia) mogłem wyczytać m.in.: *„Na trasie: (…) Koziniec 246 m n.p.m. (tajemnicze podziemia z ostatniej wojny)"*. To pobudzało wyobraźnię! Słowa „tajemnicze podziemia" i „Koziniec" przewijały się w moich myślach co jakiś czas, przez następne lata. Wreszcie – w styczniu br. postanowiłem – jak to mawiają poszukiwacze – „wybrać się w teren". A że lubię wędrować po górach i mniejszych pagórkach, zaplanowałem sobie, że wizyta na Kozińcu będzie tylko elementem – choć najważniejszym – wędrówki po Wzgórzach Strzelińskich. Trasa, na którą się zdecydowałem, miała się zaczynać we wsi Biały Kościół, a zakończyć w Strzelinie.

W przepiękny poranek 28 stycznia 2015 r. wysiadłem z pociągu na stacji PKP Biały Kościół. W odległości niespełna kilometra widziałem charakterystyczną białą wieżę miejscowego kościoła. Tyle razy podziwiałem ją z okien pociągu, jeżdżąc z Wrocławia w góry, lub wracając z moich górskich eskapad (Biały Kościół leży przy linii kolejowej Wrocław-Kłodzko, będącej bramą w Sudety Wschodnie), lecz nigdy nie obejrzałem jej z bliska. Dziś miałem to nadrobić…

Maszerując za znakami żółtego i niebieskiego szlaku, zbliżałem się powoli do centrum położonej na niewielkim wzniesieniu miejscowości. Minąłem po lewej dawny ewangelicki cmentarz i po kilku minutach, od wyruszenia ze stacji kolejowej, stanąłem pod murami świątyni pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, od której wzięła swą nazwę wieś. Co ciekawe, w czasach niemieckich Biały Kościół nosił nazwę Steinkirche czyli dosłownie „Kamienny Kościół". Owa budowla ma bardzo starą – jeszcze romańską – metrykę. Bez wątpienia najbardziej dramatycznym momentem jej historii był rok 1945. Biały Kościół aż do ostatnich dni II wojny światowej pozostawał w rękach żołnierzy niemieckich (linia frontu od końca marca 1945 r. biegła nieco dalej na północ i wieś znajdowała się na zapleczu). Nie wiem kto (personalnie) wpadł na pomysł, by w miejscowym kościele urządzić wówczas skład amunicji. Nieszczęście, które można było łatwo przewidzieć, oczywiście nastąpiło… Czy to wskutek trafienia radzieckim pociskiem artyleryjskim, czy też nieostrożności jakiegoś niemieckiego żołnierza, składowana amunicja w maju 1945 r.

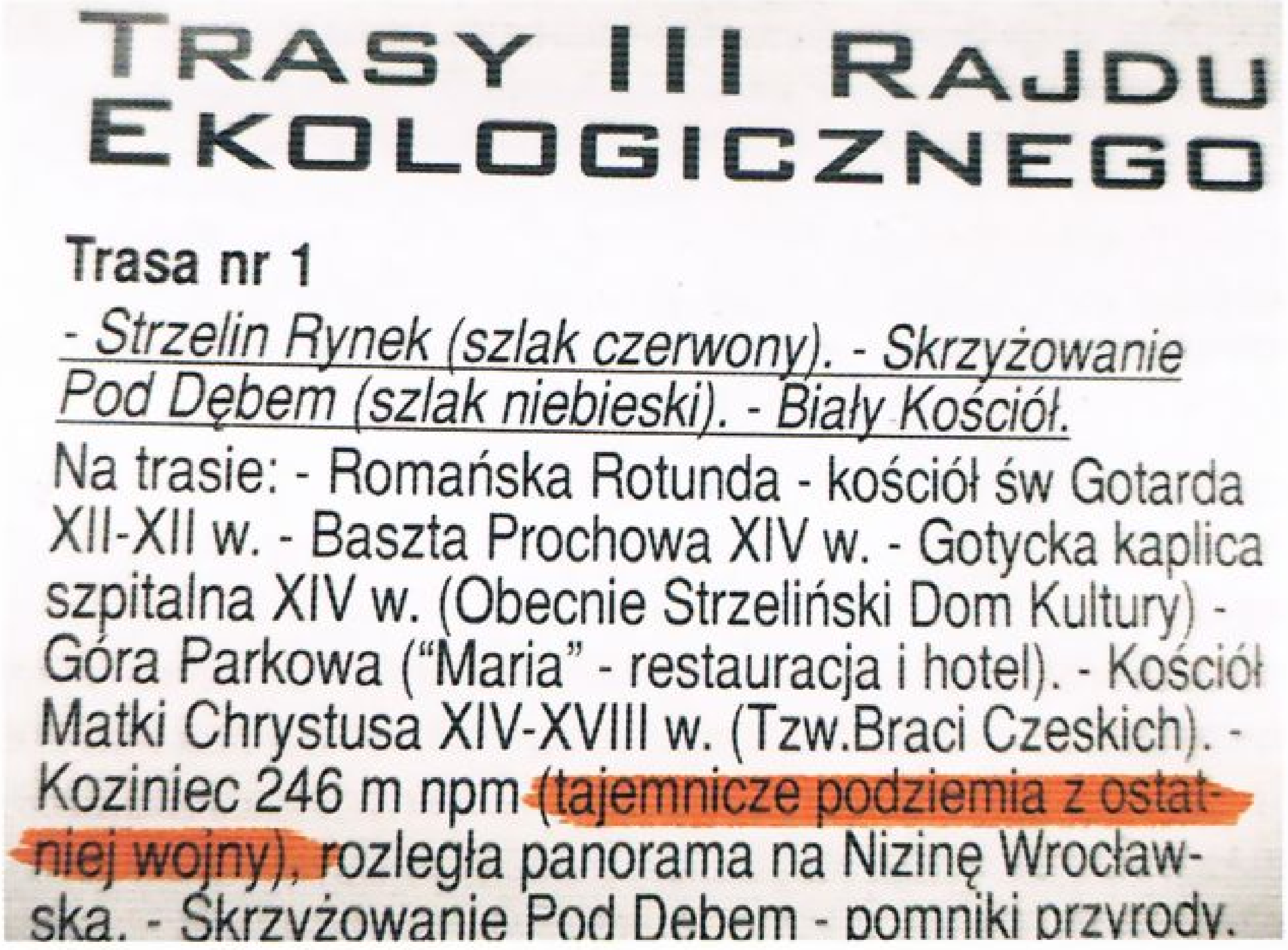

TRASY III RAJDU EKOLOGICZNEGO

Trasa nr 1

- Strzelin Rynek (szlak czerwony). - Skrzyżowanie Pod Dębem (szlak niebieski). - Biały Kościół.

Na trasie: - Romańska Rotunda - kościół św Gotarda XII-XII w. - Baszta Prochowa XIV w. - Gotycka kaplica szpitalna XIV w. (Obecnie Strzeliński Dom Kultury) - Góra Parkowa ("Maria" - restauracja i hotel). - Kościół Matki Chrystusa XIV-XVIII w. (Tzw.Braci Czeskich). - Koziniec 246 m npm (tajemnicze podziemia z ostatniej wojny), rozległa panorama na Nizinę Wrocławską. - Skrzyżowanie Pod Dębem - pomniki przyrody.

Elektryzująca notatka z informacją o „tajemniczych podziemiach" na Kozińcu dołączona do folderu z rajdu.

Lapidarium przy świątyni w Białym Kościele – kilka zachowanych płyt nagrobnych z XVII i XVIII w. wewnątrz muru cmentarnego od strony zachodniej.

Kościół Najświętszej Marii Panny w Białym Kościele.

Widok na „Wzgórze Hangarowe" z południowego zbocza Kozińca.

eksplodowała[1], niszcząc dokumentnie zabytkową świątynię.[2] Kościół stał w ruinie aż do lat 80. XX w. (40 lat!), kiedy to postanowiono go odbudować. Prace wykonywane wg projektu nieżyjącego już wybitnego architekta i konserwatora zabytków, profesora Politechniki Wrocławskiej, Jerzego Rozpędowskiego (1929-2012), trwały od 1984 do 1994 r. Dziś świątynia może cieszyć oko nielicznych turystów, którzy odwiedzają Biały Kościół, a wieża przyciąga wzrok, choćby pasażerów przejeżdżających nieopodal pociągów.

Obszedłem świątynię i po zrobieniu serii zdjęć, kontynuowałem wędrówkę – już tylko żółtym szlakiem. Wkrótce opuściłem asfaltową szosę i pomaszerowałem wzdłuż zalewu, przy którym rozłożył się ośrodek wypoczynkowy. Oczywiście o tej porze roku był on nieczynny. Minąłem puste budynki i zagłębiłem się w las. Ścieżka wiodła po nadbrzeżnym wale. Po prawej stronie miałem wieś Gębczyce. Namacalnym śladem jej obecności były widoczne za drzewami zabudowania dawnego folwarku i pałacu. Po krótkim odcinku na otwartej przestrzeni szlak ponownie zagłębił się w las, który skrywał kamieniołom granitu. Po małych zawirowaniach orientacyjnych (brak znaków) obrałem właściwy kierunek, i obchodząc kamieniołom, coraz głębiej wchodziłem w lasy porastające Wzgórza Strzelińskie.

Następną atrakcją na mojej trasie były dwa jeziorka, w miejscu dawnego kamieniołomu marmuru, i widoczne nieopodal nich dwa wapienniki. Po krótkim marszu przez podmokły teren dotarłem do lokalnej szosy, którą wkrótce opuściłem, by leśną drogą dotrzeć do zielonego szlaku. Ten, po ok. 20 minutach wędrówki, doprowadził mnie do Skrzyżowania pod Dębem – ważnego węzła szlaków, przy którym stoi wiata, wystawiona przez Towarzystwo Wzgórz Strzelińskich, w której postanowiłem odpocząć. Dalej ruszyłem na północ czerwonym szlakiem. Do wzgórza Koziniec pozostawało zaledwie nieco ponad 3 km.

Relikty budynku (hangaru?) na „Wzgórzu Hangarowym".

Po przykrytej niewielką warstwą zmrożonego śniegu leśnej drodze maszerowało się bardzo dobrze i szybko, toteż już wkrótce z leśnego skrzyżowania, na kulminacji niewielkiego wzniesienia, ujrzałem w oddali wieżę strzelińskiego ratusza. Z tego miejsca droga opadała łagodnie aż do leśniczówki Gościęcice, przy której zrobiłem zwrot w lewo. Pomimo że Koziniec był położony nieco dalej, chciałem najpierw wspiąć się na niewysokie, bezimienne wzgórze zlokalizowane na południe od głównego punktu wyprawy, gdyż na mapie, którą się posługiwałem podczas opisywanej wędrówki, zaznaczona była „ruina hangarów lotniczych".

Słonko świeciło jakby było już przedwiośnie a nie zima, gdy podchodziłem drogą wśród łąk wschodnim stokiem „Wzgórza Hangarowego". Wszedłem w las, po chwili znalazłem się na polance, znów w lesie, i oto z kulminacji ujrzałem na wprost w oddali masyw Ślęży, a po prawej stronie południowy stok Kozińca, od którego oddzielała mnie dolina „anonimowego" potoku. Szedłem dalej drogą i wypatrywałem po lewej stronie śladów hangarów. Spostrzegłem dość szeroką ścieżkę, w którą skręciłem, i wkrótce stanąłem przed słupami jakiejś budowli. Czy był to hangar, czy nie, nie wiem (nie jestem specjalistą od budowy hangarów), ale taka budowla w środku lasu nie mogła się tam znaleźć przypadkowo.

Później, już po wyprawie, doczytałem w internecie, że w tym miejscu funkcjonowało „za Niemca" lotnisko szybowcowe, gdzie m.in. szkolili się członkowie Hitlerjugend.

Obszedłem całą budowlę, którą otaczał gęsty las iglasty, zrobiłem kilka zdjęć. Ponieważ na mapie wyraźnie była mowa

W tym miejscu na Kozińcu stał maszt radiostacji…

A to jedna z jego betonowych podpór.

o „hangarach", rozglądałem się po okolicy, szukając kolejnych reliktów podobnych budowli, ale gęsty las skutecznie to utrudniał. W końcu, mając do dyspozycji ograniczony czas i w perspektywie szukanie podziemi na sąsiednim Kozińcu, dałem za wygraną, wróciłem na drogę, którą tam przyszedłem i cofnąłem się nią kawałek w stronę leśniczówki. Na łąkach skręciłem w lewo i na przełaj podążyłem w stronę Kozińca.

Dość szybko dotarłem do doliny potoku oddzielającego oba wzgórza. Szukając dogodnego miejsca do przeprawy przez potok, zauważyłem w zboczu „Wzgórza Szybowcowego" coś jakby występ zbudowany z kamieni – na kształt przyczółka mostu. Zastanawiałem się, cóż to może być. Może element niezbędny do startu szybowców?

Po przeskoczeniu przez potok, rozpocząłem wspinaczkę na południowe zbocze Kozińca. Mimo że był to środek kalendarzowej zimy, różnych chaszczy było całkiem sporo. Ograniczało to niestety widoczność i możliwość penetracji stoku wzgórza, a przecież nie wiedziałem dokładnie, gdzie mam szukać owych „tajemniczych podziemi" z rajdowego folderu (równie dobrze mogły być po drugiej stronie Kozińca). Wyszedłem wreszcie z lasu na dużą polanę, którą zajmowało pole. Wędrując w lewo, dotarłem do pasa drzew rozdzielającego tę polanę od sąsiedniej. Tam, na myśliwskiej ambonie, zrobiłem krótką przerwę. Narada samego ze sobą doprowadziła mnie do wniosku, żeby iść po prostu na szczyt Kozińca. Wiedziałem, że podczas wojny była tam radiostacja Luftwaffe (Funksendezentrale). Po odpoczynku ruszyłem więc w stronę nieodległego wierzchołka, na który dość szybko trafiłem. Moim oczom, poza reliktami owej radiostacji, ukazało się też niestety mnóstwo śmieci…

Stosunkowo łatwo zlokalizowałem ruiny budynku radiostacji. Ich stan wskazywał na to, że budowlę wysadzono w powietrze (zapewne zrobili to sami Niemcy). Porozrzucane kawałki budowli porastał mech. W pobliżu – po drugiej stronie biegnącej przez kulminację Kozińca drogi – ujrzałem kilka betonowych podpór, na których stał maszt radiostacji. I nic więcej. Ani śladu podziemi! Drogą więc, za znakami szlaku rowerowego, zszedłem

Ruiny budynku radiostacji.

Kamienny stół sądowy obok wieży ratuszowej w Strzelinie – jeden z dwu zachowanych do dziś na Dolnym Śląsku tego typu pomników dawnego prawa (drugi znajduje się w Kochanowie, pow. kamiennogórski).

ze wzgórza do wsi Gościęcice Średnie (mijając wyrobisko dawnego kamieniołomu granitu) i czerwonym szlakiem, przez Górę Szańcową (208 m n.p.m.), dotarłem do Strzelina. Tam chciałem wejść na stojącą w rynku wieżę ratuszową (jakiś czas temu przywróconą do postaci sprzed 1945 r.), ale z kartki przy drzwiach dowiedziałem się jedynie, że jest ona czynna: „w wybranych dniach, w wybrane godziny" (a jakie są owe wybrane dni i wybrane godziny, tego już niestety nie napisano, podobnie jak do kogo można by się zwrócić z takim zapytaniem). Po bezskutecznym poszukiwaniu na rynku księgarni, w której miałem zamiar nabyć widokówki ze Strzelinem i wysłać je znajomym, udałem się na miejscową pocztę, gdzie oczywiście kartek ze Strzelinem nie mieli (no bo niby po co turystom w dobie MMS-ów widokówki?). Z poczty już tylko przysłowiowych parę kroków dzieliło mnie od strzelińskiego dworca PKS, z którego odjechałem autobusem do Wrocławia.

Wycieczka dobiegła końca. Co nie znaczy, że zakończyło się moje zainteresowanie tajemniczymi podziemiami. Sprawa Kozińca nie była dla mnie zamknięta! Byłem święcie przekonany, że podziemia tam są i na mnie czekają. Trzeba tylko zlokalizować wejścia! Planowałem więc skrzyknąć ekipę znajomych, i w ramach kolejnej włóczęgi po Wzgórzach Strzelińskich przeszukać „tyralierą" wzgórze ze wszystkich stron. Los sprawił, że nie było to konieczne…

Dwa dni po opisanej wyprawie siedziałem z dwójką znajomych w jednej z licznych na wrocławskim Starym Mieście knajpek. Obaj żywo interesują się sprawami historii – jeden jest zawodowym historykiem (z tytułem doktora), drugi – z wykształcenia archeologiem. Rozmawialiśmy na wiele tematów, w tym oczywiście także tych, dotyczących przeszłości. W pewnym momencie rozmowa zdryfowała w stronę mojej niedawnej ekspedycji na Koziniec. I wówczas nastąpiło nieoczekiwane rozstrzygnięcie…

Okazało się, że brat „pana doktora" interesuje się m.in. niemiecką siecią radiolokacyjną z okresu II wojny światowej na terenie Polski i był… na Kozińcu. Dzięki temu dowiedziałem się, że oprócz radiostacji na interesującym mnie wzgórzu, funkcjonowała też podczas wojny radiolatarnia Luftwaffe i że podziemia we wzgórzu istnieją! Owymi podziemiami jest dawny zbiornik na paliwo, związany z działalnością radiostacji. Wejście do tegoż zbiornika zostało zamurowane, gdyż mieści się w nim obecnie mogilnik (czyli składowisko niebezpiecznych substancji – np.

REKLAMA

Technikum nr 5 im. Jana Kilińskiego i Zasadnicza Szkoła Zawodowa nr 5 im. Jana Kilińskiego w Zespole Szkół Zawodowych nr 5 we Wrocławiu

zapraszają uczniów szkół ponadgimnazjalnych do udziału w ogólnopolskim konkursie poświęconym Janowi Kilińskiemu

„Zwykli ludzie wielkimi bohaterami".

Konkurs odbędzie się w 3 kategoriach: literackiej, muzyczno-literackiej na wiersz lub piosenkę o Janie Kilińskim oraz plastycznej.

Patronat honorowy nad konkursem objęli:
Prezes Związku Rzemiosła Polskiego
Dolnośląski Kurator Oświaty we Wrocławiu
Dyrektor Wydziału Edukacji we Wrocławiu
Prezes Dolnośląskiej Izby Rzemieślniczej we Wrocławiu
Komendant Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych im. Gen. Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu
Patronat medialny:
„Nowiny Rzemieślnicze" – biuletyn Dolnośląskiej Izby Rzemieślniczej
„Odkrywca" – miesięcznik wydawany przez Instytut badań Historycznych i Krajoznawczych sp. z o.o.

Sponsorami konkursu są:
Cech Rzemiosł Budowlanych we Wrocławiu
Cech Rzemiosł Różnych we Wrocławiu
Departament Edukacji we Wrocławiu
Dolnośląska Izba Rzemieślnicza we Wrocławiu
Dolnośląski Cech Piekarzy i Cukierników we Wrocławiu
Dolnośląski Cech Rzemiosł Metalowych i Motoryzacyjnych we Wrocławiu
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych sp. z o. o. we Wrocławiu
Zespół Szkół Zawodowych nr 5 we Wrocławiu

Termin nadsyłania prac do 15 kwietnia 2015 r. na adres e-mail: **konkurs.kilinski@wp.pl** oraz drogą pocztową: **50-527 Wrocław, ul. Jana Wł. Dawida 5**. Na kopercie prosimy umieścić hasło: **Konkurs „Zwykli ludzie wielkimi bohaterami"** oraz podać kategorię.
Informacje na temat konkursu można uzyskać na stronie szkoły **http://www.zsz5wroclaw.home.pl** lub pisząc na adres: **konkurs.kilinski@wp.pl** oraz pod numerem telefonu **71 367 39 33** (Zofia Kawecka).

Ogłoszenie wyników i nagrody:
Ogłoszenie wyników nastąpi do **1 czerwca 2015 r.** W każdej z kategorii jury wyłoni trzech najlepszych uczestników, dla których ufundowane zostaną dyplomy i nagrody rzeczowe. Dyplomy otrzymają również opiekunowie nagrodzonych uczniów. Szkoła, z której uczniowie zostaną nagrodzeni we wszystkich kategoriach, otrzyma puchar dyrektora Zespołu Szkół Zawodowych nr 5.

PATRONAT MEDIALNY
ODKRYWCA

Za tymi zamurowanymi drzwiami kryją się „tajemnicze podziemia" na Kozińcu.

Dawne wyrobisko granitu w północno-wschodnim zboczu Kozińca.

Odbudowana wieża ratusza na strzelińskim rynku.

przeterminowanych środków ochrony roślin). To zamurowane wejście widziałem, a nawet zrobiłem mu zdjęcie, nie wiedząc, że to odpowiedź na moje pytanie sprzed 17 lat...

Zagadka „tajemniczych podziemi" się zatem rozwiązała. Czy więc czas poświęcony na jej wyjaśnienie był stracony? Ależ skąd! Urządziłem sobie spacer po urokliwych terenach, liznąłem znów trochę żywej historii (może nie tego „kalibru", jakiego by się pragnęło, ale zawsze) i uwolniłem mózg od jednej z powracających natarczywie myśli o „tajemnicach historii". A jako pocieszenie dla wszystkich czytelników, którzy poczuli się zawiedzeni takim finałem sprawy, podrzucę kolejny temat.

Otóż w trakcie pisania tego artykułu odwiedziłem m.in. osobę, która uczestniczyła w odbywających się od kilku lat, co roku w sezonie letnim, wykopaliskach archeologicznych na Gromniku – najwyższym szczycie Wzgórz Strzelińskich (393 m n.p.m.). W średniowieczu stał tam zamek, którego oczywiście nie ma już na powierzchni ziemi od kilku wieków. Tam też latem „dłubią" archeolodzy. Ów uczestnik wykopalisk, o którym wspomniałem, opowiedział mi, że na początku tych prac (bodaj 2010 r., ale głowy za tę datę nie dam) przychodzili tam okoliczni mieszkańcy i opowiadali m.in. o tunelach, które ciągnęły się z Gromnika niemal we wszystkie możliwe strony. Jeden z nich miał np. łączyć wzgórze z wioską Przeworno (bagatela – 6 km w linii prostej!), a inny ze Strzelinem (ponad 10 km w linii prostej). No i sprawa schroniska na szczycie, które też zostało wysadzone w powietrze pod koniec II wojny światowej[3], rzekomo w związku z ukrytymi tam skarbami. Tak więc jeśli macie ochotę wyjaśnić te sprawy...

A tak poważnie, to Wzgórza Strzelińskie naprawdę warto odwiedzić! Są to świetne tereny do niezbyt męczących wędrówek. Dojechać jest tam łatwo (nawet, jeśli nie dysponuje się samochodem), a wiele miejsc jest godnych uwagi, jak choćby wieś Henryków z zachowanym dawnym klasztorem cystersów, w którym powstała słynna Księga Henrykowska (zapisano w niej pierwsze zdanie w języku polskim). Obszar ten na pewno skrywa jeszcze jakieś tajemnice z przeszłości – i to nie tego rodzaju, co „tajemnicze podziemia" na Kozińcu. Wystarczy się tam zjawić.

Przypisy:

[1] Według jednej z wersji wydarzeń wycofując się w maju '45 w stronę Czech niemieccy żołnierze celowo wysadzili w powietrze skład.

[2] Panuje na ogół opinia, że Niemcy to wyjątkowo kulturalny naród. Jeśli więc mieszkańcy tego kraju oburzają się na niszczenie w wyniku alianckich bombardowań w latach II wojny światowej ich dziedzictwa kulturowego, to może warto dla równowagi przypomnieć, co sami Niemcy potrafili robić ze swymi zabytkami u schyłku istnienia III Rzeszy. Wybranym przykładem niechaj będzie wrocławska katedra (zabytek klasy 0!), w której podczas oblężenia Festung Breslau Niemcy ulokowali skład amunicji (tyle, że znacznie większy niż w świątyni w Białym Kościele). Gdy więc w Matkę Dolnośląskich Kościołów podczas wielkiego nalotu na Wrocław w Wielkanoc 1945 r. trafiła radziecka bomba, katedra dosłownie wyleciała w powietrze! Siła tej straszliwej eksplozji była tak potężna, że z wież pospadały katedralne dzwony. Tak wyglądał „Zmierzch bogów"...

[3] Swoją drogą – eksplozje i wysadzane w powietrze obiekty mogłyby stanowić motyw przewodni opisywanej wędrówki!

Paweł Kukurowski

Wrocławski historyk. Interesuje go wojenna przeszłość Śląska, działania militarne w górach na przestrzeni wieków, walki niemieckich jednostek na froncie wschodnim podczas I wojny światowej oraz historia alpinizmu. Członek honorowy Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium" oraz członek Stowarzyszenia Aktywnej Ochrony Cmentarzy z I wojny światowej w Galicji „Crux Galiciae". W wolnych chwilach zapalony turysta górski.

Wojna od kuchni (cz. 2)

Kultowe napoje gazowane po obu stronach frontu, czyli Coca-Cola kontra Afri-Cola

TOMASZ BIENEK

Coca-Cola to jeden z symboli amerykańskiego stylu życia i globalna ikona kultury masowej XX wieku. Zarejestrowana oficjalnie w 1893 roku, zafunkcjonowała w przestrzeni publicznej jako symbol szczęścia, radości i przyjaźni – i tak była reklamowana. Dzięki sprawnym zabiegom marketingowym stała się hitem. Jednak w latach II wojny światowej Coca-Cola odegrała ważną rolę nie tylko jako element zaopatrzenia walczących oddziałów alianckich, ale także jako jeden z filarów amerykańskiej propagandy wojennej.

Coca-Cola to jest to!

Można zaryzykować tezę, iż jeden z najpopularniejszych napojów orzeźwiających świata jest dzieckiem amerykańskiej wojny secesyjnej (1861-1865) – wojny domowej między północnymi a południowymi stanami USA. Ten najbardziej krwawy konflikt w historii USA pochłonął wiele ofiar. Jednak mimo licznych badań i publikacji na ten temat, ich liczba nie jest do końca potwierdzona.

Problem z policzeniem żołnierzy, którzy polegli podczas czteroletnich walk wynika z faktu, że ani Unia, ani Konfederacja nie prowadziły szczegółowych statystyk. Dotychczas uważano, że w wojnie domowej poległo około 620 tys. żołnierzy. Większość z nich straciła życie poza polem bitwy – zmarli w wyniku chorób i odniesionych ran. Ci, którym udało się przeżyć, wrócili psychicznie okaleczeni. Wyniszczeni, z zaburzeniami nerwowo-lękowymi weterani, byli grupą, do której próbowali dotrzeć zarówno farmaceuci, jak i zwykli szarlatani – ze swoimi wynalazkami. W sprzedaży pojawiały się więc „kojące mikstury" i „cudowne eliksiry" pomocne we wszelkich dolegliwościach, w najlepszym wypadku neutralne dla organizmu, czasem zaś, niestety, będące truciznami. Polecano „lecznicze" napoje będące często mieszankami alkoholu, kofeiny, morfiny lub innych narkotyków, zwłaszcza wynalezionej w 1855 roku kokainy, którą ówczesna medycyna zalecała przy leczeniu uzależnienia od opium.

W 1886 roku aptekarz z Atlanty, John Pemberton, opracował syrop z koki, orzeszków kola i cukru, który dolewano do wody sodowej. Napój sprzedawano jako lekarstwo na schorzenia układu nerwowego. Początkowa jego nazwa: Pemberton's French Wine Coca, wkrótce zamieniona została na Coca-Colę – od dwóch głównych składników. Od 1899 roku Coca-Cola była dostępna w całych Stanach Zjednoczonych w sprzedaży butelkowej, w tym samym mniej więcej czasie zredukowano do minimum ilość kofeiny w napoju i zaczęto sprzedawać go jako napój orzeźwiający, by uniknąć wyższego opodatkowania, które objęło handel lekami.

Gdy japońskie bomby i torpedy spadały na amerykańskie okręty w Pearl Harbor, na czele koncernu Coca-Cola stał Robert Woodruff. Ponieważ napój zdążył już podbić serca Amerykanów, w celu podniesienia morale, musiał towarzyszyć amerykańskim oddziałom wszędzie tam, gdzie miały one zostać wysłane. Woodruff zobowiązał się, że każdy ame-

Napój, który pomógł wygrać wojnę. Butelka amerykańskiej wojskowej Coca-Coli z białego szkła, produkcja z 1943 roku. Prezentowany na zdjęciu egzemplarz odnaleziony został na Alasce, i mógł być świadkiem amerykańsko-sowieckich spotkań przy przekazywaniu samolotów radzieckiemu sojusznikowi. Wojskowe butelki Coca-Coli nie mają żadnych oznaczeń na dnie. Data produkcji, podobnie jak w przypadku butelek cywilnych, umieszczona jest z boku.

Amerykańskie butelki Coca-Coli z 1943 (z kapslem) oraz z 1944 roku, obie z charakterystycznego błękitnego szkła. Butelka o tym właśnie kształcie opatentowana została w 1915 roku. Choć błękitne butelki Coca-Coli pochodzą z produkcji przeznaczonej na cywilny rynek, te akurat egzemplarze mają za sobą wojenną przeszłość – oba wykopano na pobojowiskach we Francji.

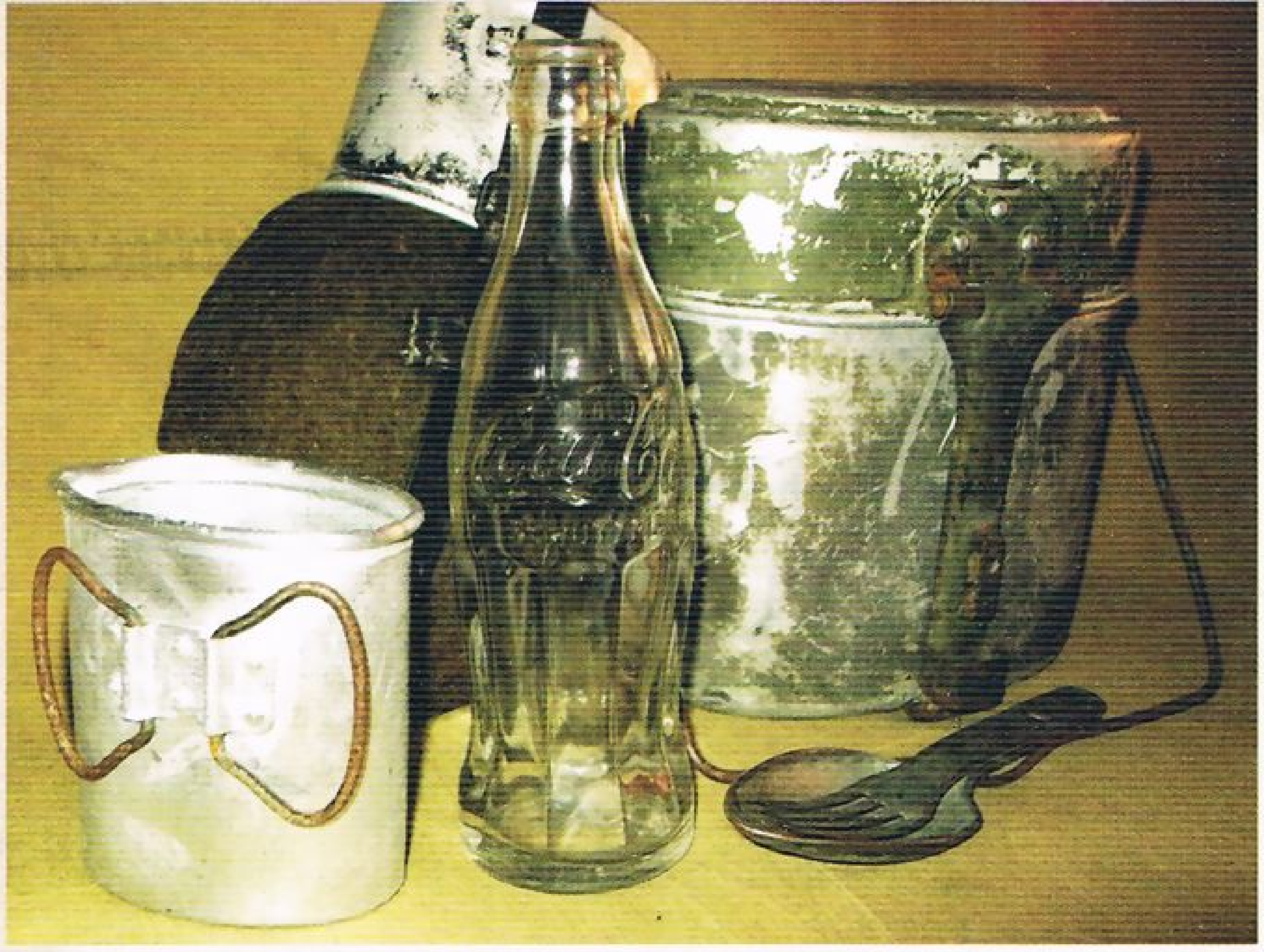

Kapsel Coca-Coli z hitlerowskich Niemiec – egzemplarz z rozlewni w Kędzierzynie Koźlu. Niemieckie kapsle nie miały markowego logo, identyczne stosowano zarówno do Coca-Coli, jak i do Fanty.

Coca-Cola była pita na froncie także przez Niemców. Butelka z 1936 roku sygnowana jest „Coca-Cola Schutzmarke", oraz na dnie: „Ruhrglas 36 0,2 l Dd".

Po obu stronach frontu – niemiecka (z lewej) i amerykańska butelka Coca-Coli; obie datowane na 1939 rok.

Coca-Cola jest dobra na wszystko…

Choć koncern Coca-Cola zapewnił każdemu amerykańskiemu żołnierzowi butelkę pojemności 0,2 litra za 5 centów, na europejskim, czarnym rynku płacono za nią nawet 40 dolarów, co stwarzało żołnierzom tyłowych służb US Army możliwość równie szybkich, co nielegalnych zysków. W znanym, wojennym filmie Michaela Baya „Pearl Harbor" z 2001 r. pielęgniarka US Navy, grana przez Kate Backinsale, używa pustej butelki po Coca-Coli jako… pojemnika do transfuzji krwi. Podobno podczas wojny rzeczywiście zdarzały się przypadki wykorzystania butelek w takiej roli. Wielkimi amatorami Coca-Coli byli generałowie: Douglas MacArthur i Dwight Eisenhower. Po wybuchu wojny rząd amerykański uznał Coca-Colę za produkt strategiczny i nie nałożył na koncern racjonowania cukru. Podczas bitwy w Ardenach amerykański kapelan, z powodu braku wina, użył Coca-Coli jako wina mszalnego, a córka Churchilla w trakcie wodowania okrętu Royal Navy użyła Coca-Coli zamiast butelki szampana.

rykański żołnierz dostanie butelkę Coca-Coli w cenie 5 centów, niezależnie od kosztów produkcji i transportu, oraz szerokości geograficznej, na jakiej się znajdzie. Koncern dotrzymał słowa.

Legendarny napój pito na pierwszej linii frontu i na tyłach. Był dostępny wszędzie tam, gdzie walczyli Amerykanie. Sprzedawano go w stołówkach i kantynach, na pokładach okrętów i w szpitalach, na lotniskach i w bazach wojskowych. Szacuje się, iż amerykańska armia w latach 1941-1945 otrzymała ok. 5 miliardów butelek Coca-Coli. *„Butelka Coca-Coli nie była tylko sposobem na ugaszenie pragnienia, ale urosła do rangi jednego z kultowych elementów wyposażenia żołnierza US Army, podobnie jak zapalniczka Zippo czy papierosy »Lucky Strike«. Paradoksalnie to właśnie II wojna światowa spowodowała taką ekspansję gazowanego napoju, że stał się on symbolem amerykańskiej »way of life«".*

Wojskowe butelki Coca-Coli łatwo odróżnić od cywilnych – wykonywano je z białego szkła, podczas gdy „cywilną" Coca-Colę w USA rozlewano do butelek ze szkła błękitnego. Oprócz butelkowanej Coca-Coli w wojsku pojawiły się jej dystrybutory. Początkowo armia zamówiła ich sto, wkrótce jednak zamówienia wzrosły. Żołnierze nazywali te urządzenia „jungle-fountain". Ich konstrukcja umożliwiała transport dystrybutora wraz z kostkarką do lodu na samochodzie. Nad jakością dystrybucji Coca-Coli na froncie czuwał zespół 148 specjalistów, przysłanych przez koncern. Jego członkowie nosili mundury oficerów US Army. Wszędzie tam, gdzie się pojawiali, wzbudzali uzasadniony, powszechny entuzjazm. Oficjalnie zespół Coca-Coli nosił miano „Technical Observers", we frontowym żargonie nazywano ich „pułkownikami Coca-Coli". Dwóch z nich poniosło śmierć w działaniach wojennych.

Rozmach z jakim Coca-Cola Company zaangażowała się w wojnę, robi wrażenie do dzisiaj, i jest przykładem potęgi amerykańskiej gospodarki. W 1945 roku koncern posiadał już 64 fabryki na świecie, opanowując 95 proc. światowego rynku. Wkrótce po lądowaniu aliantów w Afryce Północnej, w zajętym

Fanta miała w III Rzeszy dobre przyjęcie. Stojąca butelka z białego szkła, datowana jest na 1940 rok. Druga butelka, z niebieskiego szkła, nosi sygnatury „0,25 l 41". Logo i czcionka różnią się znacznie od powojennej Fanty.

Oranie zorganizowano pracującą na potrzeby frontu rozlewnię Coca-Coli, która miała zaopatrywać ten teatr działań wojennych. Podczas walk z Japończykami w dżungli, zakapslowane butelki Coca--Coli traktowano jak awaryjny zapas płynu – gdyż zdobycie wolnej od zarazków wody było utrudnione.

Wielkiej operacji dostarczania Coca-Coli na front towarzyszyła kampania propagandowa. Jako że charakterystyczny napój stał się nieodłącznym symbolem amerykańskiego żołnierza, Coca-Colę przedstawiano na propagandowych plakatach i ilustracjach w amerykańskich pismach, jako symbol wolności i zjednoczenia całego wolnego świata w walce z Niemcami, Japonią oraz ich sojusznikami. Plakaty przedstawiające Amerykanów pijących Coca-Colę, np. z radzieckimi pilotami odbierającymi amerykańskie samoloty na Alasce, były jednocześnie reklamą napoju, przyczyniając się do jeszcze większego wzrostu popularności „koli". Kolorowe pisma amerykańskie z czasów wojny pełne są grafik przedstawiających żołnierzy US Army częstujących Coca-Colą zarówno wyzwolonych Europejczyków, jak i tubylców z plemion zamieszkujących wyspy Pacyfiku.

Auf Wiedersehen, Coca-Cola! Koniec „koli" w III Rzeszy – unikatowa, jedna z ostatnich butelek Coca-Coli wyprodukowana w hitlerowskich Niemczech już podczas wojny, datowana na 1940 rok. W tym z kolei egzemplarzu pod logiem widnieje napis: „Brauselimonade mit nat. Frucht- u. Krauteraroma".

Niemiecka Fanta(zja)

Znacznie krótsze, ale bardziej skomplikowane – i mniej znane – są losy Coca-Coli po drugiej stronie frontu, tymczasem w III Rzeszy była ona powszechnie dostępna i cieszyła się sporą popularnością.

Coca-Cola pojawiła się w Niemczech w 1929 roku. Przed wybuchem II wojny światowej w Niemczech sprzedawano rocznie ok. 5 milionów butelek Coca--Coli, wyprodukowanej w 43 fabrykach na terenie Niemiec. Koncern był jednym ze sponsorów berlińskiej olimpiady w 1936 roku. Ekstrakt dostarczano ze Stanów Zjednoczonych, a niemiecka filia koncernu, Coca-Cola GmbH, zajmowała się rozlewaniem i dystrybucją napoju. Nie przerwano współpracy mimo wybuchu wojny w Europie. Źródło zaczęło wysychać w okolicach 1940 roku, a gdy III Rzesza i USA znalazły się w stanie wojny, Amerykanie całkiem zakręcili kurek. Szefem niemieckiej filii koncernu był w tym czasie Max Keith. Gdy skończyły się dostawy koncentratu, odcięta od centrali firma zdana była już tylko na pomysłowość swojego kierownictwa. Tak pojawiła się w hitlerowskich Niemczech Fanta.

W powszechnej świadomości napój ten, będący obecnie jednym z głównych filarów imperium Coca-Coli, jest powojennym wynalazkiem firmy. Rzeczywistość jest jednak dość zaskakująca. Fanta powstała właśnie w sercu pogrążonej w wojnie i zmagającej się z coraz większym niedoborem surowców III Rzeszy, jako ersatz Coca-Coli. Nazwa miała być skrótem od niemieckiego słowa „fantasie", czyli po prostu fantazja. I rzeczywiście, wojennemu zarządowi Coca-Cola GmbH fantazji odmówić nie można.

„Fanta Brauselimonade mit Fruchtgeschmack", podobnie jak dzisiejsza Fanta, była gazowanym napojem pomarańczowym, a na rynku mogła zaistnieć dzięki sojuszowi III Rzeszy z faszystowskimi Włochami. To właśnie stamtąd sprowadzano pomarańczowy koncentrat, z którego produkowa-

Butelka po naśladującej Coca-Colę podróbce Is-Coli. Z lewej dla porównania, nietypowa butelka niemieckiej Coca-Coli z 1935 roku. Sygnatura producenta – „Ruhrglas 35" umieszczona jest z boku, jak w butelkach amerykańskich, a nie na dnie, jak w zdecydowanej większości butelek niemieckich. Inny jest też napis pod logiem Coca-Cola (Name ges. Gesch.). Napisy na Is-Coli: „Brauselimonade mit Kräuter u. Fruchtgeschmack 0,25 l".

Duża, przedwojenna reklama sklepowa niemieckiej Coca-Coli wraz z drewnianą skrzynką na 24 butelki – z tego samego okresu. Skrzynka sygnowana jest napisem „Eigentum Coca-Cola GmbH".

no Fantę. To jedna z wersji. Według innych relacji Fantę produkowano z jabłek lub z odpadów i wytłoczyn po produktach owocowych. Tak naprawdę trudno jednoznacznie potwierdzić, lub zanegować, którąkolwiek z wersji. Opinie na ten temat są sprzeczne, nawet w opracowaniach na jakie natrafiłem, a kwestia koncentratu mgliście zarysowana. Niewykluczone, że wszystkie te opinie są prawdziwe, być może inny był skład hitlerowskiej Fanty w 1940, a inny w 1943... Jakby nie było, nowy napój szybko zdobył uznanie. Reklamował go „Die Wehrmacht", czołowy organ prasowy niemieckiej armii i inne militarne magazyny. Atutem Fanty był skład – pomimo wojennych ograniczeń, do produkcji napoju używano prawdziwego cukru. Dlatego też gospodynie domowe, borykające się z rosnącą reglamentacją podstawowych produktów spożywczych, chętnie wykupywały Fantę, by używać jej, jako składnika, przy zaprawianiu kompotów i innych przetworów wymagających konserwujących właściwości cukru – towaru deficytowego w czasie wojny.

Kariera „ersatzu Coca-Coli" trwała tak długo, jak niemiecko-włoskie przymierze. Gdy pod koniec 1943 roku wojska aliantów wylądowały na Półwyspie Apenińskim, a Włochy wycofały się z wojny, trudno było pozyskiwać koncentrat z pomarańczy. Wobec braku podstawowego składnika, produkcja Fanty zamarła, co potwierdzają daty na znajdowanych butelkach po tym napoju – najpóźniejsze z nich datowane są na rok 1943. *„Po wojnie Coca-Cola ponownie uruchomiła produkcję swoich napojów w Niemczech, przy wydatnej pomocy słynnego boksera Maxa Schmelinga* [podczas wojny służył w Wehrmachcie jako spadochroniarz – przyp. T. B.], *który był twarzą koncernu w Niemczech. Co do Fanty, to w 1960 r. Coca-Cola włączyła ją do koncernu, rozpoczynając sprzedaż w Stanach Zjednoczonych. Do dzisiaj napój ten jest sprzedawany w 180 krajach w zawrotnej ilości 70 smaków"*.

Butelka starego typu po oranżadzie Sinalco – zatykana porcelanowym kapslem na zatrzask. Na butelce logo sprzed 1937 roku – z napisem Sinalco wpisanym w krzyż. Butelka pochodzi z Żagania.

Wykopana w rejonie lotniska w Grodkowie butelka po włoskiej oranżadzie, być może protoplaście Fanty (co sugeruje podobny kształt butelki). Napisy na butelce: „Saga Agretta Milano".

Butelka Sinalco znaleziona w przykoszarowym wysypisku śmieci. Butelka jest sygnowana: „Sinalco Brauselimonade mit Fruchtaroma", a na dnie: „0,25 l Da ges. gesch. 871". Logo przedstawiające kieliszek na tle okręgu wprowadzono w 1937 roku.

Afri-Cola... do wyboru, do koloru

Zanim niemiecka Coca-Cola umarła śmiercią naturalną, musiała walczyć o rynek z potężnym i groźnym rywalem: Afri-Colą. Nazwa była skrótem handlowym od „Afrikanische Cola-Bohne". Napój ten pojawił się w Niemczech w roku 1931. Produkowała go firma F. Blumhoffer Nachfolger GmbH, i stanowił on niemiecką odpowiedź na amerykańską Coca-Colę. Firma wypuściła też na rynek pomarańczowy napój o nazwie Bluna.

Po dojściu do władzy Hitlera i postępującej militaryzacji Niemiec, w oficjalnych kampaniach reklamowych zaczęto lansować Afri-Colę jako prawdziwie niemiecki, narodowo-socjalistyczny napój. Szef Afri-Coli, Karl Flach, rozpętał w 1936 roku antysemicką nagonkę, przedstawiając Coca-Colę, jako produkt koncernu znajdującego się w rękach Żydów, którego nie przystoi pić Aryjczykom. Wątpliwe jest, aby biznesmen ten wierzył w nazistowskie brednie, jednak w bezwzględnej korporacyjnej walce o rynek, każdy argument był dobry, a czas sprzyjał takim oskarżeniom, które padały na podatny grunt. Koniec końców Niemcy Coca-Coli pić nie przestali, a hasło: „Trink Coca-Cola eiskalt" (pij Coca-Colę zmrożoną) stawało się coraz popularniejsze, dzięki wdrażaniu w sklepach elektrycznych chłodziarek tego napoju. O wielkiej popularności Coca-Coli świadczyły też jej podróbki, tańsze, ale mające przypominać oryginał zarówno smakiem, nazwą, jak i opakowaniem, np. produkowana w jednym z dolnośląskich browarów Is-Cola.

Losy wojny dopomogły jednak Afri-Coli. Gdy z handlu znikała już Coca-Cola, sukcesy niemieckiego Afrika Korps w Afryce Północnej, z lubością nagłaśniane

„Napój Afrika Korps" – owiana pustynną legendą Rommla Afri-Cola. Butelka z 1941 roku.

Coca-Cola to jest to!

W Polsce pierwszy raz Coca-Cola zagościła na stoisku amerykańskim podczas Międzynarodowych Targów Poznańskich w 1957 roku. Po podpisaniu umowy o współpracy z The Coca-Cola Company, 19 VII 1972 r., w Warszawskich Zakładach Piwowarskich, ruszyła pierwsza linia rozlewnicza Coca-Coli – z dostarczonego do Polski koncentratu. Pierwsze 7 mln szklanych opakowań sprowadzono aż z Hiszpanii. Gdy karmelowy napój zadebiutował w sklepach, w pierwszym dniu sprzedaży, w warszawskim Supersamie i Sezamie, w ciągu jednej godziny klienci kupili aż 5760 butelek Coca-Coli. Jak donosiło „Życie Warszawy" z 1976 r., cena 1 litrowej butelki Coca-Coli wynosiła 19 zł, zaś kaucja 8 zł. W momencie wejścia na rynek polski, Coca-Cola ogłosiła konkurs na hasło reklamowe. Zwyciężyła go Agnieszka Osiecka hasłem „Coca-Cola to jest to!". Co ciekawe, pokonała nawet Melchiora Wańkowicza, który także wystartował w tym konkursie.

Wehrmacht i Coca-Cola. Oficerowie z żołnierzami – a w tle reklama „Koli".

przez propagandę, zbiegały się z większymi obrotami producenta Afri-Coli. O tak korzystnym podobieństwie fonetycznym terminów „Afrika Korps" i „Afri-Cola", mogli by pomarzyć dzisiejsi spece od reklamy. Marketingowy sukces wiążący zwycięstwa Rommla i sprzedaż Afri-Coli, w szczątkowej formie trwa do dziś – w kolekcjonerskim środowisku, zwłaszcza w USA, oryginalne butelki po tym napoju często określane są jako „napój Afrika Korps". Trudno dziwić się takiej sławie, skoro powiązań można znaleźć więcej; podobno projektanci godła Afrika Korps – swastyki na tle palmy – oparli się właśnie na firmowym znaku Afri-Coli – pochylonej, pojedynczej palmie tłoczonej w szkle. Trudno stwierdzić, ile jest w tym prawdy, jednak wizerunek palmy na butelkach Afri-Coli rzeczywiście przypomina symbol korpusu generała Rommla.

Pisząc o czołowych napojach gazowanych III Rzeszy, nie sposób nie wspomnieć o oranżadzie Sinalco. Napój ten, opatentowany w 1902 roku przez Friedricha Eduarda Blitza, początkowo nosił nazwę „Blitz Brause" i był pierwszym tego typu w Europie. Nazwę szybko zmieniono na Sinalco, od skrótu łacińskich wyrazów „sine alcohole", czyli „bezalkoholowy". W latach 30. napój ten masowo eksportowano do krajów Ameryki Południowej oraz na Bliski Wschód. W III Rzeszy Sinalco dorównywało popularnością zarówno Coca-Coli jak i Afri-Coli, ciesząc się uznaniem zarówno żołnierzy, jak i cywilów.

Gdyby nie wybuch wojny, z całą pewnością Coca-Cola zagościłaby w polskich sklepach. Ożywiona wymiana handlowa, która trwała między Polską a Niemcami, doprowadziłaby do tego w naturalny sposób, tym bardziej, że podobno kierownictwo Coca-Cola GmbH miało szerokie plany związane z polskim rynkiem… Podobno.

PREZENTOWANE EKSPONATY I ZDJĘCIA DOKUMENTALNE: KOLEKCJE TOMASZA BIENKA, DANIELA BIENKA.

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

Literatura:

1. J. Pool, T. Bock, „Rations of the German Wehrmacht in World War II", seria: Shiffer Military History, 2010
2. J. Pool, „Rations of the German Wehrmacht in World War II", vol. 2, seria: Shiffer Military History, 2012
3. A. Saiz, „Deutsche Soldaten", Vesper, 2009
4. H-P. Enjames, „GI Collector's Guide: Army Service Forces Catalog, U.S. Army European Theater of Operations", vol. I , Histoire & Collections, 2009
5. H-P. Enjames, „GI Collector's Guide: Army Service Forces Catalog, U.S. Army European Theater of Operations, vol. II, Histoire & Collections, 2008
6. J. Hernandez, „Zaskakujące historie z drugiej wojny światowej", Bellona 2007

Tomasz Piotr Bienek

Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914-1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzy, polskich gór i polskiego morza, z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w „Odkrywcy". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „Ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

zdarzyło się…

23 IV 1985 r.

30 lat temu koncern Coca-Cola poniósł wielką, spektakularną porażkę marketingową. W grudniu 1984 r., niemal 100 lat po powstaniu Coca-Coli, podjęto decyzję o „uśmierceniu" starego smaku" i wprowadzeniu na rynek słodszej wersji Coli – nowego produktu pod nazwą „New Coke". Przyczyną był spadek popularności Coca-Coli (lata 80.) głównie na rzecz Pepsi. W celu wzmocnienia pozycji legendarnego napoju, Coca-Cola próbowała już wszystkiego: masowych reklam, agresywnego marketingu, dużych upustów, totalnej dystrybucji. Trendu jednak nie udało się odwrócić. Mimo dość obiecującego początku „New Coke" bardzo szybko poniosła porażkę. Setki tysięcy telefonów i listów od konsumentów oraz dystrybutorów błagających o powrót „stare Coli" poskutkowało. W niespełna 3 miesiące po premierze, 10 lipca, przywrócona została oryginalna, „stara, dobra" Coca-Cola (początkowo pod nazwą Coca-Cola Classic), a z większości rynków szybko wycofano nowy produkt. Na konferencji prasowej potwierdzającej ten fakt, prezes Coca-Coli Roberto Goizueta oświadczył: „Usłyszeliśmy Was"…

Legendarna broń biała (cz. 1)

खुकुरी – Kukri

PIOTR GALIK

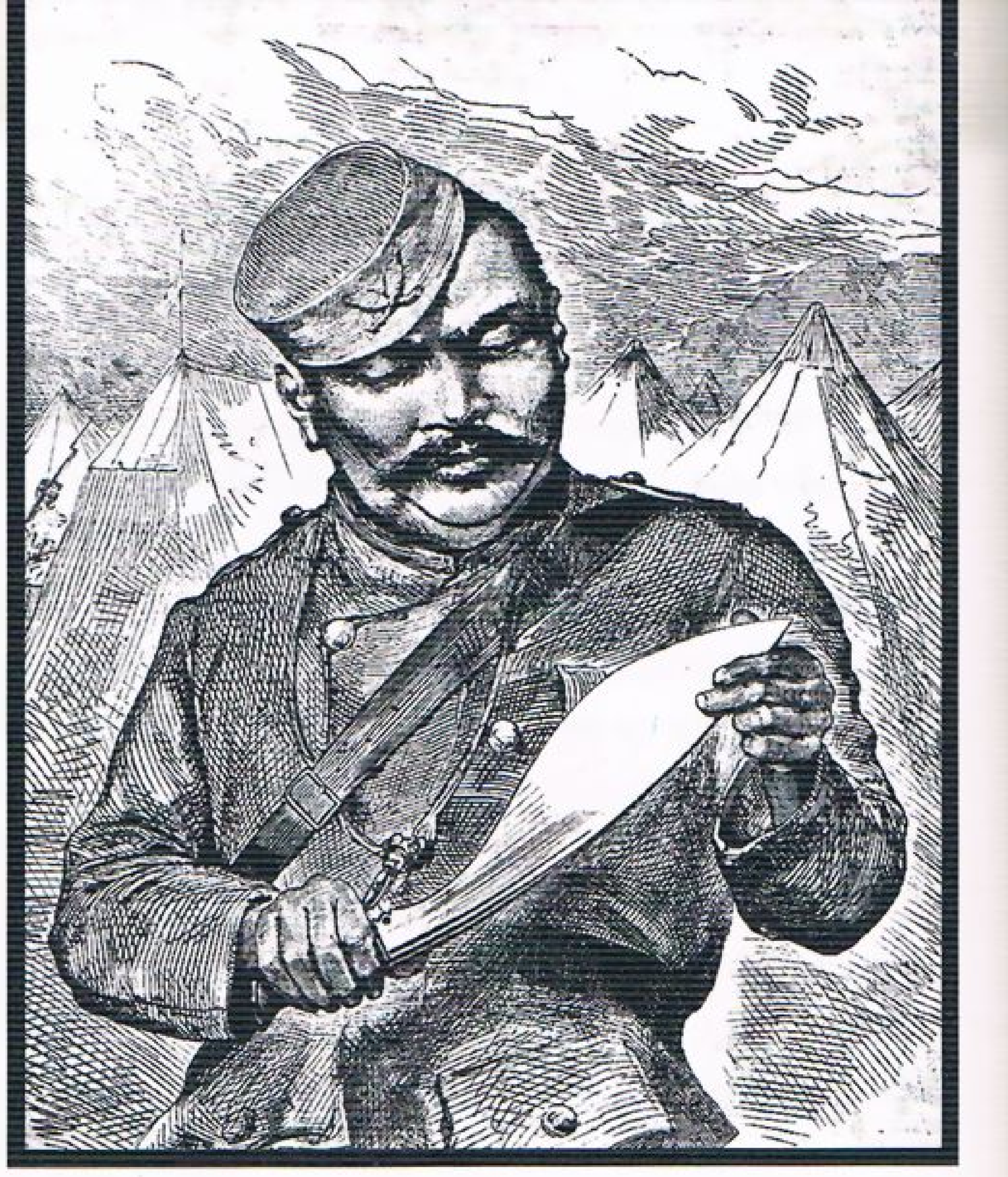

Nepalscy górale od niepamiętnych czasów słynęli z waleczności i nieustępliwości w obronie swojej himalajskiej ojczyzny. Używany przez nich nóż bojowy khukurī, znany szerzej pod zeuropeizowaną nazwą kukri, który zyskał światową sławę za sprawą Brytyjczyków, stał się najbardziej rozpoznawalnym symbolem Gurkhów – żołnierzy, przez wielu uznawanych za najlepszych na świecie...

Z „dachu świata" do hrabstwa Kent

Gurkhowie, wojowniczy mieszkańcy Himalajów, swoją nazwę i poczucie odrębności zawdzięczają hinduskiemu uczonemu i filozofowi z VIII wieku, znanemu jako Gorakhnath. Jego uczniowie i zwolennicy, wywodzący się z wyższych kast hinduskich, podbili część Nepalu i utworzyli tam odrębne państwo, dając początek nowemu narodowi. Według tradycji, wynalazcą broni o nazwie khukurī był sam guru Gorakhnath. Miecz o niespotykanym, sierpowatym kształcie, wręczony przez niego księciu Bappa Rawal, założycielowi dynastii Mewar władającej państwem Gurkhów, miał posłużyć do odparcia muzułmańskich najeźdźców, zagrażających hinduistycznym wspólnotom wyznaniowym regionu himalajskiego. Gurkhowie, uzbrojeni przez swojego mistrza duchowego, zdołali pokonać napastników i zapewnić sobie tysiąc lat spokoju, gdyż żadna armia nie odważyła się już wkroczyć na ich terytorium, które w wieku XVIII obejmowało niemal cały obszar współczesnego Nepalu.

Dopiero na początku następnego stulecia, gdy w wyniku ekspansji kolonialnej na „dachu świata" pojawili się Brytyjczycy, suwerenność królestwa Gurkhów dobiegła końca.

Podczas zaciętych bojów toczonych w latach 1814-1816, nowocześnie uzbrojone i wyszkolone oddziały Kompanii Wschodnioindyjskiej opanowały bogaty i strategicznie ważny region himalajski, lecz desperacja jego obrońców wzbudziła autentyczny podziw Europejczyków. Na służbę brytyjską przyjęto wówczas oddział Gurkhów, którzy utworzyli The Sirmoor Battalion, zalążek późniejszych, sławnych regimentów Gurkha Rifles. Wojowniczy Nepalczycy zyskali wkrótce sławę najbardziej lojalnych najemników Londynu, bez sentymentów gromiąc inne hinduskie nacje w kolejnych wojnach z Mahrattami i Sikhami oraz podczas tłumienia wielkiego powstania antybrytyjskiego w Indiach (1857-1858). Po reformach armii kolonialnej w drugiej połowie XIX wieku pod sztandarami Imperium Brytyjskiego służyło 11 pułków strzelców nepalskich, w których europejskie etaty oficerskie cieszyły się ogromnym prestiżem, a szeregowi Gurkhowie cieszyli się zasłużonym uznaniem jako najlepsi piechurzy wieloetnicznych sił zbrojnych królowej Wiktorii.

Pierwsi Gurkhowie w służbie brytyjskiej – 1815, oprócz noży kukri uzbrojeni byli także w szable.

W wieku XX żołnierze Gurkha Rifles wsławili się bohaterstwem na frontach obu wojen światowych, imponując pogardą śmierci tak w błotnistych okopach Flandrii czy skałach Apeninów, jak w dżunglach Birmy i pustyniach Libii. Świadectwem opinii, jaką Gurkhowie zyskali u swoich brytyjskich przełożonych są słowa: *„Jeśli ktoś twierdzi, że nie boi się śmierci, to kłamie, chyba że mówi to Gurkha"*...

Oznaki pułkowe oddziałów Gurkhów w służbie brytyjskiej, XX wiek.

Podczas powojennego procesu rozpadu Imperium cztery pułki Gurkhów pozostały na żołdzie królewskim, a pozostałe stały się częścią armii niepodległych Indii i Nepalu. Utworzona wów-

Noże bojowe Gurkhów – także te służbowe – różniły się znacznie wieloma szczegółami. Żołnierze często rozpoczynali karierę militarną z bronią odziedziczoną po przodkach.

czas Brigade of Gurkhas (złożona z regimentów 2., 6., 7. i 10., które zachowały dawne barwy i oznaki), uczestniczyła w wielu konfliktach okresu zimnej wojny i czasów najnowszych, dodając kolejne laury do swojej wojennej sławy. Niezrównane tradycje bojowe nepalskich wojowników kontynuuje utworzony w roku 1994 dwubatalionowy pułk The Royal Gurkha Rifles, którego siedziba mieści się w Shorncliffe Army Camp – bazie wojskowej położonej niedaleko miasta Folkestone w hrabstwie Kent. Pomimo nieuchronnej modernizacji mundurów, wyposażenia i uzbrojenia w ciągu 200 lat służby Koronie, Gurkhowie zachowali prawo zachowania swoich noży bojowych – khukurī także w wieku XXI.

Zgodnie z regulaminem, każdemu żołnierzowi Royal Gurkha Regiment wydawane są dwa egzemplarze tej broni: Service No.1 – czyli paradny i Service No.2 – treningowo-bojowy. Broń ta jest także najczęściej spotykanym elementem graficznym oznak rozpoznawczych oddziałów Gurkhów – tak w Wielkiej Brytanii, jak i w ich azjatyckiej ojczyźnie.

Od starożytnego sierpa do współczesnego kukri

Wbrew romantycznej tradycji, nepalski khukurī nie był wynalazkiem na poły legendarnego „ojca narodu", guru Gorakhnatha. Broń o zbliżonym kształcie znano i używano powszechnie już w epoce starożytnej. Znaleziska archeologiczne oraz źródła ikonograficzne (np. wizerunki na antycznej ceramice) wskazują, że broń o głowni jednosiecznej, asymetrycznej, podobnej do nepalskiego oręża, lecz dłuższej i cięższej, używane były przez wiele nacji, w tym: Greków, Persów, Celtów, Scytów i Egipcjan, pod nazwami: khopesh, xiphos, kopis, machaira czy falcata. Mimo dostrzegalnych detali, różnicujących wymienione odmiany broni, zasadniczą cechą wspólną tej klasy oręża była jej optymalizacja do zadawania ran ciętych. Podobnie jak w przypadku maczety, kształt i wyważenie głowni sprzyjało zadawaniu głębokich, długich ran, powodujących ciężkie urazy połączone z krwotokami wywołanymi przecięciem głównych naczyń krwionośnych. Rzecz jasna, broń sieczna sprawdzała się znacznie lepiej podczas walki z przeciwnikiem niechronionym zbroją. Opancerzony nieprzyjaciel mógł być skuteczniej rażony bronią dostosowaną do pchnięcia, penetrującą łatwiej słabsze punkty zbroi lub miejsca niechronione. Z tego powodu antyczne pierwowzory kukri chętniej były wybierane przez piechotę, najczęściej walczącą ze słabo opancerzonymi oddziałami przeciwnika.

Historycy broni białej zwracają uwagę na pokrewieństwo konstrukcyjne machairy, xiphosa itp. do pierwotnego sierpa, a zatem narzędzia rolniczego raczej, niż broni myśliwskiej. Wydaje się zatem, że broń będąca antycznym pierwowzorem kukri była rodzajem „sierpa bojowego", typowego raczej dla ludów osiadłych, rolniczych, niż koczowników prowadzących łowiecko-pasterski tryb życia. Trudno jednak ustalić, czy na tereny północnych Indii broń, będąca wzorem dla noży kukri, trafiła wraz z oddziałami Aleksandra Macedońskiego, którego wojska powszechnie używały asymetrycznych mieczy w typie machairy, czy też oręż taki powstał w wyniku ewolucji sierpa, równolegle do podobnego procesu w basenie Morza Śródziemnego. Niezależnie od pochodzenia, asymetryczny nóż khukurī przez stulecia pełnił rolę broni, ale także – a może przede wszystkim – narzędzia codziennej pracy, łącząc w rękach górali nepalskich role maczety, noża kuchennego i myśliwskiego. W swojej klasycznej formie przypominał także o wierności wyznawanej religii, gdyż nieodłącznym elementem głowni był symbol hinduistyczny, wkomponowany w zakończenie ostrza przy rękojeści.

Kukri bojowy, w postaci zbliżonej do współczesnej, ukształtował się w czasach poprzedzających inwazję brytyjską. Broń osiągała przeciętnie długość ok. 16-18 cali (40-45 cm), przy czym długość głowni wahała się pomiędzy 10 a 13 cali (ok. 25-30 cm), a maksymalna szerokość osiągała zwykle ok. 5-6 cm. Europejczycy zwracali przy tym uwagę na fakt, że rękojeść kukri wydawała się im dość niewygodna – była ona dostosowana do anatomii przeciętnego Nepalczyka o znacznie drobniejszej budowie ciała, w tym i dłoni. Rzecz warta podkreślenia, że z upływem czasu „kontraktowe" (czyli wykonywane na użytek wojskowy, zgodne z regulaminem) noże nepalskie – przy zachowaniu ogólnej długości – uległy zauważalnej zmianie proporcji: ostrze skróciło się kosztem wydłużenia rękojeści. Oprócz towarzyszącej wzrostowi dobrobytu zmiany przeciętnego wzrostu i szerokości dłoni Nepalczyków,

W XIX w. i wcześniej często spotykane były noże kukri z rękojeściami naśladującymi indyjskie szable talwar.

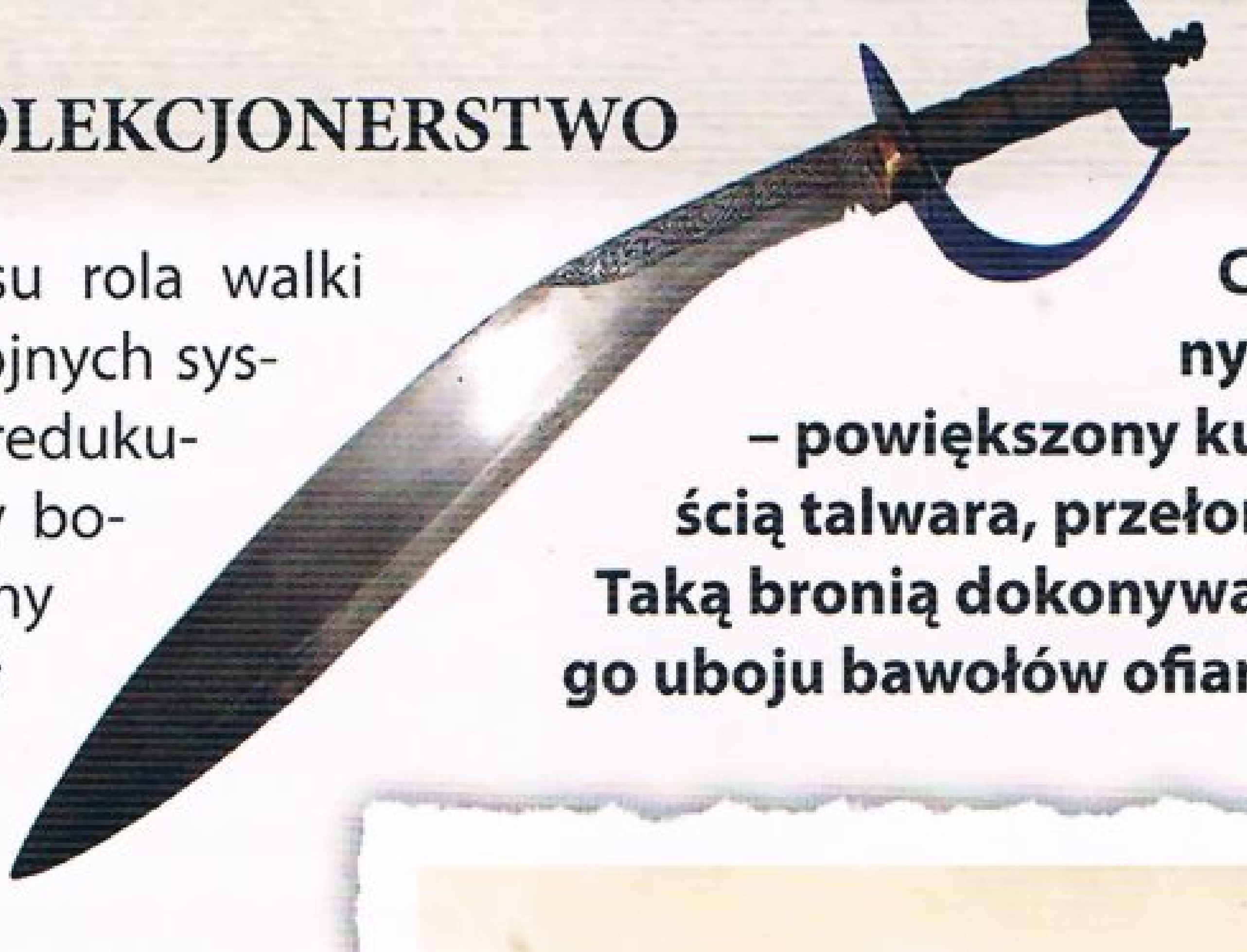

Ceremonialny miecz kora – powiększony kukri z rękojeścią talwara, przełom XIX i XX w. Taką bronią dokonywano rytualnego uboju bawołów ofiarnych.

w miarę upływu czasu rola walki wręcz w starciach zbrojnych systematycznie malała, redukując rzeczywiste walory bojowe noża. Współczesny wojskowy kukri stał się więc bliższy swojej cywilnej, „gospodarskiej" odmianie – lżejszej i mniejszej od dawnych egzemplarzy bojowych.

Pomimo oczywistej marginalizacji roli noży bojowych w czasach „inteligentnych pocisków" i dronów, żołnierze oddziałów Gurkhów wciąż trenują walkę przy użyciu swojej narodowej broni, a że nie jest to jedynie martwa tradycja, wskazuje zdarzenie z roku 2010. Weteran jednego z indyjskich regimentów Gurkhów, uzbrojony jedynie w swój khukurī, stawił czoła kilkudziesięciu bandytom podczas napadu na pociąg, którym podróżował. Waleczny Nepalczyk zabił 3 z nich, zranił 8, a pozostałych przestępców zmusił do ucieczki. Bilans starcia zaskakujący, nawet, jeśli uwzględni się różnicę kwalifikacji amatorów i profesjonalisty...

Żołnierz jednego z regimentów Gurkha podczas ćwiczeń walki nożem kukri. Kształt i wyważenie broni pozwalały na zadanie przeciwnikowi śmiertelnych obrażeń jednym, zamaszystym cięciem...

Należy dodać, że oprócz „osobistego" noża Gurkhów, w Nepalu i Indiach używane są – zazwyczaj dla celów liturgicznych i ceremonialnych – znacznie większe wersje kukri, znane jako kora. Ich długie (ponad 50 cm) i ciężkie (ok. 2 kg) głownie pozwalają wprawnym kapłanom... na odcięcie głowy ofiarnemu bawołowi jednym ciosem. Trudno o bardziej dosadny dowód zasadności tak osobliwego – z punktu widzenia zachodniej broni białej – ukształtowania ostrza tej nepalskiej broni narodowej.

Jak powstaje kukri, czyli anatomia oręża

Według odwiecznej tradycji, wykonywaniem nepalskich noży bojowych trudnili się rzemieślnicy należący do kasty kami. Dawniej największym problemem kowali było zdobycie odpowiedniej stali, pozwalającej na wykucie wytrzymałej głowni. Współcześnie, jako źródło materiału do wyrobu khukurī, wykorzystywane są najczęściej resory z zawieszenia ciężarówek i autobusów. Stal sprężynowa pochodząca z XX-wiecznych hut pozwala wykonawcom uzyskać wysoką jakość noży, które po zahartowaniu można zaostrzyć tak, że z łatwością zastępują brzytwę do golenia...

Głownia noży nepalskich wykuwana jest z trzpieniem krótszym niż rękojeść, którą łączy się z głownią za pomocą żywicy laha (laka). W egzemplarzach bojowych, z powodów praktycznych, coraz częściej wykonywany jest trzpień o długości pozwalającej na zakucie jego końcówki po założeniu okładziny rękojeści, co daje w efekcie bardzo solidne i trwałe połączenie. Rękojeść kukri wykonywana jest zwykle z drewna, rogu bawolego lub kości, rzadziej z metalu, często z lekkiego i podatnego do obróbki zdobniczej aluminium. Kształt okładziny, formowanej zwyczajowo z wystającym pierścieniem wokół rękojeści i rozszerzoną głowicą, ułatwia pewny chwyt nawet spoconą (albo zakrwawioną) dłonią.

Charakterystycznym elementem każdego prawdziwego kukri, jest opatrzone niewielkim, wąskim występem koliste wycięcie w głowni niedaleko chwytu, w miejscu, gdzie kończy się ostrze. Oprócz religijnej symboliki hinduistycznej, element ten, znany jako kaudi lub kaura, pełni funkcję praktyczną – ułatwia odprowadzenie płynów (żywicy, soku roślinnego, krwi...) przed rękojeścią noża. Ostrze szlifowane było od niepamiętnych czasów za pomocą kamiennego koła („brusu") o ręcznym napędzie, przy wykorzystaniu drobnego piasku jako materiału ściernego. W naszych czasach technika ta zastępowana jest coraz częściej wykorzystaniem mechanicznych szlifierek, choć metoda tradycyjna ma wciąż swoich zwolenników. Grzbiet głowni dzieli się na część grubszą, opatrzoną niewielkimi strudzinami oraz bliższą sztychu, cieńszą, zwężającą się ku końcowi, co nadaje broni specyficzny kształt.

Kukri noszony jest w drewnianej pochwie pokrytej zwykle skórą, a niekiedy – w wersjach luksusowych – ozdobnymi tkaninami. Metalowe okucia mogą

Klasyczny „kontraktowy" kukri z pierwszej połowy XX w., egzemplarz sygnowany znakami 8. Gurkha Rifles Regiment.

Kukri w wersji luksusowej – rękojeść z kości słoniowej, ostrze zdobione grawerunkiem, pochwa z bogatymi okuciami. Egzemplarz na ilustracji pochodzi prawdopodobnie z okresu panowania dynastii Mogołów (XVI-XIX w.).

Kukri współczesny, wytwarzany tradycyjnymi technologiami przez emerytowanych żołnierzy nepalskich.

Legenda żyje własnym życiem – współczesne „wariacje na temat kukri" z oferty zachodnich producentów broni białej. Kukri ze stali damasceńskiej to szczególne połączenie azjatyckich tradycji płatnerskich…

Kukri „cywilny" – prawdopodobnie jako element uroczystego stroju dworskiego Królestwa Nepalu. Pochwa zdobiona filigranem i kamieniami szlachetnymi.

mieć charakter bardzo skromny, lecz często przybierają bardziej ozdobne formy. Warto dodać, że pochwy noży kukri powinny być wykonywane przez odrębnych rzemieślników, należących do kasty sarki (kaletników, szewców i garbarzy), o prestiżu społecznym niższym, niż kowale kami.

Kompletny produkt nepalskiego rękodzieła – prawdziwy khukurī, a nie pamiątkowy gadżet dla turystów – powinien być opatrzony jeszcze dwoma dodatkowymi narzędziami wykonanymi tak, by przypominały miniaturki noża: osełką chakmak używaną do ostrzenia i polerowania głowni i krzesania ognia oraz ostrym jak chirurgiczny lancet nożykiem karda, służącym właścicielowi do celów, dla których kukri jest zbyt wielki i ciężki. Komplet dopełnia skórzana sakiewka, w której Gurkhowie w czasach przed upowszechnieniem zapalniczek nosili krzemień.

Najbardziej znanymi w Europie wykonawcami autentycznych khukurī, są emerytowani żołnierze oddziałów Gurkha Rifles, którzy w drugiej połowie ubiegłego wieku założyli w Nepalu spółdzielnie rzemieślnicze i kultywują tradycyjne metody wyrobu tych cenionych i poszukiwanych noży. Ceny ich produktów wydają się być przystępne dla europejskich nabywców. Należy oczywiście wystrzegać się „pseudo-kukri" ze straganów z pamiątkami, które pojawiają się niekiedy na popularnym portalu aukcyjnym np. jako *„oryginalne maczety bojowe słynnych Gurków"* (cytat z jednej z ofert…). Przed laty wykonywane były one masowo w chińskich fabrykach i wiele z nich trafiło także do Polski.

Dla kolekcjonerów największą wartość mają zazwyczaj egzemplarze opatrzone sygnaturami oddziałów bojowych. Wbrew pozorom nie należą one do wyjątkowo rzadkich okazów. Należy pamiętać, że podczas II wojny światowej utworzono ponad 40 batalionów Gurkha Rifles, a w ich szeregach służyło przeszło 350 tys. żołnierzy. Prawdziwymi rarytasami są natomiast egzemplarze z wieku XIX i stuleci wcześniejszych, a zwłaszcza noże opatrzone nietypowymi rękojeściami, wzorowanymi na indyjskich szablach talwar czy kukri paradne, artystycznie zdobione srebrnym filigranem i szlachetnymi kamieniami. To jednak broń dostępna jedynie nielicznym, wyjątkowo zasobnym nabywcom…

Literatura, ilustracje:
1. W. Wilson, „Kukri – Myths and Facts", Military Illustrated 118, s.25-28
2. Z. Żygulski Jr., „Broń starożytna", Warszawa 1998
3. Z. Żygulski Jr.„Broń wschodnia", Warszawa 1986
4. J. B. R. Nicholson, „The Gurkha Rifles", Hong Kong 1974
5. M. Chappel, „The Gurkhas", London 1993
6. M. Sprague, „Kukris and Gurkhas", London 2013

Piotr Galik

Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy" i konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii. Kolekcjoner-falerysta.

zdarzyło się…
30 IV 1946 r.

69 lat temu do Krakowa powróciły dzieła sztuki zrabowane przez Niemców. Pociąg, eskortowany przez amerykańskich żołnierzy, składał się z 26 wagonów. W 10 znajdowały się elementy ołtarza Wita Stwosza (odnaleziony w schronie przeciwlotniczym w Norymberdze). Dzięki staraniom i zaangażowaniu Karola Estreichera w tym czasie do Krakowa powróciły: Kodeks Baltazara Behema, „Dama z gronostajem" Leonarda da Vinci (odnaleziona przez Estreichera w willi Fischhausen w Neuhaus, należącej do Hansa Franka), wawelskie gobeliny, w tym ornat Kmity. Transport jadący przez Pragę, Morawską Ostrawę, (w Zebrzydowicach witany przez władze polskie), Chrzanów i Tunel do Krakowa został owacyjnie przywitany na krakowskim dworcu. Dworzec był udekorowany flagami polskimi i amerykańskimi. Na peronie czekali przedstawiciele władz, świata kultury i nauki, a także archiprezbiter bazyliki mariackiej ks. Ferdynand Machay. Uczestniczący w odzyskiwaniu zagrabionych zabytków Amerykanie zostali odznaczeni orderami Polonia Restituta, a metropolita krakowski kardynał Adam książę Sapieha wysłał do generała Dwighta Eisenhowera telegram z podziękowaniami.

Osiedle Nowe Kursko

– osada przesiedleńców niemieckich z fortyfikacji MRU (1937-1939)

AGNIESZKA I GRZEGORZ URBANEK

Rozbudowa terenowa umocnień, niezależnie od czasu w jakim przyszło je wznosić, była zawsze czynnikiem odciskającym swoje piętno na żyjącej obok społeczności. Przykłady wielu założeń obronnych, zwłaszcza tych budowanych w latach 30. XX wieku na terenie ówczesnych, wschodnich Niemiec, pokazują, że determinacja z jaką dążono do wyzyskania jak najlepszych warunków do obrony, przejawiała się, przynajmniej z początku, ignorowaniem interesu ludzi, których często jedynym źródłem utrzymania było prowadzenie gospodarstwa. Między innymi w strefie Linii Niesłysz-Obra, poprzedzającej budowę Umocnień Łuku Odry i Warty (dzisiejszego Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, dalej: MRU), przebudowywano najpierw sieć cieków wodnych, eksploatowaną dotychczas przez młyny, organizacje rybackie czy spółdzielnie łąkarskie. W miejscach przecięcia się przeszkód hydrotechnicznych z lokalnymi drogami powstawały pierwsze schrony bojowe, w wielu przypadkach ulokowane bezpośrednio na prywatnych posesjach, niedaleko domostw. Sąsiedztwo cywilnych zabudowań sprawiało, że po zakończeniu budowy, demontując parkan grodzący militarną inwestycję przed wzrokiem ciekawskich, odsłaniano niepozornie wyglądające „szopy", „stodoły" i „młyny", zręcznie maskujące żelbetowe schrony. W miejscowościach takich jak: Boryszyn, Staropole, Mostki czy Ołobok, perfekcyjnie wtopnione w wiejską infrastrukturę obiekty, były praktycznie nie do zidentyfikowania. Zdradzić je mogło jedynie sąsiedztwo nijak pasujących do nich masywnych barierek przeciwpancernych, zapór drogowych w postaci betonowych bloków w koronie drogi, montowanych w późniejszym czasie szlabanów kierowanych w poprzek osi jezdnej, ewentualnie selektywna rozbiórka zabudowań stojących naprzeciw linii ogniowej stanowisk bojowych. Prowadzona w ten sposób rozbudowa fortyfikacyjna Linii Niesłysz-Obra miała charakter zaporowy, i w założeniach taktycznych obliczona była na krótkotrwałe zblokowanie sił nieprzyjaciela, mającego nacierać na dogodnych szlakach komunikacyjnych.

Zabudowania Kęszycy rozebrane w trakcie wysiedlania miejscowości podczas budowy MRU. Pocztówka ze zbiorów Heimatkreis Meseritz e.V.

W 1935 roku powstał projekt budowy frontu fortecznego pomiędzy Wartą i Odrą, przy jednoczesnym wchłonięciu Linii Niesłysz-Obra. W zamyśle planistów tak rozumiane umocnienia miały być zdolne do zatrzymania na nieokreślony czas wrogich jednostek, również przy użyciu mobilnych jednostek wspieranych przez lotnictwo, oraz dysponujące rozbudowanym zapleczem logistycznym na zapolu jak i formacjami wyszkolonych rezerwistów.

W 1936 roku na odcinku centralnym MRU rozpoczęła się budowa schronów bojowych oraz realizacja systemu podziemnego, które obejmowały znaczące gospodarczo tereny upraw rolniczych i leśnych. Spodziewając się w tym, jak i wielu innych wypadkach roszczeń ze strony usuwanych właścicieli gruntów, jeszcze w 1935 roku sporządzono dokument regulujący sprawy wywłaszczeniowe wobec ziem nabywanych przez Wehrmacht. Niewiele później powstała instrukcja dla oficerów saperów fortecznych, gdzie znalazły się zapisy zezwalające na prowadzenie działalności gospodarczej w otoczeniu umocnień, do czasu podjęcia ich mobilizacji. Wprawdzie działania te wskazywały na coraz większą atencję, jaką instytucje wojskowe okazywały cywilom, to w przypadku MRU rozmach budowy frontu fortecznego i jego infrastruktury pomocniczej spowodował, że mimo wszystko nie uniknięto zakrojonych na szeroką skalę przesiedleń.

Przesiedlenia na centralnym odcinku MRU zbiegły się z realizacją korytarzy podziemnych, drążonych w gliniasto-piaszczystej ziemi pomiędzy Kęszycą a Boryszynem. Pierwszym symptomem zmian w krajobrazie kulturowym okolic, była likwidacja ok. połowy lat 30. XX wieku

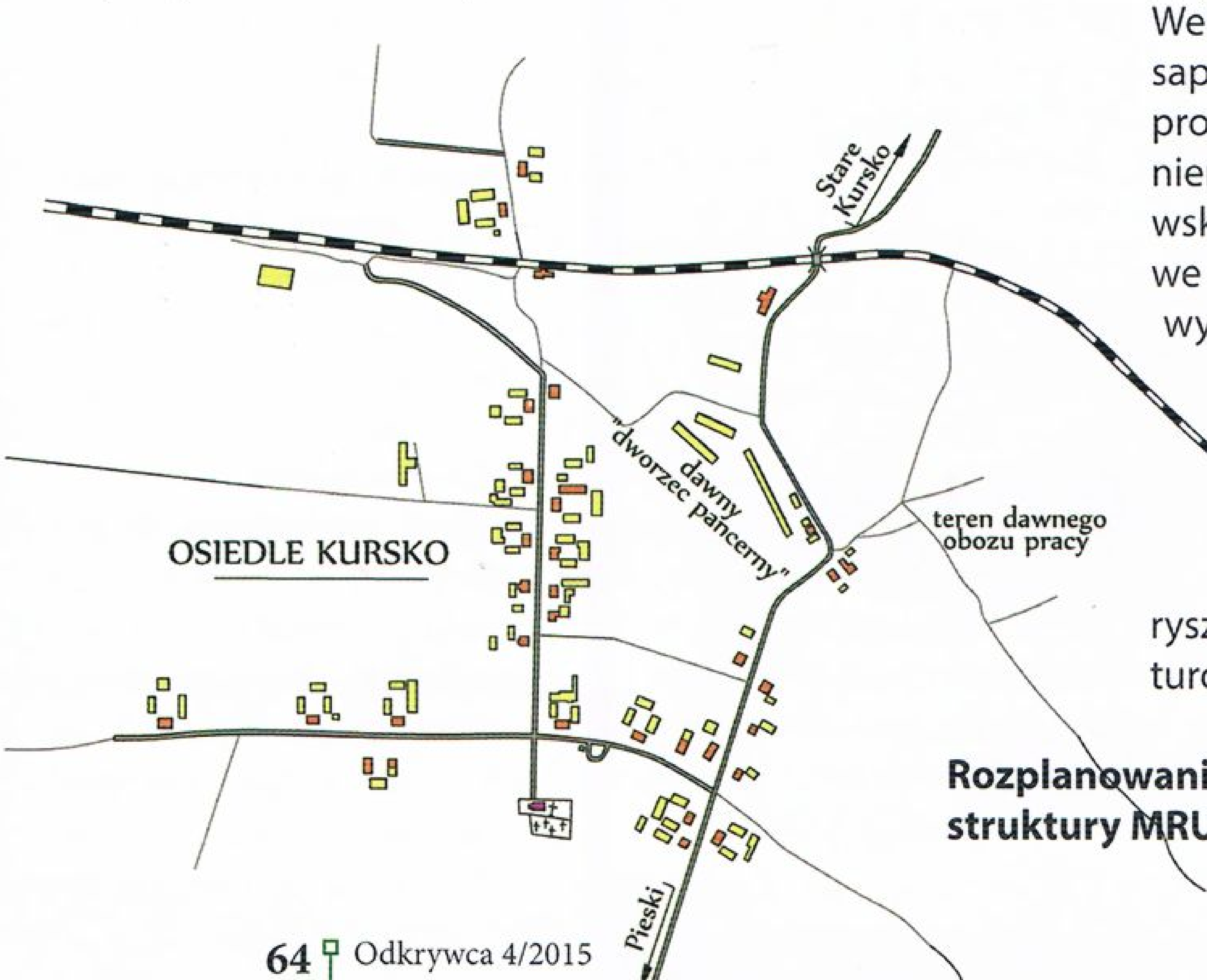

Rozplanowanie osiedla Nowe Kursko z opisanymi elementami infrastruktury MRU. Rys. G. Urbanek.

Widok ogólny na dawny kościół ewangelicki (obecnie katolicki). Fot. G. Urbanek

sanatorium „Charlottenhof" pod Nietoperkiem, skutkująca rozebraniem do fundamentów dworku z XIX wieku, którego mury tworzyły martwe pole dla stanowisk bojowych, wznoszonych nieopodal w późniejszym czasie. Pozostawiono jedynie park krajobrazowy, który z biegiem czasu zdziczał i został zdewastowany po 1945 roku przez polską ludność napływową.

Ten sam problem dotyczył zabudowy w pobliskiej Kęszycy. Miejscowość – przecięta dosłownie linią umocnień – posadowiona była na wyniosłości dominującej nad okolicą, co nie mogło ujść uwadze niemieckich planistów. Przewidując budowę schronów w granicach miejscowości, w tym również stanowisk artyleryjskich, po połowie lat 30. rozpoczęto wysiedlenia i zdecydowano o rozbiórce większości domów. Pozostawiono natomiast kościoły: katolicki o konstrukcji ryglowej z XVII wieku, z dobudowaną w XIX wieku neogotycką wieżą, oraz kościół (zbór) ewangelicki, wzniesiony w 1934 roku w stylu modernistycznym według projektu pilskiego architekta Hellmutha Bräunera (po 1945 roku rozebrany).

Sygnaturka na wieży kościelnej z datą „1939". Fot. G. Urbanek

Podobnie jak Kęszyca, również i Kursko stało na tzw. głównej linii walki, a więc w strefie, gdzie według niemieckich strategów miał ostatecznie załamać się opór broniących fortyfikacji. Przez to, aż do wybuchu II wojny światowej, miejscowa zabudowa została częściowo przerzedzona, lecz cały czas zwlekano z rozbiórką najcenniejszego zabytku miejscowości, XIX-wiecznego pałacu, dzięki czemu ostatecznie ocalał. W ramach rekompensaty przesiedleńcom przysługiwało nowe gospodarstwo (dom, zabudowania gospodarcze) i wynegocjowany areał pola uprawnego; znane też były przypadki przydzielenia pieniądzy na materiał siewny. Problemem mogła się okazać klasa bonitacyjna przyznanych ziem, z których część urodzajnych zajęło już wojsko. Jednak Towarzystwo Przesiedleńcze Rzeszy (Reichsumsiedlungsgesselschaft) w Międzyrzeczu, mając pełnomocnictwo Inspekcji Umocnień w kwestii wysiedleń, starało się negocjować tereny atrakcyjne rolniczo, przyczyniając się do zakładania nowych osiedli, dosłownie dzielących przysłowiową miedzę z placami budów schronów bojowych.

Pierwsze niewielkie osiedle z domami dla dziesięciu rodzin utworzono na terenie państwowej pruskiej domeny w Gościkowie (wówczas Paradies), powstałej już w 1834 roku po kasacie miejscowego klasztoru cystersów. Równie cenne ziemie czekały na zagospodarowanie pomiędzy Pieskami a Kurskiem, zaledwie 1,5 km za linią umocnień i późniejszymi obiektami grupy warownej „Schill". W ten sposób w szczerym polu powstała kolejna osada o prostym i funkcjonalnym układzie przestrzennym, stając się wówczas przysiółkiem pobliskiego Kurska, a współcześnie tworząc odrebną wieś – Nowe Kursko.

Pierwszy plan sporządzony w 1937 roku dla Urzędu Budownictwa Melioracyjnego w Gorzowie Wlkp. (Landsberg/Warthe), przedstawia rozplanowanie kurskiego osiedla w kształcie odwróconej litery „T", w której oś północ-południe biegła równolegle z szosą powiatową (Kreisstraße) Pieski-Goruńsko. Dzięki temu udało się odseparować pierwsze oddane do użytku domostwa od natężonego w tym czasie ruchu kołowego, mającego związek z transportem materiałów na potrzeby fortyfikacji. W miarę postępującego wysiedlania, do przesiedlonych rolników pochodzących z gwarectw Kęszyca i Wysoka, dołączyć mieli kolejni, którym wybudowano gospodarstwa już w bliskości szosy powiatowej. Przeważającą większość społeczności nowego osiedla stanowili ewangelicy, którzy jeszcze do 1939 roku korzystali z istniejącego nieopodal kościoła w Kursku.

Dopiero na przełomie lat 1938-39 na wydłużeniu osi północ-południe wybudowano nową świątynię (zbór), murowaną z cegły i otynkowaną. Wprawdzie nie posiada imponujących rozmiarów, to jednak poprzez umiejscowienie na sztucznie usypanym wzniesieniu, stanowi ona element dominujący w zabudowie Nowego Kurska. Kościół jest budowlą orientowaną bez cech stylowych, co w pewien sposób zostało zrekompensowane kombinacją zestawionych ze sobą autonomicznych brył: wieży dzwonnej, kruchty, tworzącej salę nawy, oraz zakrystii. Ponadto całość nieco urozmaica jeszcze drewniana opaska podokapowa oraz okulusy występujące w partii wieży i kruchty; o czasie powstania kościoła przypomina umieszczona na wieży sygnaturka, opatrzona datą „1939". Z podobnego czasu pochodzi wyposażenie liturgiczne, takie jak chrzcielnica, skromny prospekt organowy. Teren wokół świątyni wydzielono kutym ogrodzeniem z ozdobną, dwuskrzydłową furtą.

Przykłady zabudowy mieszkaniowej i gospodarczej osiedla Nowe Kursko. Fot. G. Urbanek

Wytyczając gospodarstwa, kierowano się zasadą utrzymania podobnych proporcji oraz wysokości zabudowań. Podwórza były niemal zawsze zamknięte od strony ulicy budynkami mieszkalnymi, niejednorodnymi w kwestii użytego budulca. Występują tu domy w całości murowane, jak również murowane w dolnej partii, z częścią górną o konstrukcji ryglowej lub oszalowaną prostymi, pionowymi deskami i szczytami szalowanymi „w jodełkę". Co ciekawe, przesiedleńcom od razu dano możliwość wprowadzenia się do budownictwa „pod klucz". Wówczas określenie to miało zupełnie inne niż dziś znaczenie – w przypadku kurskiego przysiółka oznaczało ono wykonanie jakże potrzebnego centralnego wodociągu oraz podciągnięcie energii elektrycznej. Ponadto wybrukowano dwie główne osie komunikacyjne, wysadzając lipami ich pobocza, jak i aleję biegnącą do kościoła.

Bliskość dobrych ziem uprawnych oraz nowe zabudowania wydawały się być odpowiednią rekompensatą i gwarancją szybkiego odnalezienia się przesiedleńców w nowej rzeczywistości, przy czym sprawy militarne i tu zaczęły coraz bardziej dochodzić do głosu. W trakcie translokacji mieszkańców Wysokiej i Kęszycy doszło do wymiany uwag między Urzędem Nabywania Gruntów (Reichstelle für Landesbeschaffung) a Oddziałem Kwatermistrzostwa i Poligonów Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych (Abt. Unterkunfte und Truppenübungsplatze, Oberkommando des Heeres). Niewiele brakowało, by przesiedlenie nie doszło do skutku, gdyż dowództwo III Korpusu Armijnego miało upatrzyć sobie w tych okolicach teren pod planowany poligon, co mogłoby rozsierdzić „siedzących na walizkach" rolników. Okazało się to pogłoską, a poligon miał powstać ostatecznie na wschód od Nietoperka – z tego pomysłu jednak zrezygnowano, decydując się po pewnym czasie na lokalizację na wschód od Sulęcina (dzisiejszy poligon wędrzyński). Natomiast na czas zasiedlania przysiółka przypadł moment najbardziej intensywnej rozbudowy MRU, w której okolice Kurska pełniły znaczącą rolę. Przy tutejszej stacji kolejowej obsługującej ruch pasażerski linii Międzyrzecz–Rzepin, powstało odgałęzienie z rozległym składem dla materiałów przewidzianych do montażu w budowlach fortecznych. Na przestrzeni kilku lat, aż do końca wojny, składnica zmieniała swoje nazwy, wśród których najczęściej używana – Verschiebe- und Panzerbahnhof Kurzig – bezpośrednio nawiązywała do zwożonych tu elementów pancernych (najcięższe ważyły nawet ponad 100 t). W latach 90. XX wieku przystąpiono do rozbiórki znajdujących się na terenie i w pobliżu składu torowisk, pozostawiając jedynie część baraków oraz rampy przystosowane w swoim czasie do przyjmowania znacznego obciążenia.

Osiedla dla przesiedleńców z terenów MRU stanowią ostatni etap dziejów niemieckiego, wiejskiego budownictwa ryglowego dla terenów pomiędzy Wartą i Odrą, jakie zapoczątkowane zostały wraz z kolonizacją olenderską w okresie panowania Fryderyka II. Osiedle Nowe Kursko jest tu pewnym wyróżnikiem, nie tylko z powodu przemyślanego układu ruralistycznego, ale również ze względu na utrzymaną niemal jednolitą zabudowę oraz stopnień zachowania jej pierwotnej substancji. W wielu przypadkach warto podkreślić wręcz dbałość większości obecnych gospodarzy o zachowanie konstrukcyjnych detali, istotny jest też nieznaczny udział eternitu jako wtórnego poszycia dachowego, który w nielicznych przypadkach zastąpił dobrze wypaloną niemiecką dachówkę ceramiczną. Elementy te z pewnością sprawiają, że ten niepozorny przysiółek, widziany już z perspektywy podróżującego szosą lokalną, sprawia wrażenie nietypowego i przez to zasługuje na uwagę.

Źródła:
1. Archiwum Państwowe w Gorzowie Wlkp., zespół akt: Urząd Budownictwa Melioracyjnego, sygn. 9
2.Bundesarchiv Militärachiv Freiburg im Breisgau, Leiter der Reichstelle der Landesbeschaffung, Truppenübungsplatz für das 3. Korps, südlich Meseritz, 5.12.1936, sygn. RW 43/v. 3367

Literatura:
1. M. Tureczek, „Zabytki w krajobrazie kulturowym Międzyrzecza i okolic", Międzyrzecz 2011
2. G. Urbanek, „Hydrotechnika w fortyfikacji Łuku Odry i Warty. Kontekst militarny i społeczny", [w:] „Społeczeństwo i fortyfikacje – dawniej i dziś", red. G Urbanek, Lubrza 2015 (w druku).
3. G. Urbanek, „Spór o lokalizację i granice nowego poligonu dla niemieckiego III Korpusu Armijnego (początki Truppenübungsplatz Wandern)", [w:] „Ziemia Międzyrzecka w przeszłości", t. XI, red. B. Mykietów, M. Tureczek, Międzyrzecz-Zielona Góra 2013

Agnieszka i Grzegorz Urbanek
Historycy.

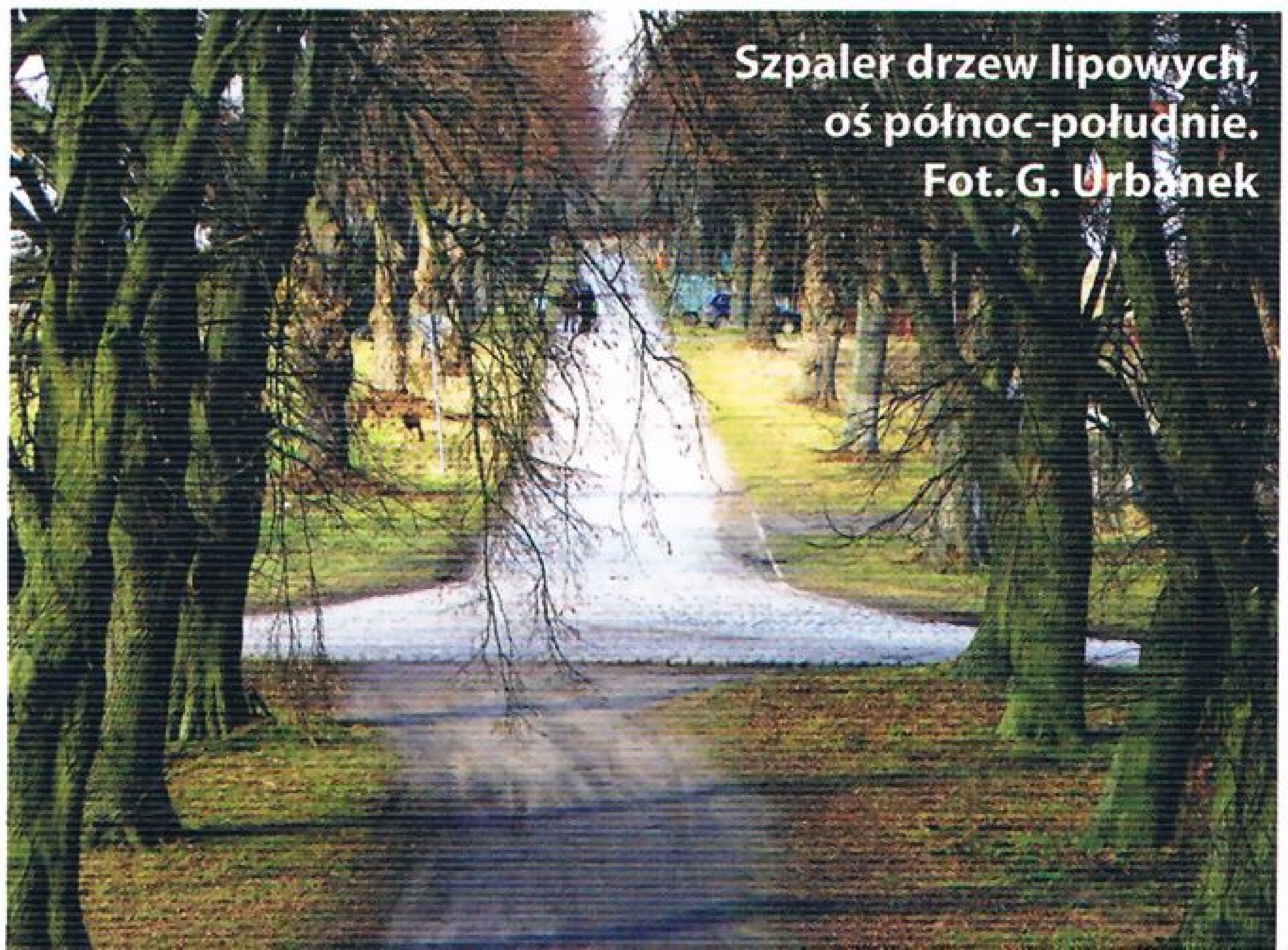

Szpaler drzew lipowych, oś północ-południe. Fot. G. Urbanek

Wyzwolenie Bolonii przez II Korpus Polski w kwietniu 1945 roku

Już tylko honor…

PIOTR GALIK

U progu totalnej klęski III Rzeszy, zgniatanej w potężnych kleszczach armii alianckich, żołnierze polscy, walczący u boku swoich zachodnich sojuszników wzięli udział w wielkiej bitwie na północy Włoch. Nagrodą za triumf mogło być jednak już tylko poczucie spełnionego obowiązku. Ugoda przywódców USA i Wielkiej Brytanii z dyktatorem Związku Sowieckiego, współsprawcą wybuchu II wojny światowej i uczestnikiem napaści na Polskę we wrześniu 1939 r., nie pozostawiała złudzeń co do przyszłych losów naszego Kraju. Po Jałcie udział oddziałów Wojska Polskiego w dalszych działaniach zbrojnych przeciwko Niemcom miał już jedynie honorowe, symboliczne znaczenie. Dla nas wojna była już przegrana. Pozostało jedynie wytrwać w wypełnianiu so-

Szlak bojowy II Korpusu Polskiego zakończony w Bolonii – legitymacja odznaki pamiątkowej Korpusu.

juszniczych powinności, by ofiarą krwi zadać kłam bolszewickiej propagandzie, wymierzonej przeciwko suwerennym władzom Rzeczypospolitej.

Włoskie ostatki

Działania zbrojne sił sprzymierzonych na Półwyspie Apenińskim niemal od początku (1943) naznaczone były piętnem „drugoligowości". Klęska brytyjskiej strategicznej koncepcji ataku na III Rzeszę od południa, obliczonej nie tylko na pokonanie Niemiec, lecz także zablokowanie ekspansji Sowietów w Europie Środkowej i na Bałkanach, spowodowała redukcję sił i środków, kierowanych na priorytetowy front zachodni. Trudny, górzysty teren i desperacki opór oddziałów niemieckich przyczyniły się do prawdziwie ślimaczego tempa ofensywy ku Alpom. Po zajęciu Rzymu (czerwiec 1944), umożliwionego także przez udział II Korpusu Polskiego w przełamaniu niemieckiej obrony na Linii Gustawa, dowództwu 15. Grupy Armii sojuszniczych zabrakło ludzi, broni i zaopatrzenia, by w pełni rozgromić nieprzyjaciela, z uporem stawiającego opór i drogo sprzedającego Aliantom kolejne zdobycze terenowe. Pod koniec 1944 r. front zamarł na południe od Bolonii, a wyczerpane oddziały sprzymierzone, osłabione dodatkowo przeniesieniem części oddziałów do Francji i Grecji, rozpoczęły reorganizację i szkolenie świeżo przysłanych uzupełnień. Ta niezbędna przerwa w bojach posłużyła także Niemcom. Wykrwawione dywizje marszałka Alberta Kesselringa, który dowodził Grupą Armii „C", złapały oddech. W niemieckich sztabach nie łudzono się już co do ostatecznego wyniku kampanii włoskiej. Wobec stanowczej postawy Hitlera, który odrzucił opracowany jesienią 1944 r. plan „skrócenia frontu" i wycofania wojsk na północ aż do Alp, uważanych za najskuteczniejszą barierę obronną, Niemcy szykowali się do generalnego odwrotu za rzekę Pad, ostatnią wielką przeszkodę wodną, łatwiejszą do utrzymania niż dotychczasowa linia frontu. Ostateczną linię obronną planowano zbudować na rzece Adyga, u podnóża Alp. Wprawdzie dawały się odczuć dotkliwe braki paliwa, upośledzające działania lotnictwa i wojsk zmechanizowanych, lecz dostawy amunicji i żywności okazały się wystarczające, by utrzymać zdolność bojową oddziałów niemieckich w obronie. Plan Kesselringa zakładał jak najdłuższy opór załóg placówek w umocnieniach polowych, by umożliwić jak najpełniejszą ewakuację pozostałych wojsk na północ. Manewr ten jednak wydawał się trudny i ryzykowny. Alianci posiadali ogromną przewagę w lotnictwie, które mogło zadać spore straty kolumnom wojskowym zmasowanym na drogach oraz niszczyć mosty i składy zaopatrzenia, paraliżując w ten sposób ruch wojsk. Ponadto w północnych Włoszech, formalnie stanowiących terytorium Włoskiej Republiki Socjalnej, faszystowskiej „resztówki" pod władzą Mussoliniego, trwała zażarta wojna domowa. Partyzanci różnych orientacji politycznych (demokraci, komuniści, monarchiści) atakowali posterunki sił faszystowskich, a te z kolei często przeprowadzały akcje pacyfikacyjne, pogłębiając frustrację mieszkańców kraju. Narastający chaos niepokoił Niemców, a zwłaszcza tych dowódców, którzy poznali niebezpieczeństwo ataków partyzanckich w sąsiedniej Jugosławii. Przeczuwano zatem, że wiosenne natarcie Aliantów może okazać się ciosem nokautującym.

Tymczasem po drugiej stronie frontu trwały przygotowania do ofensywy określanej kryptonimem „Buckland".

Oznaka 9. Bolońskiego Batalionu Strzelców Karpackich, ustanowiona już po wojnie dla upamiętnienia wyzwolenia miasta. Głównym motywem emblematu jest herb Bolonii, umieszczony na tarczy trzymanej przez polskiego orła.

Oddziały II KP zostały w pełni zmotoryzowane, co ułatwiało współdziałanie z czołgami podczas szybkich manewrów.

Sztabowcy 15. Grupy Armii trafnie rozszyfrowali zamiary przeciwnika i zamierzali ubiec Niemców w marszu na północ, zajmując szybkim manewrem przeprawy przez Pad, by zamknąć nieprzyjacielskie jednostki w kotle i zmusić je do kapitulacji. Celem strategicznym brytyjskiej 8. Armii stał się nadadriatycki Triest, podczas gdy amerykańska 5. Armia uderzać miała w kierunku Padu i Adygi, a ostatecznym celem natarcia była alpejska przełęcz Brenner, prowadząca do III Rzeszy. Trzeba dodać, że wprawdzie wielonarodowe siły sojusznicze nie miały zdecydowanej przewagi liczebnej, to jednak składały się w nowoczesnych, obficie zaopatrzonych we wszelkie potrzebne zapasy, w pełni zmotoryzowanych formacji, zdolnych – w przeciwieństwie do przeciwnika – do „wojny błyskawicznej". Zaliczał się do nich także II Korpus Polski, opromieniony sławą zdobywców Monte Cassino i odbudowany po krwawych stratach kampanii 1944 roku.

Przed ostatnią rundą

Zimowa przerwa w działaniach ofensywnych zastała oddziały polskie nad rzeką Senio, dopływem Reno w prowincji Emilia–Romania. Dowództwo II KP wykorzystało ten okres, by dokonać reorganizacji podległych mu jednostek. Najważniejszą zmianą w dotychczasowych strukturach korpusu było powiększenie obu dywizji piechoty do etatowego stanu trzech brygad w każdej. Tak więc 3. Dywizja Strzelców Karpackich zyskała 3. Brygadę Strzelców Karpackich (7., 8. i 9. batalion), a 5. Kresowa Dywizja Piechoty wcieliła 4. Wołyńską Brygadę Piechoty (bataliony 10., 11. i 12.). Do 2. BPanc przydzielono zmotoryzowany batalion piechoty, kontynuujący tradycje polskiej samodzielnej kompanii komandosów (No. 6 Troop 10 Inter-Allied Commando). Czołgiści otrzymali nowe wozy bojowe – „Shermany" w wersji przeciwpancernej (z działem 17-funtowym o długiej lufie) oraz wparcia artyleryjskiego (z haubicą 105 mm), a także opancerzone pojazdy inżynieryjne i techniczne. Rozbudowie i modernizacji uległa również 2. Grupa Artylerii, przezbrojona w działa ciężkie, a rozpoznanie na jej rzecz miał prowadzić świeżo wprowadzony do boju 663. Dywizjon Samolotów Artylerii. Rozwój korpusu przebiegał niejako wbrew jego sytuacji politycznej. Ugoda jałtańska, zawarta kosztem Polski, mocno zaważyła na nastrojach żołnierzy gen. Andersa. Tak wspominał ów mroczny czas jeden z oficerów broni pancernej, Bohdan Tymieniecki: *„Nagle jak piorun z jasnego nieba spadła na nas Jałta. Umilkły śmiechy w mesie oficerskiej. Skończyły się żarty, jak uciął nożem wszystkie nieporozumienia, kwasy, animozje osobiste, zadrażnienia. Na to nie było już miejsca. Ci młodzi chłopcy patrzyli na nas wyczekująco, żądając wyjaśnień, chcieli mieć pełny obraz narastającej rzeczywistości. Jak im to wytłumaczyć? Jak sami sobie nie mogliśmy wyobrazić zaistniałej sytuacji"*.

Nieocenioną pomocą podczas przełamywania niemieckich linii obronnych służyły czołgi Churchill–Crocodile uzbrojone w miotacz ognia, przydzielone Polakom jako wsparcie przez sztab brytyjskiej 8 Armii.

Pomimo aroganckiej postawy premiera Churchilla, który otwarcie deklarował, że wojska polskiego już nie potrzebuje, na prośbę swoich alianckich zwierzchników – brytyjskiego marszałka Harolda Alexandra i amerykańskiego generała Marka Clarka, komendant Korpusu Polskiego postanowił kontynuować walkę „aż do gorzkiego końca"...

W przededniu ostatniej ofensywy we Włoszech sojusznicy uznali za niezbędne wesprzeć Polaków dodatkowymi oddziałami bojowymi. Pod komendę gen. Zygmunta Bohusza-Szyszko, który miał w czasie bitwy dowodzić korpusem, oddano dwa pułki Royal Artillery, jednostki pancerne (w tym słynną 7. Brygadę „Szczurów Pustyni"), kombinowany pułk saperów szturmowych z gąsienicowymi miotaczami ognia, pojazdami trałującymi pola minowe i przewożącymi sprzęt przeprawowy, a także 43. Zmotoryzowaną Brygadę Piechoty Hinduskiej, złożoną z trzech batalionów strzelców nepalskich – Gurkhów, uważanych za najdzielniejszych żołnierzy Imperium Brytyjskiego. Wsparcie to wynikało z rozmiaru zadań powierzonych II KP w planie wiosennego natarcia. Nasi żołnierze mieli bowiem sforsować kolejno rzeki Senio i Santerno, przełamać niemieckie linie obronne, a następnie szybkim manewrem pancerno-motorowym w dwóch odrębnych zgrupowaniach przejść do pościgu i obejść Bolonię, by połączywszy się z oddziałami sojuszniczymi, uniemożliwić nieprzyjacielowi dalszy odwrót. Przeciwnikami naszych żołnierzy zostały najlepsze oddziały niemieckie frontu włoskiego: 1. i 4. Dywizja Spadochronowa oraz 26. Dywizja Pancerna. Z tego też względu podczas natarcia przewidywano ścisłą współpracę z lotnictwem, wykorzystywanym w roli „latającej artylerii", zdolnej do neutralizowania wskazanych punktów oporu i niszczenia wozów pancernych wroga.

Przygotowania do ataku Korpus Polski rozpoczął jeszcze przed ustąpieniem zimy. Szczególnie kłopotliwy okazał się przerzut oddziałów pancernych, które musiały pokonać wąskie, kręte i oblodzone górskie drogi Apeninów. Nie obyło się przy tym bez strat – kilka czołgów zsunęło się ze stromych zboczy, były ofiary śmiertelne wśród ich załóg. Także dyslokacja oddziałów piechoty i artylerii

przebiegała nie bez problemów, powodowanych złym stanem dróg, roztopami i uporczywie utrzymującym się zamgleniem. Wbrew tym przeciwnościom główne siły Korpusu: 19 batalionów piechoty zmotoryzowanej, 3 bataliony samochodów pancernych, 3 bataliony czołgów, 16 pułków artylerii (razem blisko 56 tys. żołnierzy), gotowe były do walki już z końcem marca 1945 r. Trwały wówczas intensywne narady sztabów wszelkich szczebli, gdyż wypracowanie optymalnych zasad współdziałania różnych broni miało kluczowe znaczenie dla powodzenia natarcia. Planowany przebieg działań bojowych napawał obawami, że przywykli raczej do walk w terenie górzystym Polacy nie zdołają dostatecznie sprawnie poradzić sobie z działaniami manewrowymi na płaskim, odkrytym terenie, gęsto przecinanym rzekami, wymagającymi forsowania i budowy przepraw. Tak więc udział w akcji „Buckland" miał stać się wojennym „egzaminem dojrzałości" II KP jako związku operacyjnego, zdolnego do nowoczesnego prowadzenia walki w warunkach „interoperatywności" – bezpośredniego współdziałania z oddziałami sojuszniczymi, włączonymi we własne struktury dowodzenia.

Niestety, „polski blitzkrieg" nie mógł doprowadzić żołnierzy Andersa do wyzwolonego Kraju, lecz miał stać się demonstracją lojalności wobec sojuszników, którzy u progu zwycięstwa nie przykładali zbytniej wagi do powojennych losów „kłopotliwych sprzymierzeńców", samym swoim istnieniem zakłócających sielankową współpracę z „Wujkiem Joe", jak w prasie Zachodu nazywano tyrana z Kremla…

Przez siedem rzek do Bolonii

Zanim rozpoczęła się operacja „Buckland", zaplanowana na 9 IV 1945 r., oddziały niemieckie, utrzymujące front na linii rzeki Senio, podjęły ożywione działania patrolowe, a ich artyleria rozpoczęła ostrzał nękający pozycji polskich. Zapewne starano się uprzedzić w ten sposób spodziewane lada dzień natarcie, i zadać jak największe straty szykującym się do ataku formacjom. Rozpoznanie lotnicze Aliantów wskazywało, że przeciwnik prowadził intensywne prace fortyfikacyjne. W oczekiwaniu na rozpoczęcie bitwy, Niemcy burzyli budynki ograniczające pola ognia i przygotowywali do zniszczenia przeprawy przez rzeki. Trudno było zatem liczyć na efekt zaskoczenia, sprzyjający nacierającym na nieprzygotowanego przeciwnika.

Wczesnym popołudniem 9 kwietnia rozpoczęły się alianckie ataki lotnicze na niemieckie stanowiska obronne. Do akcji wkroczyło amerykańskie lotnictwo strategiczne, zasypując wyznaczone cele setkami ton bomb. Niestety, na odcinku II Korpusu doszło do omyłkowego zbombardowania pozycji 3. DSK, której pododdziały miały na odcinku 9 km dokonać przełamania frontu. Straty poniosła piechota, saperzy i artyleria – zginęło lub odniosło rany ponad 220 polskich żołnierzy. Tragiczna omyłka lotników zagroziła realizacji starannie opracowanych planów natarcia, gdyż najbardziej poszkodowany z czołowych batalionów Karpatczyków, wyznaczonych do przełamania nieprzyjacielskiej obrony, wymagał zluzowania lub natychmiastowej reorganizacji i uzupełnienia strat. Polscy sztabowcy zdołali podjąć i wyegzekwować na czas decyzje niezbędne do przywrócenia gotowości bojowej batalionu. Atak korpusu rozpoczął się zgodnie z planem, o godzinie 19:30. Po silnym przygotowaniu artyleryjskim oddziały pierwszego rzutu ruszyły do ataku przy wsparciu czołgów oraz reflektorów przeciwlotniczych, oświetlających pole walki i oślepiających niemieckich obrońców. Przebieg szturmu był zróżnicowany – o ile na odcinku 6. batalionu karpackiego w ciągu godziny opanowano przyczółek po nieprzyjacielskiej stronie rzeki, to bratni 5. batalion po kilkugodzinnych zmaganiach musiał wezwać wsparcie opancerzonych miotaczy ognia. Dopiero po dosłownym wypaleniu niemieckich punktów oporu, rankiem 10 kwietnia nacierający zajęli wyznaczone rozkazami pozycje. Niemcy zmuszeni zostali do odwrotu za rzekę Santerno. Za plecami Karpatczyków kompanie saperskie budowały przeprawy mostowe, by umożliwić przewidziany planem manewr czołgów. Oczyszczanie terenu pomiędzy Senio i Santerno, konieczne by kontynuować atak, okazało się zadaniem żmudnym. Najtrudniejszym do zdobycia obiektem było miasteczko Solarolo, obsadzone przez siły nieprzyjacielskie i przygotowane do obrony okrężnej. W wyniku nieporozumienia polskich piechurów z artylerią, atak na Solarolo został przeprowadzony bez wsparcia ogniowego dział i potrwał znacznie dłużej, niż się spodziewano. Ostatecznie jednak pierwszy dzień operacji „Buc-

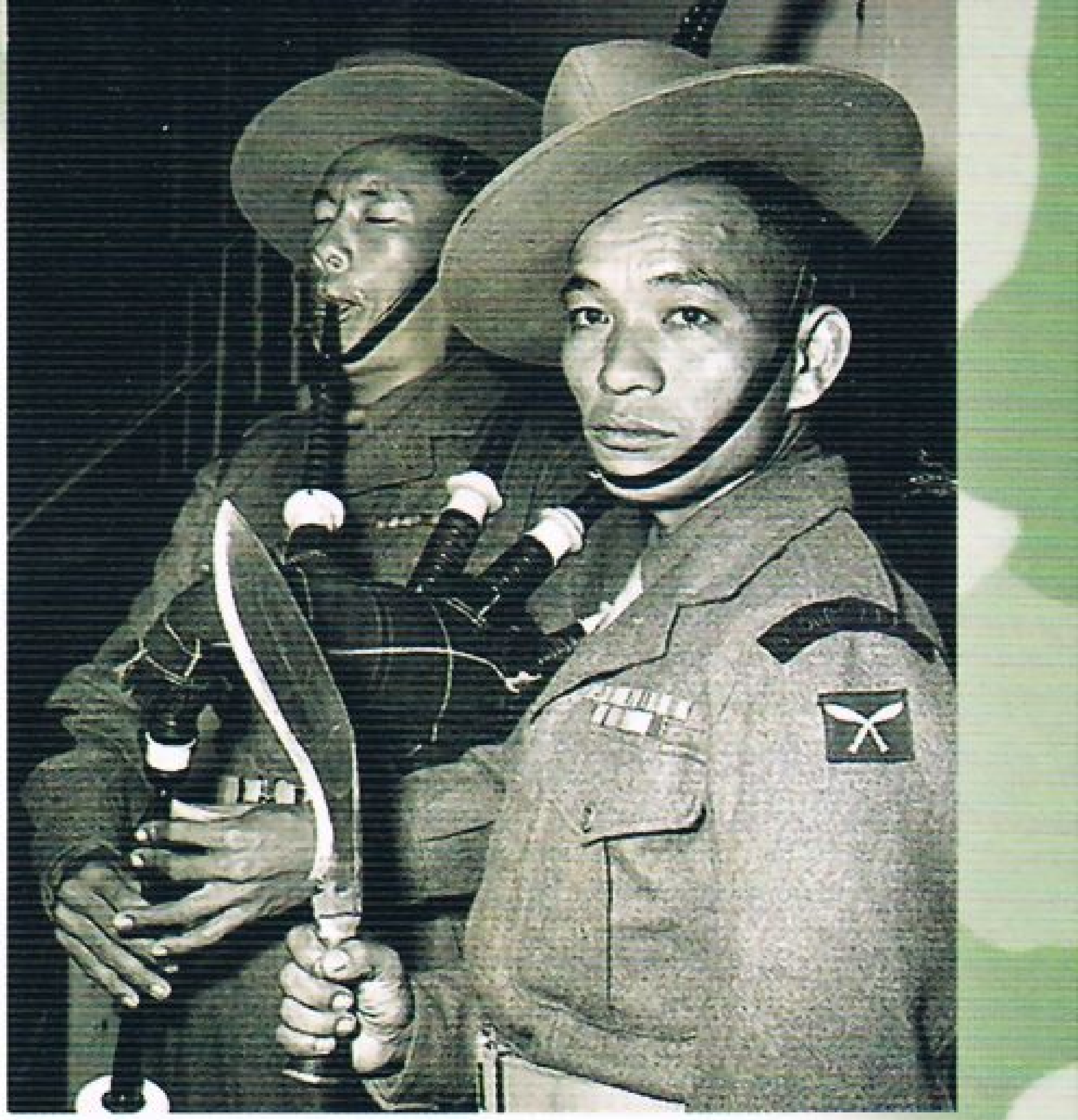

Pod polskim dowództwem walczyli o Bolonię także słynni Gurkhowie, elita kolonialnej armii brytyjskiej.

Niemieckie dywizje spadochronowe wprawdzie występowały w roli zwyczajnej piechoty, jednak przewyższały poziomem wyszkolenia, doświadczenia bojowego i morale żołnierzy wszystkie inne formacje frontu włoskiego.

kland" przebiegł pomyślnie. Sukces odnieśli także sojusznicy II KP, na prawym skrzydle rzekę Senio sforsował brytyjski V Korpus, w którego składzie walczyła 2. Dywizja Nowozelandzka, bezpośrednio sąsiadująca z Karpatczykami. Natomiast na lewej flance Polaków nacierał sojuszniczy X Korpus, złożony wówczas z proalianckich formacji włoskich i Brygady Żydowskiej, w której służyło wielu Żydów pochodzących z Polski.

Kolejną linią niemieckiego oporu była rzeka Santerno, wprawdzie płytka (głębokość nurtu nie przekraczała wówczas 1 m), lecz stosunkowo szeroka, a jej brzegi umocnione były wałami przeciwpowodziowymi o wysokości od 4 do 7 m. W wałach wykopano pozycje strzeleckie, pozwalające na ostrzał forsujących rzekę wojsk alianckich. Przygotowanie do ataku utrudniło dodatkowo zniszczenie przez nieprzyjaciela przepraw przez kanał Lugo, co opóźniło nadejście pojazdów gąsienicowych i artylerii. Pomimo wsparcia czołowej 3. DSK kresowymi batalionami 6. Lwowskiej Brygady Piechoty, przełamanie linii Santerno przerodziło się w zaciętą walkę, trwającą od 11 do 13 kwietnia, a zakończoną uchwyceniem silnych przyczółków i wybudowaniem trzech mostów. Nieprzyjaciel, doceniając powagę sytuacji, nie ograniczał się do obrony statycznej i przeszedł do kontrataków, szczególnie silnych na prawej flance II KP. Alianckie lotnictwo, korzystając z dobrych warunków meteorologicznych, wielokrotnie atakowało w tym czasie pozycje niemieckie. Przeprawy przez Santerno przygotowane przez polskich saperów, umożliwiły realizację kolejnego etapu operacji – wprowadzenie do walki Zgrupowania „Rud" (kryptonim od nazwiska dowódcy, płk. Klemensa Rudnickiego). W skład Zgrupowania weszły nowo utworzone „zielone" brygady piechoty, przewożonej ciężarówkami: 3. BSK i 4. WBP, dwa pułki artylerii samobieżnej, szwadron czołgów i zmotoryzowana kompani saperów. Celem tych znacznych sił był jak najszybszy manewr wzdłuż drogi nr 9 i opanowanie miasta Imola. Zadanie wykonane zostało 14 kwietnia, gdy dzięki umiejętnej taktyce Polaków niemiecka załoga Imoli, zagrożona okrążeniem, opuściła silnie ufortyfikowaną miejscowość i uciekła. W tym samym dniu patrole z rozpoznawczego (samochody pancerne) Pułku Ułanów Karpackich osiągnęły następną, czwartą już przeszkodę wodną – kanał Correchio. Ułani szybko zlokalizowali dogodne miejsce przeprawy dla mobilnego Zgrupowania „Rak" (kryptonim utworzony od nazwiska dowódcy, gen. Bronisława Rakowskiego), złożonego z pułków 2. BPanc, 13. batalionu piechoty i dywizjonu samobieżnych dział przeciwpancernych. W dniu następnym II KP zmagał się z przemieszanymi wprawdzie, lecz wciąż twardo walczącymi spadochroniarzami i pancerniakami niemieckimi, którzy – nie bacząc na dysproporcję sił – desperacko kontratakowali, ponosząc przy tym ciężkie straty. Przeciwnik nie zdołał zatrzymać Polaków, którzy za sprawą bohaterskiej postawy 16. Batalionu Strzelców Lwowskich sforsowali rzekę Sillaro, a 17 kwietnia dotarli do następnej przeszkody wodnej – rzeki Gaiana. Oddziały II KP odczuwały już dotkliwie zmęczenie toczoną od tygodnia bitwą, a ponadto musiały rozstać się z dwoma batalionami czołgów Royal Tank Regiment brygady „Szczurów Pustyni", wracającymi pod rodzime dowództwo. Kolejną dobę, pomimo intensywnych akcji patroli i licznych starć z nieprzyjacielem, wykorzystano na odpoczynek, uzupełnienie strat i reorganizację wojsk, by 19 kwietnia uderzyć ponownie z całą mocą.

Forsowanie umocnionej linii koryta Gaiany, bronionej przez niemiecką „elitę elit" – 1. Dywizję Spadochronową, było przełomowym etapem bitwy o Bolonię. Po silnym bombardowaniu lotniczym (tym razem zaskakująco celnym...) i artyleryjskim bataliony Brygady Wileńskiej utorowały drogę pancerniakom Zgrupowania „Rak", którzy po całodniowym zaciętym boju osiągnęli brzeg kanału Fossatone, zagrażając Niemcom całkowitym odcięciem drogi odwrotu. Trasę prowadzącą do Bolonii przecinała rzeka Idice. Wykrwawione w bezlitosnych bojach z Polakami oddziały niemieckie nie były już w stanie stawić nacierającym poważniejszego oporu. Wobec sukcesów Amerykanów, którzy zbliżyli się do Bolonii, niemieckie dowództwo nakazało nocą z 20 na 21 kwietnia ewakuację miasta. II KP musiał jednak jeszcze oczyścić sobie drogę do tego starożytnego grodu, jeśli nasi żołnierze mieli uprzedzić amerykański II Korpus, zmierzający w kierunku stolicy regionu. Niemcy desperacko kontratakowali, lecz z powodu wyczerpania i słabości oddziałów ich działania nie mogły poważnie zagrozić planom Karpatczyków. Rankiem 21 IV 1945 r. kompanie 9. BSK jako pierwsze z sił alianckich weszły do Bolonii, napotykając na ulicach sporadyczny opór włoskich faszystów, opuszczonych przez niemieckich sprzymierzeńców. Polacy wywiesili flagę narodową na najwyższej wieży bolońskiej starówki – Torre di Asinelli. Dopiero dwie godziny później nadciągnęli Amerykanie. Ludność miasta z radością witała wyzwolicieli.

Podczas gdy zdobywcy Bolonii cieszyli się zasłużonym odpoczynkiem, przeciwnik cofał się w nieładzie na północ, a rozmiar jego klęski był tak wielki, że już 2 maja front włoski skapitulował. Dla oddziałów sojuszniczej 15. Grupy Armii wojna dobiegła kresu. Koniec wojny dla żołnierzy polskich był jednak klęską tylko jednego z wrogów, a nie zwycięstwem. To bowiem – wraz z całym Krajem – przypadło drugiemu z nich...

Niepotrzebna ofiara?

W bitwie o Bolonię Korpus Polski stracił – wg różnych autorów – od 900 do blisko 1500 poległych, rannych i zaginionych. Czy było to niepotrzebne poświęcenie, marnotrawstwo krwi w sytuacji, gdy nie mogło to przynieść żadnej politycznej korzyści? Kwestia ta przypomina pytania o sens Powstania Warszawskiego czy nawet stawienia oporu III Rzeszy w roku 1939. Nie wszystko w życiu jest na sprzedaż, nie wszystko można przeliczać na straty i zyski. Narody, które tego nie pojmują mogą wprawdzie egzystować w dostatku, lecz nigdy nie *„pójdą wyprostowane wśród tych, co na kolanach, wśród odwróconych plecami i obalonych w proch"...* (Zbigniew Herbert „Modlitwa ludzi wolnych"). ◗

Literatura, ilustracje:
1. B. Tymieniecki, „Na imię jej było Lily", Warszawa 1987
2. „Boje Polskie 1939-1945", (red.) Krzysztof Komorowski], Warszawa 2009
3. W. Biegański, „Bolonia 1945", Warszawa 1986
4. W. Biegański, „Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie". Warszawa, KAW 1990
5. „The Mediterranean and Middle East", Volume VI: Part III, „November 1944 to May 1945". Uckfield 1988;

odk księgarnia odkrywcy

Michał Krzyżaniak „Obraz bitwy o Poznań (1945) w świetle dokumentów i materiałów niemieckich", opr. miękka, str. 304, wyd. Pomost. Cena: 42 zł

Nowa pozycja z serii „Festung Posen 1945" wydana w 70. rocznicę zakończenia walk o Poznań. Praca autorstwa Michała Krzyżaniaka przestawia obraz walk o Poznań w oparciu o dokumenty i źródła niemieckie. Autor wplata te wydarzenia w wielkie zmagania zimy i wiosny 1945 r. w Europie Środkowo-Wschodniej. Oceniając niemiecki materiał źródłowy wychodzi poza jego merytoryczną zawartość, wchodząc w sferę pamięci historycznej, pytając o obecność refleksji moralno-etycznej we wspomnieniach niemieckich obrońców Festung Posen. Publikacja podzielona jest na następujące części: Niemieckie plany obrony Poznania; Ogłoszenie alarmu dla twierdzy Poznań (Festung Posen); Bitwa o Poznań; Powietrzne zaopatrzenie Twierdzy Poznań; Ucieczki z Festung Posen.

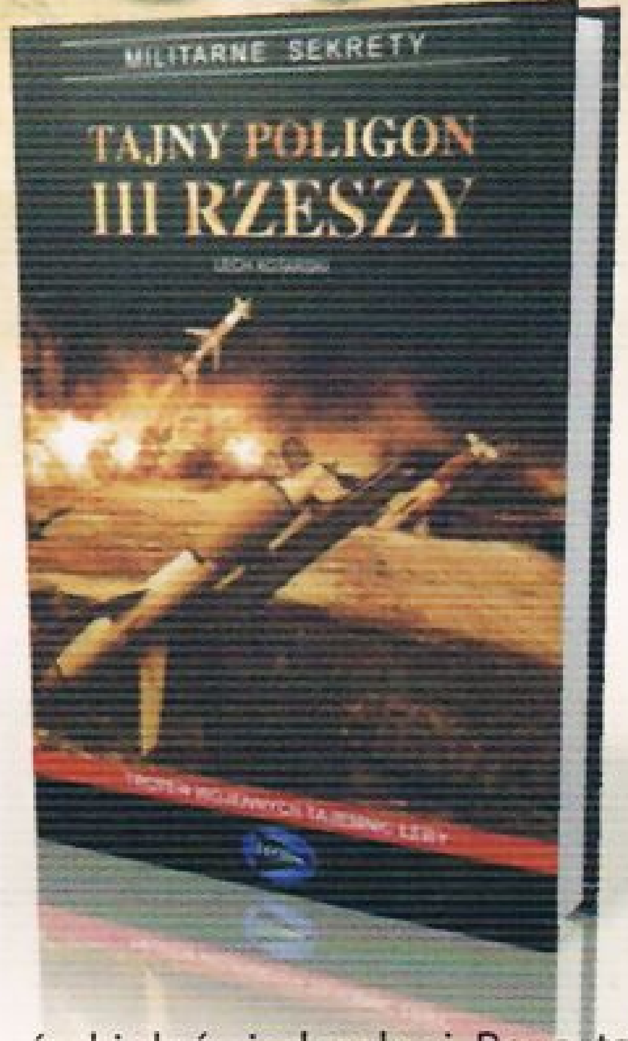

Lech Kotarski „Tajny poligon III Rzeszy", opr. miękka, str. 272, wyd. Technol. Cena: 34 zł

Niniejsza publikacja jest rodzajem przewodnika przeznaczonego dla tych, którzy interesują się tajemnicami II wojny światowej. Nie jest to jednak zwyczajny przewodnik turystyczny, lecz próba opowieści o tym, co zdarzyło się w Łebie w latach wojny, oraz o tym, co działo się w różnych częściach ówczesnej Europy, a miało bezpośredni lub pośredni związek z niemieckim poligonem i stacją doświadczalną w Łebie. W czasie II wojny światowej Łeba stała się świadkiem niemieckich prac nad tajną bronią. Gdy wiosną 1945 roku wkroczyli do niej Rosjanie, byli zaskoczeni istnieniem zakamuflowanej placówki doświadczalnej. Pozostałości poligonu penetrowali przez kilka miesięcy. ad czym niemieccy uczeni w takiej tajemnicy pracowali na łebskim poligonie? Jaką rolę w ewakuacji planów owej broni odegrał dr Hans Kammler? Czy sekrety nadmorskich eksperymentów poznali również Amerykanie? Te i inne wojenne tajemnice Łeby stara się wyjaśnić Lech Kotarski. W książce po raz pierwszy opublikowano unikalne plany i dokumenty źródłowe oraz większość zdjęć.

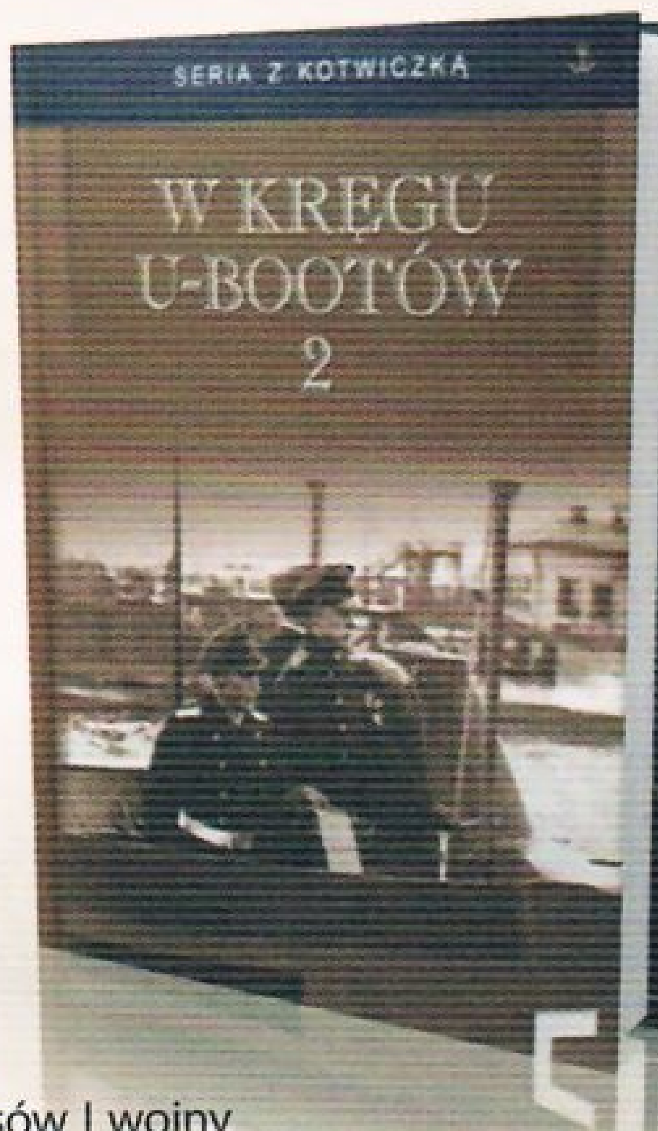

„W kręgu U-Bootów", część 2, praca zbiorowa, opr. miękka, str. 200, wyd. Finna. Cena: 34,90 zł

Na drugą część książki „W kręgu U-bootów" składają się wspomnienia trzech niemieckich dowódców okrętów podwodnych z czasów I i II wojny światowej. Doskonale znany Karl Dönitz, późniejszy dowódca Kriegsmarine, wspomina swój udział w I wojnie światowej. W tym mało znanym świadectwie przeczytamy m.in. jak Dönitz będąc w niewoli brytyjskiej udawał psychicznie chorego. We wspomnieniach niekwestionowanej gwiazdy wśród niemieckich dowódców U-bootów, Otto Schulze, przeczytamy o jego przeżyciach z czasów I wojny światowej. Zasłynął on z zatopienia aż 53 statków i brytyjskiego krążownika HMS. Największą część prezentowanej publikacji stanowią jednak wspomnienia Wernera Hartmanna, dowódcy U-37 i U-168, który podczas II wojny światowej zatopił ponad 100 000 tonażu alianckich statków.

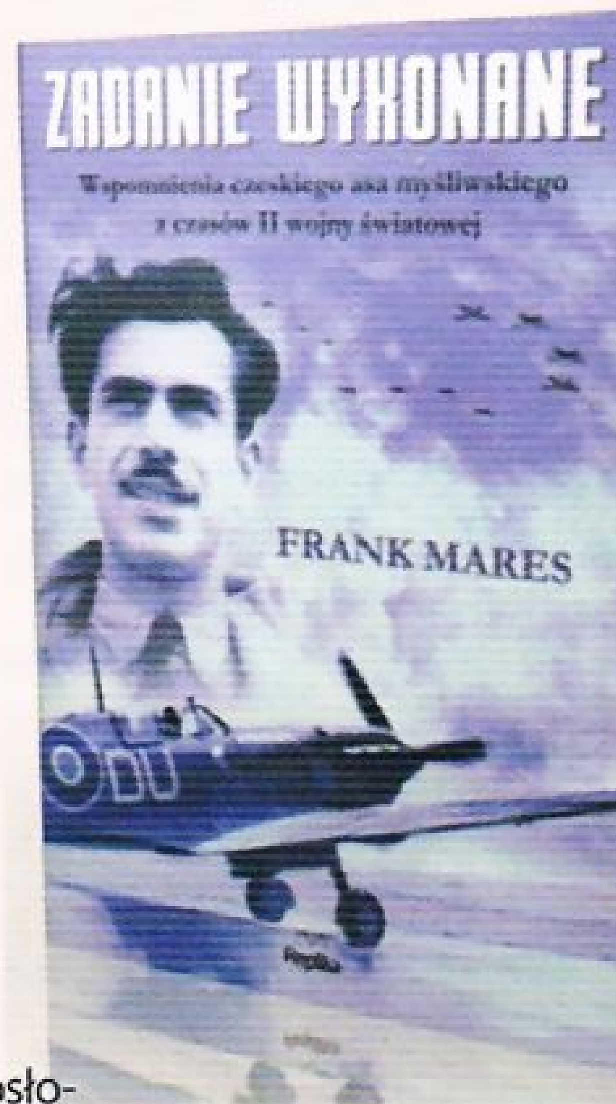

Frank Mares „Zadanie wykonane. Wspomnienia czeskiego asa myśliwskiego z czasów II wojny światowej", opr. twarda, str. 368, wyd. Replika. Cena: 44,90 zł

Książka Franka Maresa, to historia bardzo osobista - ale również część wielkiej epopei historycznej połowy XX stulecia. Podobnie jak wielu Czechów i Słowaków, Mares uciekł przed narodowosocjalistyczną machiną wojenną Hitlera kiedy jego kraj, opuszczony przez przyjaciół, poddał się bez walki. Podczas II wojny światowej Czesi wybrali strategię uległości wobec Hitlera. Nie wszyscy jednak się z tym pogodzili. Ci, którzy chcieli walczyć, musieli emigrować. Mares podjął walkę o wolność swojego kraju w jedyny możliwy sposób – został pilotem myśliwskim. Ponieważ nie mógł tego zrobić w Czechosłowacji, przedostał się przez Polskę do Francji, aby z tamtejszym wojskiem walczyć przeciwko wspólnemu wrogowi. Cudem uniknąwszy pięcioletniego zaciągu do Legii Cudzoziemskiej Mares został w końcu przyjęty do francuskich sił powietrznych. Po klęsce Francji, już w Wielkiej Brytanii, wstąpił do 601. Dywizjonu RAF-u, a następnie został pilotem „czeskiego" 312. Dywizjonu RAF-u.

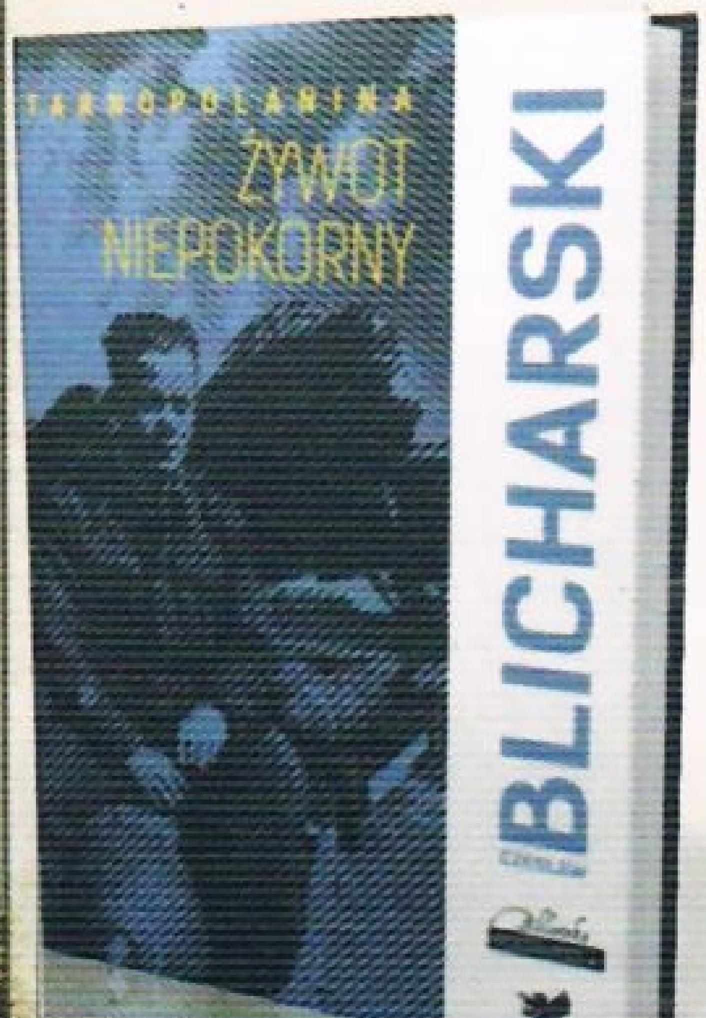

Czesław Blicharski „Tarnopolanina żywot niepokorny", opr. miękka, str. 437, wyd. Gryf. Cena: 33,60 zł

Wspomnienia Czesława Blicharskiego narodowca, antykomunisty i pilota. Autor to postać niezwykła. Jeden z najstarszych żyjących polskich lotników i ostatni Polak - uczestnik bombardowania Drezna w 1945 r. W latach 30. działacz Narodowej Organizacji Gimnazjalnej w Tarnopolu i Młodzieży Wszechpolskiej we Lwowie. Za swoją działalność narodową szykanowany i wielokrotnie aresztowany przez policję. W 1940 r. został aresztowany przez NKWD i zesłany na Sybir. W 1942 r. przez Armię gen. Andersa trafił do polskiego lotnictwa w Wielkiej Brytanii. Po wojnie przez 10 lat przebywał na emigracji w Ameryce Południowej. Do Polski przyjechał w 1956 r. – nie był to jednak powrót, bo jego rodzinny Tarnopol znajdował się w Związku Radzieckim. Blicharski nigdy nie zaakceptował narzuconego Polsce systemu komunistycznego.

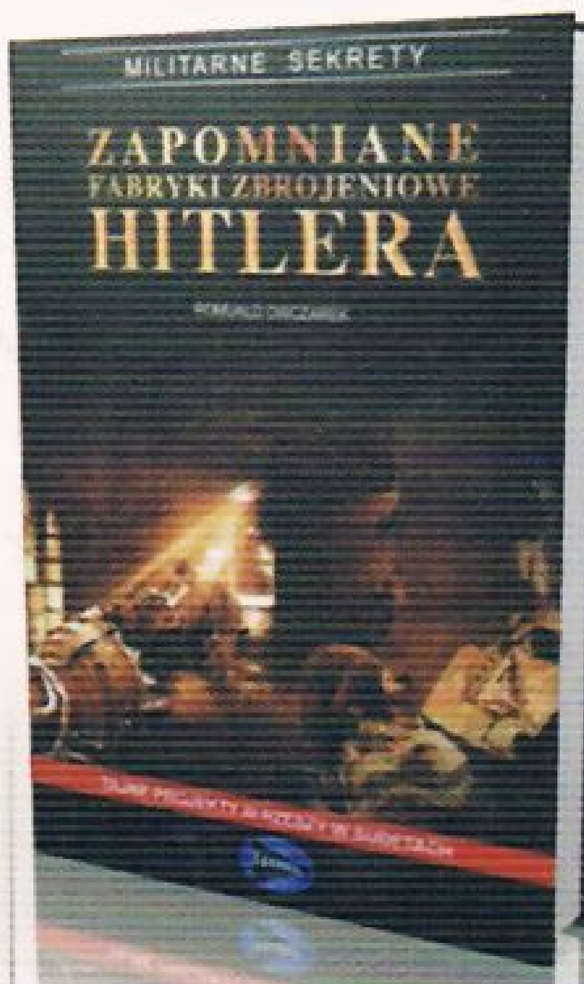

Romuald Owczarek „Zapomniane fabryki zbrojeniowe Hitlera", opr. miękka, str. 400, wyd. Technol. Cena: 39,10 zł

Nasilające się naloty aliantów na fabryki zbrojeniowe III Rzeszy zmusiły Hitlera do podjęcia decyzji o przeniesieniu części produkcji w rejony nienarażone na bombardowania. Za jeden z takich obszarów niemieckie dowództwo uznało Dolny Śląsk. Niniejsza książka stanowi kontynuację publikacji pt. „U bram Riese", w której zostały omówione losy filii niemieckich zakładów zbrojeniowych przeniesionych podczas wojny w rejon Gór Sowich. Tym razem Romuald Owczarek skupia się na pozostałej części Sudetów. W książce opisano m.in.: nieznaną historię zakładów chemicznych IG Farbenindustrie w Wałbrzychu, losy Niemieckich Zakładów Metalowych (VDM), które utworzyły swoje filie w Kudowie-Zdroju, Bolkowie, Mieroszowie i Leśne, historię tajnych ośrodków badawczo-produkcyjnych w Leśnej i Krzaczynie czy tajemnice badawczo-rozwojowej placówki zakładów lotniczych Arado w Kamiennej Górze oraz przeniesionej do tego miasta ze Schweinfurtu części produkcji łożysk kulkowych.

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

Robert Massie „Stalowe fortece" tom 2, opr. twarda, str. 248, wyd. Finna. Cena: 38,90 zł
Druga część opowieści o pierwszej wojnie światowej w narracji Roberta Massiego, laureata Nagrody Pulitzera. Autor błyskotliwie rysuje główne postacie wydarzeń – od dworów królewskich poprzez członków rządów do dowódców flot i poszczególnych okrętów biorących udział w najważniejszych wydarzeniach pierwszej wojny światowej. Autor, podobnie jak w „Dreadnought" wydanym przed kilku laty, nie szczędzi czytelnikowi wielu anegdotycznych historii i uwag, imponując literackim rzemiośle.

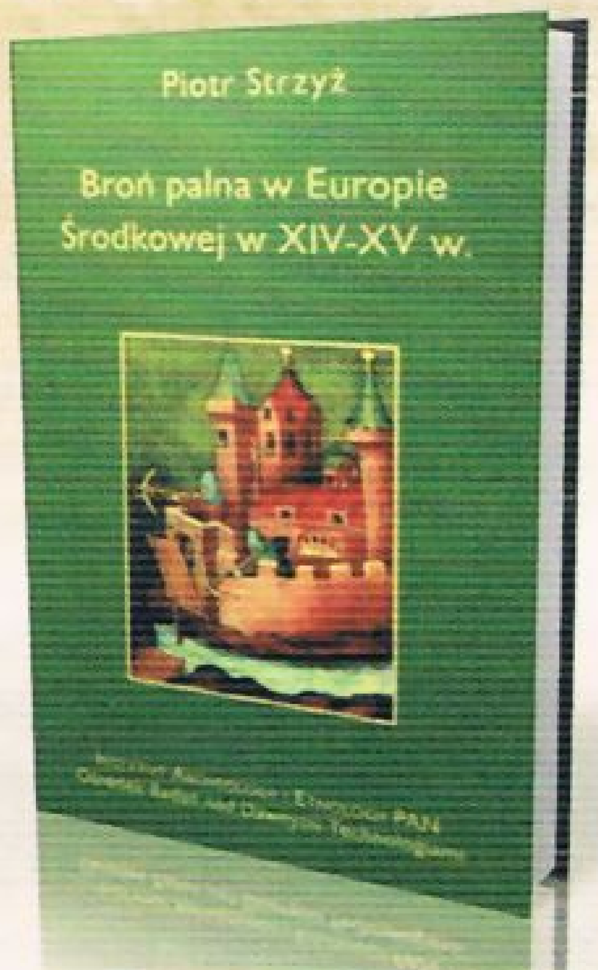

Piotr Strzyż „Broń palna w Europie Środkowej w XIV-XV w.", opr. miękka, str. 416, wyd. Instytut Archeologii i Etnologii PAN. Cena: 95 zł
Druga połowa XIV w. krajach Europy Środkowej to czas wielkich zmian w rozwoju gospodarczym oraz w sferze społecznej i kulturalnej. Ówczesne Królestwa: Polski, Czech oraz Węgier zaczęły niwelować dystans dzielący je od krajów Europy Zachodniej. Nie powinno zatem dziwić, że właśnie na 3 i 4 ćw. XIV w. datuje się pierwsze informacje o zastosowaniu broni palnej w Europie Środkowej. Ten najstarszy okres rozwoju środkowoeuropejskiej broni palnej nie był dotychczas przedmiotem studiów, które obejmowałyby tak szerokie terytorium. Wyniki badań, uzyskanych na podstawie analizy niemal 200 okazów broni palnej oraz około 1500 pocisków, uzupełnione o przekazy pisane i źródła ikonograficzne pozwoliły autorowi na szczegółowe rozpoznanie początków broni ogniowej w tej części Europy. Do publikacji dołączona jest płyta CD, na której znajdują się katalogi luf i pocisków oraz mapy.

Igor Witkowski, Piotr Kałuża „Kryptonim S-3. Największy projekt Kammlera", opr. miękka, str. 176, wyd. WIS-2. Cena: 29.90 zł
Najnowsza książka Igora Witkowskiego i Piotra Kałuży poświęcona jest jednej z największych tajemnic Trzeciej Rzeszy, związanej z gigantycznym projektem badawczo-zbrojeniowym, realizowanym w rejonie miejscowości Ludwikowice Kłodzkie na Dolnym Śląsku. Jest to pierwsza publikacja skupiająca się na ludwikowickim kompleksie, w której dokładnie opisano mało znaną dolinę, pełną ciekawych, zapomnianych obiektów wojennych. Autorzy omawiają i wiążą ze sobą szereg różnych projektów niemieckich, jakie obejmował kryptonim S-3 (za przedsięwzięcia zbrojeniowe mające zapewnić Hitlerowi zwycięstwo odpowiadał wówczas Hans Kammler). Autorzy poddają również ocenie tezę o pracach nad latającymi dyskami nazistów. Witkowski i Kałuża prezentują unikalne źródła, w tym dokumenty archiwalne na poparcie swych tez, przedstawiają intrygujące wątki, które wciąż oczekują na pełne wyjaśnienie.

Łukasz Łydżba, Marek Rogusz „III/1 Dywizjon myśliwski", opr. miękka, str. 252, wyd. Vesper. Cena: 30,70 zł
Celem niniejszej książki jest przedstawienie i upamiętnienie działań lotników III/1 Dywizjonu Myśliwskiego, którzy w ramach Brygady Pościgowej przez sześć dni września 1939 roku bronili nieba nad stolicą Polski, startując z Zielonki i Zaborowa. Następnie nad Lubelszczyzną ponownie próbowali stawić czoła hitlerowskiej Luftwaffe, aż ostatecznie przebieg działań wojennych w siedemnastym dniu wojny zmusił ich do ewakuowania się do Rumunii. W monografii znajduje się rozbudowany rozdział o przedwojennej historii dywizjonu w latach 1921-1939. Opis działań wojennych przestawiono w oparciu o fakty i relacje lotników spisane we Francji i Anglii w ciągu roku od kampanii wrześniowej.

Dieter Ehrhardt „1945 Trzebiszewo", opr. miękka, str. 88, wyd. Literat. Cena: 19,60 zł
„1945 Trzebiszewo" to kolejna pozycja autora po wcześniejszej „Landsberg nad Wartą i ja". Wpisuje się również w cykl wydanych książek Andrzeja Chmielewskiego: „Widziałem Gomorę w Rokitnie", „1945 Policko", „1945 Bledzew" i „1945 Przełamanie MRU". Dieter Ehrhardt urodził się 24 lipca 1934 roku w Landsbergu. Gdy miał 10 lat, z matką został ewakuowany z miasta. Po latach wrócił do Trzebiszewa, gdzie jego ojciec – wcielony do Volkssturmu miał bronić Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. W książce przeczytamy jego wspomnienia, m.in. z momentu, gdy pojechał szukać pozostałości po bunkrze, w którym przebywał jego ojciec.

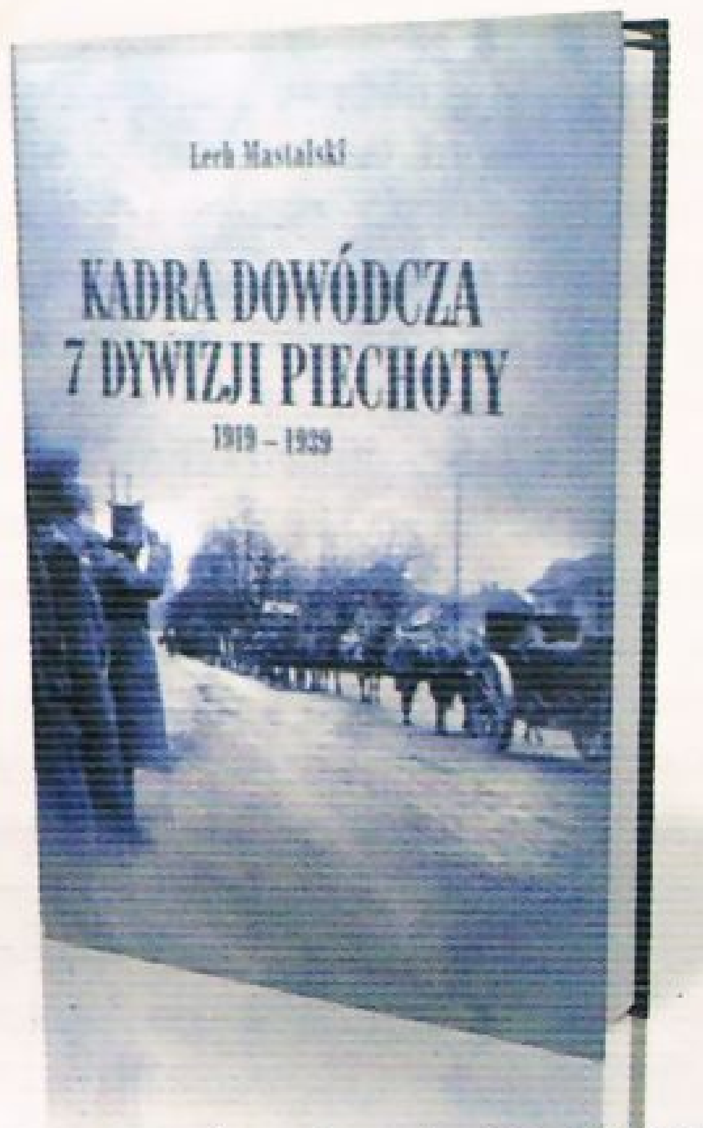

Lech Mastalski „Kadra dowódcza 7 Dywizji Piechoty 1919-1939. Słownik biograficzny", opr. twarda, str. 264, wyd. Instytut Tarnogórski. Cena: 69,30 zł
Prezentowany słownik biograficzny stanowi uzupełnienie wydanej dwa lata wcześniej pracy tego samego autora poświęconej dziejom 7. Dywizji Piechoty. W publikacji znalazły się biogramy oficerów sprawujących następujące funkcje: dowódców 7. DP; dowódców brygad wchodzących w jej skład w okresie walk 1919-1921 (XIII i XIV Brygady Piechoty oraz VII Brygady Artylerii); dowódców piechoty dywizyjnej; szefów sztabu dywizji; dowódców organicznych pułków piechoty i artylerii 7. DP (11.,25.,26.,27. i 74. pułki piechoty, 7. pułk artylerii polowej, 7. pułk artylerii ciężkiej).

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

ODK

kolekcja ODKRYWCY

26,-

WOJCIECH STOJAK „OSTATNI »KLUB POSZUKIWACZY SKARBÓW« I INNE OPOWIEŚCI”. To lektura obowiązkowa dla każdego miłośnika historii. Nie wystarczy jej polecić – bo rekomendować można dobry artykuł lub film. Ją należy przeczytać. Do książki dołączona jest płyta z nagraniem jednego z odcinków „Klubu Poszukiwaczy Skarbów”.

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY” Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

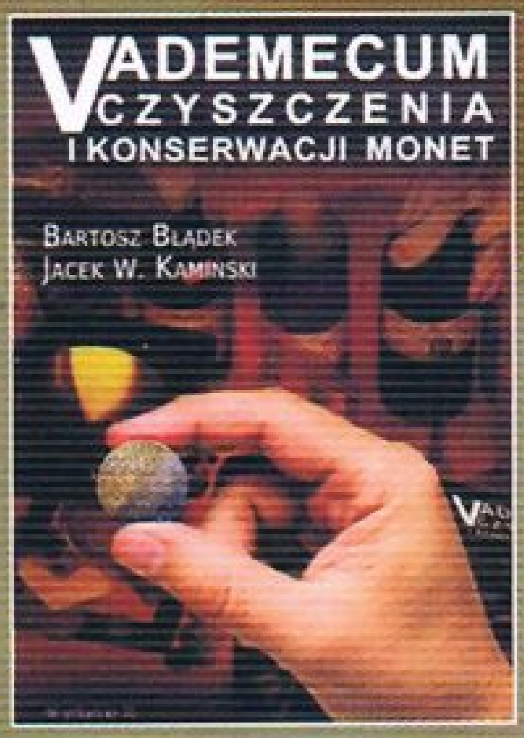

35,50

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET” Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

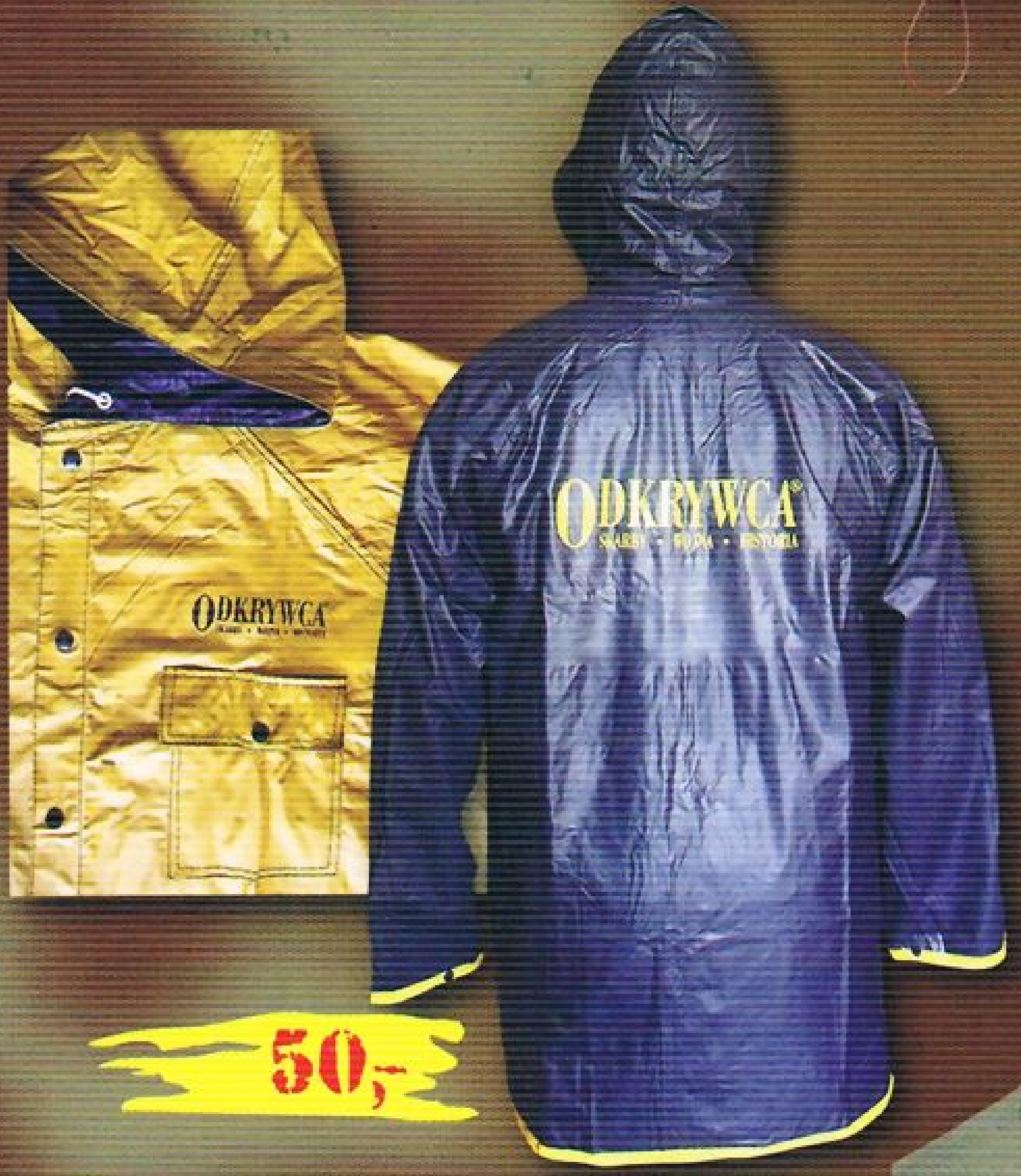

50,-

PŁASZCZ PRZECIWDZESZCZOWY Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

20,-

METALOWY KUBEK termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

Koszulki „Odkrywcy” z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, M, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca” z przodu i z tyłu.

tył

przód

20,-

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 4/195

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy — miejscowość

ulica — nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy” zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.9

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawien faktury VAT bez mojego podp

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

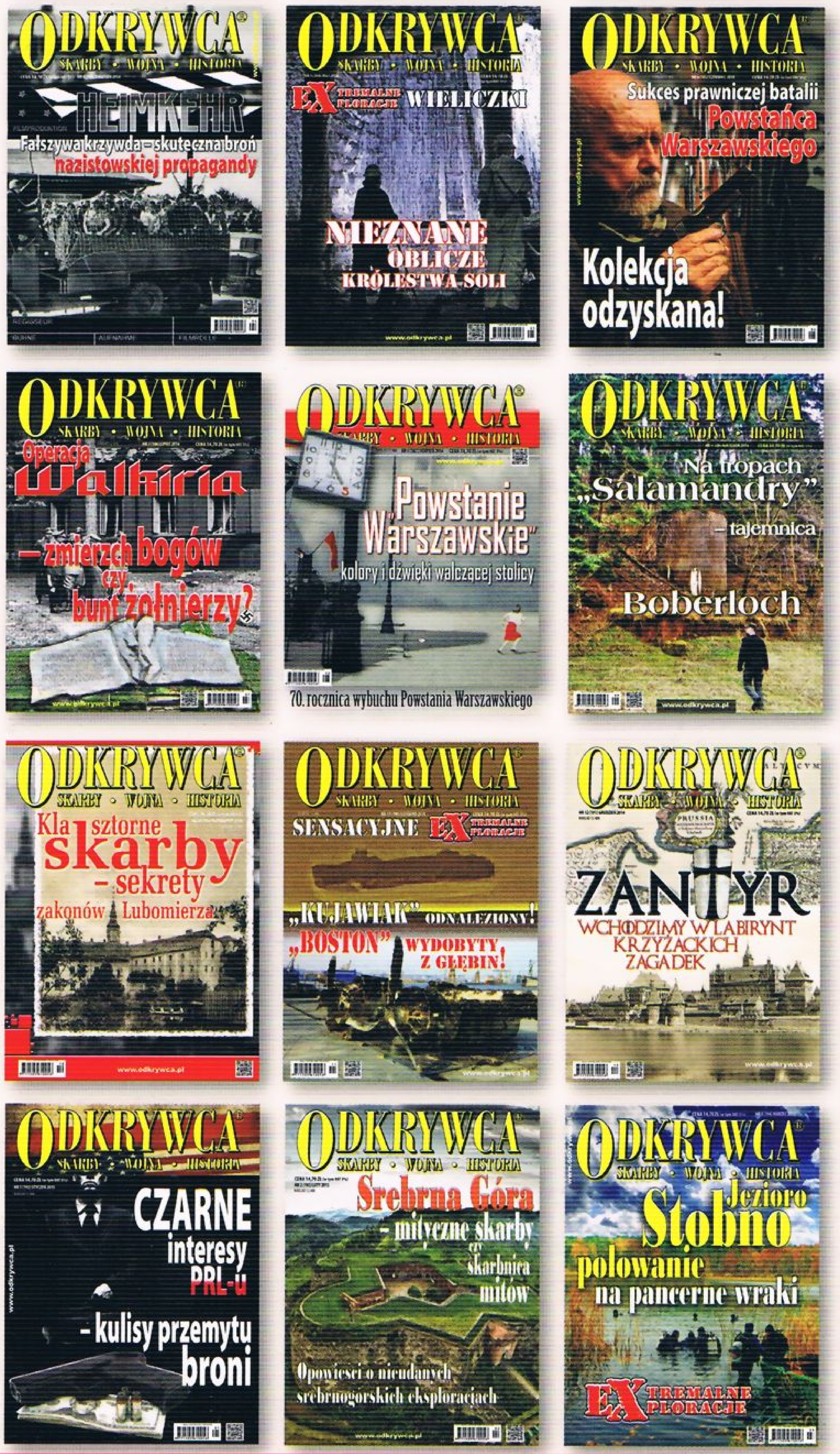

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancją:

► stałej, niższej ceny,

► szybkiej dostawy pod wskazany adres,

► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem http://instytut.odkrywca.pl

► bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl

► lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW
PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane imienne i adresowe oraz informację, od którego numeru ma się rozpocząć prenumerata.. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

► krajowa roczna – **147** zł; półroczna – **73,50** zł

► zagraniczna półroczna: **123,90** zł (list zwykły); **141,90** zł (list priorytetowy).

► Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:

listownie na adres: Redakcja „Odkrywca", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty,
telefonicznie 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga do nabycia numery archiwalne
– rok 2000 nr 4/21 – cena 5,00zł za 1 egz.
– rok 2001 nr od 3/27 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
– roczniki 2002 do 2005 – cena 60 zł za jeden rocznik
– roczniki 2006 do 2009 – cena 84 zł za jeden rocznik
– roczniki 2010 i 2011 – cena 96 zł za jeden rocznik
– rocznik 2012 – cena 108 zł
– rocznik 2013 – cena 118 zł
– rocznik 2014 – cena 120 zł
Cena razem z kosztami wysyłki w Polsce

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71